

Roland Auguet

KALIGULA

Czyli władza w ręku dwudziestolatka

Przełożył Wojciech Gilewski

Payot, Paris 1975

PIW1990

GENEZA TYRANII

ZBRUKAĆ CIAŁA, NAPIĘTNOWAĆ DUSZE...

18 marca 37 roku n.e. Kaligula wszedł do historii, stając się oficjalnie władcą imperium. Jednakże, ponieważ nic, co dotyczy naszego bohatera, nie jest banalne, data ta nie jest w pełni prawdziwa. Według Tacyty bowiem już dwa dni wcześniej cesarz Tyberiusz, którego stan zdrowia od pewnego czasu stale się pogarszał, zaczął przejawiać oznaki słabości, pozwalające spodziewać się rychłej śmierci: „Już wśród wielkiego zbiegowiska winszujących wystąpił Gajusz Cezar, aby wziąć w posiadanie władzę, kiedy nagle doniesiono, że Tyberiuszowi wraca głos i wzrok i że wzywają służbę, aby dla pokrzepienia osłabionemu posiłek podała. Wtedy powstał ogólny popłoch: ludzie rozpraszają się na wszystkie strony, każdy przybiera minę smutną albo nieświadomą; Cezar nieporuszony milczał spadłszy ze szczytu swych nadziei i ostateczności oczekiwał. Wtedy Makron [chodzi o dowódcę gwardii] nie tracąc głowy każe starca mnóstwem narzuconych nań koców udusić i pokój jego opuścić. Tak skończył Tyberiusz w siedemdziesiątym ósmym roku życia.”

Jak się dalej okaże, ta wersja wydarzeń właściwie mija się z prawdą. Daje jednak dużo do myślenia. Kaligula jest trzecim z kolei cesarzem Rzymu i drugim, który zyskuje pożałowania godną reputację: zabójstwem toruje sobie drogę do władzy, jako że mord jest prawem tego ustroju, przynajmniej wedle obrazu, jaki o nim pozostawiono. Mord i terror. Morduje się niespodziewanie: ktoś obchodzi urodziny, w domu panuje świąteczny nastrój; przychodzą żołnierze, wrywają go spośród grona zaproszonych gości, wloką przed senat, który skazuje go na śmierć. Dokonuje się masowych egzekucji: „Leżało ogromne mnóstwo pomordowanych - czytamy jeszcze u Tacyty - wszelakiej płci, wszelakiego wieku, znakomici i nieznan, rozproszeni albo w stosach. A krewnym ani przyjaciółom nie pozwalano do nich przystąpić, opłakać ich, a nawet dłużej na nich patrzeć; ustawieni dokoła strażnicy, którzy każdego głośną skargę podsłuchiwali, od rozkładających się nie odstępowali trupów, aż je do Tybru zawleczono. gdzie płynących albo do brzegów zagnanych nikt nie palił ani nawet nie dotykał. Ustało współczucie dla losu ludzkiego pod potęgą grozy, a w miarę jak wzrastało okrucieństwo, ograniczała się litość...”

Oto dlaczego w niektórych przypadkach ludzie nie czekają i sami odbierają sobie życie. Gra warta świeczki - mówią. To prawda. W ten sposób można sobie zapewnić godziwy pochówek - nie gnije człowiek przynajmniej na brzegu Tybru jak owi nieszczęśnicy, których opisywaliśmy przed chwilą. Ponadto można też uchronić od ruiny rodzinę: unika się wówczas konfiskaty majątku, która czeka niechybnie skazańca. Ci, którzy nie mają potomstwa, mogą oczywiście zdobyć się na ten luksus i dać upust całej swej nienawiści w testamencie czy też okazać swą pogardę godną śmiercią. Ktoś postanowił pewnego dnia zażyć truciznę w czasie obrad senatu, aby zaprotestować przeciwko bezwolności swych kolegów. Wolny wybór chwili śmierci zakrawa na prowokację. Należy zatrzeć złe wrażenie. Wloką go do więzienia, ręce oprawcy zaciskają się na gardle zeszywniałego już od trucizny trupa. Poprzez ten „ceremoniał” śmierć jego staje się podła, jest to śmierć skazańca, a nie człowieka, który umiera z własnego wyboru. Ten świat bowiem nikomu nie daje żadnego wyboru: ani tego, co by chciał powiedzieć, ani wyboru milczenia. Ani nawet kary. Jest to

piekło, które podejrzliwa władza przykrawa na miarę każdego.

Bądź też tak się nam to tylko przedstawia. Jeśli bliżej się temu przyjrzeć, sprawy mają się nieco inaczej. Jeden z anglosaskich historyków - w książce, która jeśli nawet często zawiera ziarno prawdy, to tylko iżby tym łacniej popaść w błąd - zauważył, że owe hekatomb, o których nam piszą, sprowadzały się w końcowym rozrachunku do skazania paru dziesiątków ludzi pod rządami, które obejmują okres dwudziestu, trzydziestu lat. Pisząc: „Nie widać końca zbrodni”, lub też: „Trwają masowe prześladowania”, Tacyt popada niewątpliwie w retorykę. Po bliższej weryfikacji okazuje się, iż chodzi o sześć osób, z których żadna ostatecznie nie została skazana. Widocznie umiłowanie zasad prowadzi go do ignorowania faktów. To zaś dlatego, że punkt wyjścia stanowi dlań pogląd, iż władza może być dobra; że taka nawet była niegdyś, za czasów republiki, i że stała się niedobra. Ta manicheistyczna koncepcja prowadzi go do zaciemniania obrazu rzeczy. Stąd też owa dramatyczna przesada. Stąd również szkodliwe uproszczenia: wszelkie zło pochodzi od cesarza, cesarz - jest złem. Cesarz, a więc w konsekwencji człowiek, jego życie prywatne bowiem także podlega temu prawu. Weźmy na przykład takiego Tyberiusza, który szuka schronienia na Kaprei, aby ukryć tam hańbę „swoich zbrodni i żądź, którymi w tak nieposkromiony sposób zapłonął, że na modłę królów barbarzyńskich młódz wolno urodzoną porubstwem kalał. Nie tylko piękność i powaby ciała, lecz u jednych chłopięca skromność, u drugich blask przodków były dlań do chuci podnietą. Wtedy to dopiero wynaleziono nie znane przedtem nazwy *sellarii* tudzież *sprintriae*, pochodzące od plugawości miejsca i różności oddawania się; a wyznaczeni do poszukiwania i sprowadzania ofiar niewolnicy stosowali dary wobec ochotnych, groźby wobec opornych, jeśli zaś tych krewny lub ojciec zatrzymywał - gwałty, porwania i własne swe zachcianki, jak wobec jeńców.”

Otóż owo rzekomo rozpustne życie Tyberiusza na Kaprei nie znajduje właściwie potwierdzenia. Tacyt wszelako przedstawia je nam jako rzecz pewną: cesarz musi być rozpustnikiem, jest bowiem tyranem. A każdy tyran odczuwa nieodpartą potrzebę upokarzania: doznaje rozkoszy brukając i bezczeszcząc. Ciała, lecz również - poprzez nie - to, co najświętsze: postacie przodków, cześć wielkich rodów, które zapracowały na chwałę Rzymu. Stąd owo natrętne podkreślanie niektórych urywków cytowanego powyżej fragmentu - tak jakby Tyberiusz, bardziej perwersyjny w ostatecznym rozrachunku od władcy haremu, którego wybór jest na ogół zdrowszy, każdego poranka dokonywał w myślach przeglądu genealogii wielkich rodów, wyszukując w nich tę niewinną i wolno urodzoną „młódz”, która byłaby w stanie przywrócić jego zmęczonym zmysłom chęć zadawania gwałtu.

Łatwo zrozumieć, dlaczego człowiek, który sam będąc uwikłany w dramaty, jakie przeżywało imperium - a tak było w przypadku Tacyty, że wspomnimy tylko jego - niczego nie obwija w bawełnę i uwypukla najpotworniejsze z ludzkiego punktu widzenia aspekty tego reżimu ucisku, jaki zapanował od czasów Augusta. Nawet kosztem podania nazbyt uproszczonej jego definicji: podła tyrania, która ciemniży cały lud. Bezsprzecznie w Rzymie istnieje tyrania, lecz nie przybiera ona aż tak prymitywnej postaci. Tak, terror staje się tam czasami chlebem powszednim, ale terror nie jest jednostronny. Wizja to manicheistyczna - powiedzieliśmy wcześniej - która obarcza człowieka dzierżącego ster władzy wszelkimi przywarami i zbrodniami. Jest to prawdą w odniesieniu do większości cesarzy, przede wszystkim zaś w stosunku do Kaliguli: zagadka, jaką stanowi jego panowanie, nie może znaleźć wyjaśnienia, jeśli fakt ten stracimy z pola widzenia.

MIT GERMANIKA

Zmarły niedawno cesarz Tyberiusz nie był bowiem prawdopodobnie pełnym hipokryzji tyranem, ukrywającym pragnienie absolutnej dominacji pod płaszczykiem republikanizmu - a taki jego opis znajdujemy na kilku słynnych stronicach Roczników. Wydaje się, iż był on z gruntu szczerym „republikaninem”, oczywiście nie w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, lecz w tej mierze, w jakiej był przekonany, że cesarz (princeps), osobiście odpowiedzialny za losy imperium, w sprawach bieżących winien odgrywać rolę arbitra działającego w ścisłej współpracy z ustanowioną władzą - faktycznie rzecz biorąc z senatem, albowiem lud, odkąd zaczęto mu rozdawać zboże, nie miał już zgola prawa głosu. Co implikowało, zważywszy na charakter ustroju, maksimum wolności i „sprawiedliwości”. W skórze owego oryginała, któremu udało się dokonać wyczynu poznania świata nigdy go nie akceptując, siedział najprawdopodobniej wychowany w mistrzach greckich i troszczący się o ludzkie wartości filozof.

Jednakże to ustrój przecież kształtuje ludzkie serca zgodnie ze swymi prawami, a nie na odwrót. Rzecz to powszechnie znana: nikt się tyranem nie rodzi, lecz się nim staje. Wobec zagrożenia, jakie dlań stanowił brak wyraźnie określonej konstytucji - fakt to o zasadniczym znaczeniu, do którego jeszcze powrócimy - Tyberiusz nie mógł zachować władzy i zagwarantować zarazem swym współobywatelom wolności i sprawiedliwości. Nawet władca o najlepszych intencjach nie byłby w stanie tego dokonać.

I rzeczywiście kłopoty zaczęły się już od pierwszych miesięcy panowania. Wykorzystując śmierć Augusta armia wszczęła bunt, „wściekłą rewoltę” - pisze Tacyt. Określenie to nie jest za mocne: był to brutalny wybuch gniewu sfrustrowanej armii, która zyskiwała świadomość swej własnej siły. Rzym miał chleb i igrzyska. Na granicach zaś czyhało niebezpieczeństwo, znój i razy. W Rzymie stacjonowały elitarne korpusy sownie opłacane za wojskowe parady. Tutaj zaś - śmieszny żołd, nie kończąca się służba, którą niedawno przedłużono o dalsze cztery lata, i zatrwająca perspektywa emerytury, skąpiło się bowiem pieniędzy żołnierzom przechodzącym w stan spoczynku.

Do jasno sprecyzowanych żądań natury ekonomicznej dochodziła jeszcze odwieczna niechęć do przełożonego - do centuriona, u którego można było uzyskać zwolnienie z kary cielesnej za opłatą, którą skrupulatnie, co do grosza, egzekwował, albo biegać na przaszczęta. Zyskując nagle świadomość nędzy swego położenia, żołnierze zrzucali z siebie odzienie i stawali nadzy przed dowódcą pokazując rany i blizny, jakie na ich ciele zostawiło dwadzieścia lat służby; co odważniejsi, biorąc go za rękę, wkładali ją sobie do ust, żeby pojął, iż stracili zęby. Kiedy zapas cierpliwości już się wyczerpał, ów spektakularny i dramatyczny odruch, którym starali się przemówić do uczucia litości, przerodził się w atmosferę linczu: żołnierze układają z kawałków darni pagórek obrazujący trybunał, uwalniają więźniów, dezertów skazanych na śmierć, plądrują oficerskie mienie i na koniec dobierają się do skóry samym oficerom. W pierwszym rzędzie prefektowi obozu, jako symbolowi dyscypliny, którego wyciągają z namiotu, nakładają nań wojskowy ekwipunek i każą maszerować aż do skrajnego wyczerpania na czele „wojsk”, pytając wśród rozgłosnych rehotów, „jak mu się podoba noszenie takich ciężarów i odbywanie tak długich marszów”; po czym biorą się za najokrutniejszych oficerów, jak ów centurion, którego ochrzcili. przezwiskiem „jeszcze jeden”, ponieważ za każdym razem, kiedy zламаł pęd winorośli na grzbiecie żołnierza, wołał o jeszcze jeden, dopóki ręka nie odmówiła mu posłuszeństwa. Bezceremonialnie rozniesiono go na strzępy. Innym centurionom rów-

niez nie poskąpiono razów i okaleczonych porzucono na umocnieniach.

Nawet najwyżsi rangą wodzowie i przysłani przez senat dygnitarze znaleźli się w tarapatkach: poturbowani i znieważeni, ścigani groźba mi, wielokrotnie zmuszeni byli uciekać do namiotu, by szukać tam schronienia u boku garstki oddanych im ludzi.

Po kilku tygodniach zamieszek w Pannonii wszystko nagle powróciło do normy. „Noc grożąca wybuchem zbrodni - pisze Tacyt - uspokoił przypadek, bo zobaczono, jak na pogodnym niebie księżyc się nagle przyćmiewa. To zjawisko uważał żołnierz, nieświadomy jego przyczyny, za wróżbę odnoszącą się do obecnego położenia; porównywał on zaćmienie planety ze swoją biedą i wierzył, że szczęśliwie powiedzie się to, do czego zmierza, jeżeli bogini odzyska blask i jasność. Więc brzękiem spiżu i równoczesnym dęciem w trąby i rogi wznecali hałas; wedle tego, jak księżyc stawał się jaśniejszy lub ciemniejszy, radowali się lub smucili. A kiedy nadciągające chmury widok jego przysłoniły i uwierzono, że boginię pochłonęły ciemności, wtedy poczęli lamentować - jako że raz przerażony umysł łatwo skłania się do zabobonu - że wróżą się im wieczne znoje, że od ich zbrodni odwracają się bogowie." Należy przypuszczać, że „dobry element” nie próżnował, siejąc w wojskowych szeregach trwogę, której przytoczony powyżej zabobonny wybuch był tylko spektakularnym przejawem. Faktem jest bowiem, iż - jak zwykle w czasie takiej rewolty - sprawy zbyt długo się dłużyły, nie przynosząc żadnego namacalnego rezultatu: dowództwo świadomie wszystko przeciągało. Teraz zaś skorzystało z okazji, aby na powrót wziąć wojsko w cugle i przywrócić spokój.

Nad Renem wszakże, gdzie stacjonowało osiem legionów stanowiących główny trzon armii, istniało ryzyko, że rzeczy poważniejszy przybiorą obrót dla imperium, a zwłaszcza dla Tyberiusza. Od czterech lat bowiem naczelne dowództwo w Galii sprawował Germanik, mający wówczas dwadzieścia dziewięć lat i uważany oficjalnie za drugą osobę w państwie - jednakże wielu dopatrywało się w nim rywala Tyberiusza. Przez matkę swą wszakże, która była córką Oktawii, siostry Augusta, należał on do rodu julijskiego. Ponadto cieszył się dużą popularnością, szczególnie wśród wojska. Żołnierze zaś, zbuntowawszy się początkowo z tych samych powodów, co oddziały w Pannonii, później zaproponowali mu cynicznie swą pomoc w przejęciu władzy. W ten oto sposób objawiała się słabość ustroju, już teraz zagrożonego przez pucze, które miały później ustanawiać i obalać cesarzy. Germanik pozostał lojalny i nie dał się wciągnąć w awanturę. Bunt trwał. Stawiając wszystko na jedną kartę, zdecydował się zapewnić bezpieczne schronienie u Trewirów żonie swej Agryppinie, która była wówczas brzemienna, i synom, co przebywali wraz z nim w obozie. Mając za całą eskortę garść służących, żona głównodowodzącego opuściła wówczas obozowisko z najmłodszym dzieckiem na ręku: dzieckiem tym był Kaligula, trzeci syn Germanika, przezwany tak przez legionistów, ponieważ nosił żołnierski strój.¹ Pojawia się on tutaj po raz pierwszy na kartach historii.

Afront, jakim był dla żołnierzy ten obraźliwy wyjazd, wywołał wstrząs, który pozwolił dowództwu zapanować nad sytuacją. Doszło do czystki, która przerodziła się niemal w rzeź. Ażeby podreperować morale armii, Germanik przedsięwziął kilka wypraw w głąb Germanii. Ze względnym powodzeniem. Odbito znaki legionów zmasakrowanych niegdyś pod dowództwem Warusa, wzniesiono wspaniałe pomniki w

¹ Caliga - żołnierski sandał; zdrobniale: caligula

samym sercu puszczy, jednakże armii rzymskiej nie udało się zapewnić sobie kontroli nad tą krainą i przesunąć granic imperium aż do Łaby. Po dwóch latach „zwycięstw”, które przybierać zaczęły charakter karnej ekspedycji, Tyberiusz wezwał Germanika do powrotu. Ten ostatni pragnął, żeby przyznano mu jeszcze jeden rok; chciał spróbować ostatniej szansy. Musiał wszakże usłuchać. Przyjęciu w Rzymie towarzyszył entuzjazm godzien wspaniałego triumfatora. Po czym powierzono mu dowodzenie na Wschodzie, gdzie trzeba było uregulować pewne sprawy dyplomatyczne. Germanik starał się, jak mógł, jednak jego misja napotykała nie kończące się trudności: utarczki z Pizonem, namiestnikiem Syrii, który nie miał łatwego charakteru; kłótnie z Tyberiuszem, który złym okiem patrzył na dezynwolturę, z jaką jego dowódca samowolnie postanowił wkroczyć do Egiptu, prowincji świętej, gdzie z racji jej żywotnego dla imperium charakteru żadnemu senatorowi nie wolno było się udać bez formalnego zezwolenia pryncypsa. I rzeczywiście wyprawa ta nie przyniosła Germanikowi szczęścia: kilka tygodni po swym powrocie z Egiptu zmarł w Antiochii w wieku trzydziestu czterech lat w dziwnych okolicznościach.

Otruty przez Pizona na rozkaz Tyberiusza, jak głosiła wieść publiczna. Nie ma co do tego pewności. Nie udało się znaleźć żadnego decydującego dowodu winy obciążającego Tyberiusza. Jednakże rozwiązanie tej zagadki nie ma wielkiego znaczenia. Okazało się w końcu, iż słusznie przypisywano Tyberiuszowi logikę i postawę tyra. Za morderstwem tym przemawiały fakty. Germanik stanowił dla cesarza stałe niebezpieczeństwo, prawdziwy miecz Damoklesa. Już choćby z racji swej popularności, z której można sobie było zdać sprawę po jego śmierci. „W Rzymie - pisze Swetoniusz -- na pierwszą wiadomość o chorobie ludność, jakby rażona piorunem, pogrążyła się w smutku, oczekując następnych nowin. Nagle, już wieczorem, rozeszła się pogłoska, nie wiadomo za czyją sprawą, że wreszcie nastąpiła poprawa. Tłumy z pochodniami i ofiarnymi zwierzętami co tchu, bezładnie ruszyły na Kapitol i omal nie wyważono wrót świątyni, aby co prędzej złożyć z radością dziękczynne ofiary. Tyberiusza ze snu obudziły okrzyki obywateli radujących się i po całym mieście wyśpiewujących:

Rzym ocalony, ojczyzna także, Germanik zdrów!

Gdy wreszcie została ogłoszona oficjalnie wiadomość o jego zgonie, nie można było ukoić powszechnej żalości ani żadnymi słowami pociechy, ani żadnymi obwieszczeniami. Trwała ona jeszcze przez całe święta miesiąca grudnia. Chwałę zmarłego i żal po nim pomnożyła groza nadchodzących czasów. Powszechnie i nie bez słuszności sądzono, że Tyberiusz ze względu na szacunek dla Germanika i obawę przed nim poskramiał swe okrucieństwo, które wnet potem wybuchło."

Germanik był człowiekiem prostolinijnym, otwartym i łatwo nawiązującym kontakt z ludźmi. Lud, który zawsze pomawia się o zmienność usposobienia, lecz który miewa niekiedy swoje nieodparte sympatie i antypatie, widział w nim pochlebny i miły oku obraz władzy: przypisywał mu wszystkie przymioty „dobrego władcy". Zalety tym wyraźniejsze, iż osoba Tyberiusza ucieleśniała właśnie obraz władzy najsurowszej i najbardziej nie znoszącej sprzeciwu, jaką sobie tylko można wyobrazić. Wyniosły i zamknięty w sobie, poważny aż do pedantyzmu, pozbawiony ludzkiego ciepła i uczuć, ten arystokrata w dawnym stylu gardził tłumem i nawet nie zadawał sobie trudu, by się z tym kryć.

Nie samym zresztą tylko ludem gardził: część senatu snuła w związku z osobą Germanika dość mgliste

mrzonki na temat restauracji republiki. Nie ma większego znaczenia, że - jak się o tym dalej przekonamy - było w tym wszystkim sporo nieporozumień i iluzji. Jeśli tylko są one wystarczająco głębokie, złudzenia stanowią w polityce szczególną siłę.

Tym bardziej, iż przywiązanie do osoby Germanika można było zauważyć również w armii. Tutaj zresztą antagonizm istniejący pomiędzy obydwoma mężczyznami wykraczał daleko poza ramy zwykłej rywalizacji. Pryncypatowi augustowskiemu - zabiegającemu o zachowanie pozorów republikanizmu i starającemu się nie zrażać sobie senatu, takiego, jakim pojmował go Tyberiusz - Germanik przeciwstawiał, jeśli już nie w teorii, to przynajmniej w swym postępowaniu, monarchię wojskową czerpiącą swoją potęgę z armii i nastawioną na podbój. Nie bez powodu tak się zawziął na Germanię, która mogła mu zapewnić prestiż podobny do tego, jaki Cezar zyskał dzięki podbojowi Galii. Nie za sprawą przypadku również udał się do Egiptu i poczynał tam sobie niczym jedynowładca, obdarowując lud z istic królewską hojnością. Od czasów Antoniusza - i Kaligula nie jest tu wyjątkiem - ci, którzy marzyli o monarchii wojskowej w Rzymie, czuli pociąg do Wschodu, a w szczególności do Egiptu, którego instytucje dostarczały im idealnego modelu.

Jest rzeczą możliwą, że w czasie buntu wojsk nadreńskich Germanik przez lojalność powstrzymał się od wykorzystania rewolty żołnierzy. Choć być może uczynił to także z rozwagi: ruszyć na Rzym z armią znaczyło podjąć ryzyko wojny domowej, ogromnie niepopularnej, której wynik, po zastanowieniu, okazać się mógł wątpliwy. Jakikolwiek wszak były jego rzeczywiste intencje, cesarz upatrywał w Germaniku wroga. Nazbyt też zabiegał Germanik o popularność wojska, o czym świadczy choćby sposób, w jaki wychowywał Kali-gulę pośród legionów, każąc mu chodzić w wojskowym stroju, „aby dlań przychylności prostego żołnierza pozyskać” - mówi Tacyt, którego trudno by podejrzewać o antypatię do tej rodziny. Pod presją, przyjaciół, armii, opinii publicznej, której nie zdołałby się może oprzeć, jak też by postąpił Germanik, gdyby okazja się powtórzyła, gdyby wybuchł jakiś poważny konflikt? Tyberiusz miał pięćdziesiąt siedem lat. Nie stał jeszcze nad grobem i, faktycznie, panował przez dalsze dwadzieścia lat. Czy Germanik czekałby tak długo?

KALIGULA UCHODZI CAŁO

Największy kłopot z tym, że śmierć Germanika nie rozwiązała wszystkiego. Wprost przeciwnie, pociągnęła ona za sobą wiele innych, za co wina spada w głównej mierze na Agryppinę, wdowę po Germaniku, matkę Kaliguli i owej drugiej Agryppiny, która miała potem zginąć za sprawą swego syna Nerona. Ta wytrzymała na trudy kobieta, która towarzyszyła mężowi w wyprawach wojennych, zamiast rozkoszować się w Rzymie przyjemnościami łatwego żywota, kobieta dumna (w czasie rewolty w legionach odmówiła opuszczenia obozu, mówiąc, iż potomkini Augusta nie zwykła drzeć przed niebezpieczeństwem), miała istną pasję, władzy. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że śmierć męża, z którym dzieliła karierę i nadzieje, wyłączyła ją z życia publicznego. Niegdyś w Rzymie wdowy po bohaterach zamykały się w milczeniu, by nie powiedzieć w nicości. O Agryppinie głośno było wszędzie, ostentacyjnie obnosiła się ze swą żałobą, oskarżając o morderstwo Pizona, a więc tym samym Tyberiusza, którego ściagała swoją nienawiścią. Dom jej stał się w Rzymie ogniskiem opozycji skupiającej niezadowolonych i odtrąconych przez reżim. Nie tyle prawdziwą partią polityczną, ponieważ ludzi tych nie łączyło nic zgoła prócz nienawiści do Tyberiusza, ile

pewnego rodzaju koterią.

Ten sentymentalny upór, z jakim zamykała się w niebezpiecznej i nieskutecznej opozycji, początkowo jeszcze rozumiała, stał się całkowicie absurdalny, z chwilą kiedy Druzus, syn Tyberiusza, po śmierci Germanika uważany za dziedzica władzy, zmarł również nagłą śmiercią. Odtąd bowiem, zważywszy, że cesarz miał tylko małego wnuka jeszcze w kołysce, dzieci Agryppiny i Germanika, to znaczy podług wieku: Neron, Druzus i Kaligula, stawały się z kolei potencjalnymi spadkobiercami. Jeśli nie *de iure*, to przynajmniej *de facto*. Agryppina nie potrafiła wszakże czekać, usunąć się w cień, pozwolić staremu cesarzowi zdecydować samemu. Wydaje się, wprost przeciwnie, iż chciała tę decyzję przeforsować czy też co najmniej nie zdołała się ustrzec od pewnych poczynań, które mogły to sugerować. I tak na przykład w roku 24, aczkolwiek cesarz w najmniejszej mierze nie dał nawet do zrozumienia, że sobie tego życzy, kapłani włączyli imiona synów Agryppiny do oficjalnych modłów, jakie kierowali do bogów z prośbą o zachowanie w dobrym zdrowiu Tyberiusza. Ten ostatni bardzo źle to przyjął: skarcił kapłanów za to, że dali się podejść Agryppinie czy też ulegli jej groźbom, i od tej pory zakazał wszystkim przyznawania jakichkolwiek zaszczytów obu młodzieńcom.

Było to zapewne początkiem prześladowań, które kalkulacje polityczne pewnego człowieka, a mianowicie Sejana, doprowadziły do rozmiarów tragedii. Pełniąc początkowo funkcję prefekta gwardii pretoriańskiej, ten ambitny, wywodzący się ze skromnego rodu człowiek (należał do stanu ekwickiego, a nie do arystokracji senatorskiej) dobił się *de facto* stanowiska ministra, z którym cesarz dzielił się ciężkim dla jednego człowieka zadaniem rozstrzygania problemów imperium utożsamianego z obszarem całego świata. Urósł on jeszcze w potęgę, kiedy Tyberiusz, zde gustowany gnuśnością swych współobywateli i szukający ucieczki od niespokojnego życia, które mu ciążyło, schronił się na Kaprę. Wpływy swoje wykorzystał między innymi po to, żeby zdyskredytować potomstwo Germanika. Omotał Agryppinę siecią wywodzących się ze sfer wielkoświatowych prowokatorów, gronem ambitnych senatorów najgorszego pokroju, którzy bądź doradzali jej perfidnie, żeby odwołała się do ludu czy też armii, bądź naciągali na zwierzenia jej przyjaciół, nie cofając się przy tym przed podłą zasadzką: i tak niejaki Latiaris zdobył zaufanie Tycjusza Sabinusa, pozostającego w ostentacyjny sposób wiernym pamięci Germanika, i sprowadził go kiedyś do swego domu po to, aby go sprowokować do wypowiedzania się przeciwko Tyberiuszowi, ukrywając uprzednio u siebie na strychu... trzech senatorów, którzy mieli zaświadczyć o autentyczności rozmowy. Trzeba powiedzieć, iż machinacje te ułatwiała niewiarygodna naiwność Agryppiny, która, zaślepiona nienawiścią i dumą, nie zachowywała ostrożności, jakiej wymagała sytuacja. Wpadała w każdą zastawioną na nią pułapkę. Tacyt, który przecież jest jej przychylny, przytacza następującą anegdotkę: „Sejan tę pełną smutku i nieostrożną kobietę jeszcze głębiej przeraził, nasławszy jej ludzi, którzy pod pozorem przyjaźni mieli ją ostrzec, że przygotowano dla niej truciznę i dlatego powinna potraw u teścia unikać. Agryppina nie znała obłudy: kiedy raz obok niego przy stole siedziała, miała wyraz twarzy niewzruszony, nie dała się wciągnąć do rozmowy i żadnych nie tknęła potraw - aż zauważył to Tyberiusz, czy to przypadkiem, czy że przedtem coś o tym słyszał. Chcąc więc dokładniej rzecz zbadać, pochwalił owoce, które właśnie wniesiono, i własnoręcznie podał je synowej. Stąd wzmogło się jeszcze podejrzenie Agryppiny, która nie wzięwszy owocu do ust - oddała go służbie. Mimo to Tyberiusz wprost do niej słowa nie rzekł, lecz zwracając się do

matki powiedział, że nie byłoby dziwne, gdyby surowszą karę tej wymierzył, która go o truciicielstwo posądza." Wydaje się, że najstarszy jej syn, Neron, również nie zachował większej ostrożności; szpiegowała go zresztą własna żona.

Prowokacje te pozwalały Sejanowi posyłać cesarzowi alarmistyczne raporty, w których przedstawiał mu „klan" Agryppiny niczym prawdziwą partię opozycyjną, stwarzającą ryzyko wywołania któregoś dnia wojny domowej. Najpierw uzyskał wyroki skazujące na najbardziej na widoku będące osobistości z otoczenia Agryppiny. Po czym, po wielu latach zabiegów, doprowadził w roku 29 do zesłania Agryppiny i Nerona. Ten ostatni popełnił samobójstwo na wyspie Poncja, być może dlatego, iż znieść już nie mógł dłużej grózb strażników, którzy otrzymali rozkaz uprzykrzenia mu życia. Młodszy jego brat Druzus został uwięziony w podziemiach Palatynu. Jedynie Kaliguli, znajdującemu się pod opieką Antonii, babki ze strony ojca, która - jak się wydaje - posiadała wielce wyczulony zmysł dyplomatyczny, jaki przydałby się bardzo jej synowej, udało się ujść cało.

Wtedy to właśnie zobaczyć można było po raz pierwszy na ulicach Rzymu owe sceny terroru, które opisywaliśmy powyżej.

KOZIOŁ OFIARNY

W rok później było jeszcze gorzej. Dość trudno jest ustalić, w jakiej mierze ambicje Agryppiny stanowiły dla Tyberiusza rzeczywiste zagrożenie. Pewne jest natomiast, że ambicje Sejana niebezpieczeństwo takie stwarzały. Ten wzorowy minister - na tyle zręczny, by przekonać swego władcę, iż jedyną jego pasją jest czuwać, „na równi z prostym żołnierzem dla bezpieczeństwa cesarza" - miał zamiar ni mniej, ni więcej tylko zająć jego miejsce, jeśli już go nie zdetronizować. Zaciekłość, z jaką prześladował synów Germanika, stanowiła część planu, który miał go przywieść do władzy.

Najpierw sprowadził do centrum Rzymu gwardię pretoriańską, która niegdyś koszarowała w okolicy miasta i którą on sam tylko dowodził. Dysponował w ten sposób pewną siłą, aby w razie potrzeby trzymać w szachu lud, który nie nosił go w sercu. Następnie został kochankiem Liwilli, żony Druzusa, syna Tyberiusza. Okoliczność ta zaś, aczkolwiek współudział Liwilli został zakwestionowany, pozwoliła mu prawdopodobnie otruć Druzusa w roku 23. W ten oto sposób usunięta została najpoważniejsza przeszkoda, która zagradzała mu drogę. Po tej śmierci druga przeszkoda wynikała nie tyle z zakusów dynastycznych, ile z pozycji społecznej Sejana. Był on, jak już powiedzieliśmy, tylko ekwitą, a to stanowiło kłopot nie lada: to tak jakby Colbert zabiegał o sukcesję po Ludwiku XIV. Potrzebna mu więc była nobilitacja; mógł ją otrzymać spokrewniając się z rodziną cesarską. Poprosił o rękę swej kochanki, wdowy po Druzusie. Tyberiusz mu jej odmówił, lecz później wyraził zgodę na narzeczeństwo z własną wnuczką, Julią III, co tak czy inaczej również stanowiło pewien rodzaj cesarskiej inwestytury. Minister tymczasem zadbał o to, by usunąć z drogi rywali, jakimi dlań byli synowie Germanika. W roku 31 Sejan wspiał się na wyżyny swej potęgi. Piastując wraz z Tyberiuszem urząd konsula, będąc dowódcą gwardii pretoriańskiej, kontrolował Rzym; z chwilą zaś, gdy uzyskał ponadto władzę prokonsula, która rozciągała jego zwierzchnictwo na wszystkie prowincje, pozostawało mu już tylko sięgnąć po uprawnienia trybuna, stanowiące od czasów Augusta klucz do władzy, aby być uważanym za regenta; i cesarz przebąkiwał, iż go nią obdarzy.

Nie uczynił tego wszelako. Od Antonii, matki Germanika, otrzymał - jak powiadają - list, który otworzył mu oczy na intencje ministra. Postanowił go zgubić. Sprawa nie była prosta, zważywszy na atuty, jakimi dysponował Sejan. Tyberiusz jednakże uknuł podstęp, który był istnym majstersztykiem przebiegłości i skuteczności. Należało, rzecz jasna, działać przez zaskoczenie i Tyberiusz nadal nie szczędził swemu ministrowi wszelkich" oznak względów, ażeby nie wzbudzić w nim nieufności. Po czym sprowadził na Kapreę wyższego oficera gwardii, Makrona, któremu wręczył dwa listy: jeden, którym mianował go dowódcą gwardii i obiecywał pretorianom w nagrodę po 3000 denarów; drugi, skierowany do senatu, mocą którego miał jakoby oficjalnie przyznać ministrowi uprawnienia trybuna. Rankiem owego dnia Sejan skierował swe kroki w stronę senatu w nadziei, że będzie to dzień jego triumfu. Makron, którego spotkał, upewnił go w tych złudzeniach i pobiegł przejąć kontrolę nad kohortami, oddawszy uprzednio list senatorom. Pismo było niemiłosiernie długie: trzeba było dać Makronowi trochę czasu, aby mógł się wywiązać z zadania; list zaczynał się od pochwalnych słów pod adresem Sejana, zamieniał w krytyczny, po czym, po dłuższym urywku trzymającym słuchaczy w niepewności, nakazywał go aresztować. Dokonał tego jeden z konsulów. Przewidziano również inny plan na wypadek, gdyby ten się nie powiódł: Makron miał uwolnić więzionego w lochach Palatynu drugiego syna Germanika, Druzusa II, i doprowadzić do aklamowania go przez tłum, podczas gdy Tyberiusz, powiadomiony o tym specjalnym systemem sygnałów, miał opuścić Kapreę, aby dołączyć do swej armii wschodniej na czekających w pogotowiu statkach.

Zwykło się przyjmować, iż do ostatniej chwili cesarz dawał się ministrowi wodzić za nos i że otworzył mu oczy właśnie list Antonii która pisała, iż „żył przez całe lata wśród spisków i intryg, nic o nich nie wiedząc". Po tym epizodzie Tyberiusz miał się jakoby ostatecznie zamknąć na Kaprei, aby tam dożyć gorzkiej starości z sercem złamanym przez zdradę jedyne go człowieka, którego obdarzył zaufaniem, i trawiony wyrzutami sumienia, że przez niepojętą łatwowierność wydawał na śmierć niewinnych.

Ta wersja wypadków nie wytrzymuje poważniejszej krytyki. Zanadto próbowano wnikać w psychikę Tyberiusza. Próby te, acz interesujące, niczego tutaj nie wyjaśniają. Historyk bowiem może sobie pozwolić na zajmowanie się jedynie psychologią władzy: winien on najpierw wyjaśnić postępowanie sprawujących rządy w oparciu o rozważania realistyczne; przynajmniej wtedy, kiedy sprawują oni władzę rzeczywiście. Tyberiuszowi zaś pod tym względem niczego nie da się zarzucić. Dobry dowódca, doświadczony dyplomata (o wiele lepiej od Germanika znał problemy ludów żyjących po drugiej stronie Renu), przez dwadzieścia trzy lata zarządzał trudnymi sprawami nieokrzesłego jeszcze imperium. Nie mamy tutaj bynajmniej zamiaru go „rehabilitować", jak to często czyniono. Nie ma to najmniejszego sensu. Ale trudno wprost uwierzyć, by człowiek, który do pięćdziesiątego czwartego roku życia odczuwał na własnej skórze wszystkie sprzeczności systemu augustiańskiego, który doświadczył jego zalet i zgłębił kryjące się w nim zasadzki, mógł być do tego stopnia zaślepiony. Po tak długim okresie praktykowania za kulisami władzy można się jeszcze pomylić, być może, w stosunku do swojej służącej, ale chyba nie co do ministra.

Jest rzeczą możliwą, iż Tyberiusz nie rozwikłał niektórych nici tego spisku - zmierzającego zresztą nie tyle do obalenia go, ile do przejęcia po nim władzy - szczególnie zaś więzi, jakie łączyły Sejana i jego synową Liwillę: do otrucia Druzusa - jeśli było to rzeczywiście otrucie - doszło po pierwszej dosyć długiej chorobie, która czyniła tę śmierć naturalną. Jest wszakże rzeczą całkiem nieprawdopodobną, ażeby

Tyberiusz nie przejrzał swojego ministra i nie zrozumiał, do czego ów zmierza. Już choćby sam zamiar poślubienia Li-willi - co zmywało z ekwity znamię skromnego pochodzenia - powinien mu być otworzyć oczy. Dowodem na to fakt, że nie wyraził zgody czy też raczej odłożył projekt tego małżeństwa (pozostawiając w ten sposób Sejanowi złudzenia) w pochlebnym liście, który pozwala odgadnąć, z jakimi zamiarami nosił się w skrytości ducha. Udawał, iż niczego się nie domyśla, bo potrzebował swego ministra. Między innymi po to, by wyeliminować Agryppinę. Albowiem - i to jest właśnie punkt, który nas interesuje ze względu na dalszy ciąg tej historii - nie były to tylko machinacje Sejana, lecz świadomy zamiar Tyberiusza. Miał po temu wszelkie powody. Agryppina udzielała poparcia opozycji, która choć sama w sobie jeszcze nie zorganizowana, w razie kryzysu stać się mogła niebezpieczna. Wychowywała swoich dwóch starszych synów (nie bez przyczyny też zapewne zabrano jej trzeciego) w nienawiści do Tyberiusza. Jej oskarżycielska i obraźliwa postawa, jej niewątpliwa popularność (kiedy rozeszła się pogłoska, że synowie jej są prześladowani, tłum pobiegł manifestować przed senatem) były dlań przedmiotem codziennej zgryzoty: traktowano go przecież niczym uzurpatora. A wreszcie odkładając na bok sentymenty, nie wydaje się, żeby Tyberiusz darzył wielkim poważaniem Nerona i Druzusa, którzy patrzyli na siebie wzajem zawistnym okiem i zdawali się nie mieć wielkich predyspozycji do sprawowania władzy.

Prześladować wszak zawzięcie wdowę po człowieku, o którego otrucie już i tak go oskarżano, zamordować dwóch młodzieńców w kwiecie wieku, uwielbianych" przez lud, w warunkach ledwo co skonsolidowanej władzy, kiedy można się było obawiać rozruchów, to już przekraczało granice ohydy. Tyberiusz nie dbał o to, że narazi się na jeszcze większą niepopularność, ponieważ miał pod ręką człowieka, na którego mógł ją zrzucić. W gruncie rzeczy bowiem, do czegoż służą ministrowie, jeśli nie do zrzucania na nich odpowiedzialności za czyny, za które szczebel wyższy nie chce sobie przypisywać zasługi? Kalkulacje Tyberiusza okazały się trafne. Przez prawie dziesięć lat udawał, iż chroni Agryppinę i jej rodzinę przed nienawiścią Sejana, odrzucając proponowane przez ministra „środki bezpieczeństwa" i godząc się na jej wygnanie dopiero wobec przytłaczającej wymowy policyjnych raportów. Raportów alarmistycznych i sfalszowanych, którym udał, że wierzy.

Jeśli jednak ktoś dał się w całej tej sprawie wystrychnąć na dudka, to Sejan. Kiedy cesarz wydał nań wyrok, ze sposobu, w jaki tłum dokonał na nim linczu, można było przekonać się, jak wielką nienawiść żywił lud do nieprzyjaciół Germanika. O złej wierze Tyberiusza świadczy zresztą niewątpliwie fakt, że ani trochę nie zmienił swego postępowania po upadku Sejana. Nerona już nie było, ale Agryppina jeszcze żyła i Druzus także. Cesarz mógł dyskretnie naprawić wyrządzone przez siebie krzywdy, nie uczynił tego jednak. Pozwolił Agryppinie dokonać żywota na wygnaniu w pożałowania godnych warunkach. Druzusa przez czas jakiś trzymał w więzieniu; jak już powiedzieliśmy, zamierzał się nim posłużyć przeciwko Sejanowi, gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót. Po czym, gdy tamten stał mu się już niepotrzebny, zamorzył go głodem: Druzus zmarł, zjadłszy nawet to, czym wypchany był znajdujący się w jego celi materac. Był on dla cesarza tylko trzymaną w zanadrzu kartą. Pod takim to więc kątem, niewiele" mającym wspólnego-z ludzkimi uczuciami, należy patrzeć na rzeczywistość. owej epoki, inaczej bowiem niczego z niej nie zrozumiemy. Jeśli nawet Tyberiusza trapiły kiedykolwiek wyrzuty sumienia, to bynajmniej nie dlatego, że idąc za namową swego przewrotnego ministra skazywał osoby niewinne; w jego oczach były one winne i

musiały umrzeć: racja stanu.

Upadek Sejana, który miał miejsce w 31 roku, doprowadził do tym większego usztywnienia władzy. Do wielu przypadków linczu, które miały miejsce na ulicach Rzymu, a do których jeszcze powrócimy, doszły ponadto liczne wyroki skazujące ogłoszone w majestacie prawa na osoby z otoczenia Sejana. Senat, zasadniczy bohater naszej opowieści, stał się pierwszą ofiarą owej czystki. Lecz był on także zarówno instygatorem, jak i narzędziem: arystokracja korzystała z nadarzającej się okazji, by dać upust swej nienawiści: każdy denuncjował swoich wrogów. Sam Tyberiusz otacza się na swojej wyspie gwardią, której początkowo - co za hipokryzja! - nie chciał. Strach i służalczość nie mają już granic. Tyrania? - bez wątplenia. Nie wynika ona jednakże, jak to sugeruje Tacyt, z "przypadku", dzięki któremu ster władzy dostał się w ręce dwóch ludzi, Tyberiusza i Sejana, przyrodzona zaś ich przewrotność nie potrafiła się oprzeć pokusie władzy despotycznej. Rodzi się ona z obiektywnych warunków walki o władzę, jest nierozłącznie związana z ustrojem. Czyżby więc Tacyt „odsłaniał arkana władzy”? Do pewnego stopnia tak...

DZIWNA DYNASTIA

To systematyczne uciekanie się do najbardziej podstępnych form przemocy wyjaśniają trudności konstytucyjne właściwe temu ustrojowi, całkiem nowemu, jakim był pryncypat. Kiedy pod koniec I wieku p.n.e. zachowanie republiki stało się rzeczą niemożliwą, ludzie, którzy zagarnęli władzę, nie mogli jej tak po prostu zastąpić systemem monarchicznym. Z jednej strony przetrwała w Rzymie, sięgająca niemal początków miasta, instynktowna nienawiść do władzy królewskiej; z drugiej zaś, arystokracja senatorska, sprawująca już od kilku wieków władzę, ciągle nazbyt była potężna, by ścierpieć, że człowiek wywodzący się z jej szeregów narzuca jej nagle swoją wolę. Cezar nie docenił owego aspektu sytuacji. Przypłacił to życiem. August, który po długich walkach zajął jego miejsce, nie popełnił tego samego błędu: wyciągnąwszy należyte wnioski z tego wydarzenia, ustanowił monarchię, która miała wszelkie pozory republiki.

Monarchię, i to nawet monarchię wojskową, ponieważ obwołany imperatorem na polach bitew August dobił się władzy z bronią w ręku i przez prawie pół wieku był człowiekiem, który faktycznie sam decydował o wszystkich ważkich kwestiach, wewnętrznych i zewnętrznych, dotyczących przyszłości imperium. Jednakże, aczkolwiek sprawował tę władzę, nie miał żadnego tytułu, który by jednoznacznie nadawał jego pozycji rangę najznamienitszą. Przez większość czasu nie piastował nawet godności konsula, najwyższego urzędu w starożytnym Rzymie; sprawował jedynie urząd trybuna, który, to prawda, czynił jego osobę nienaruszalną i świętą. Na pozór był więc w państwie jedynie pryncypsem, pierwszym z senatorów. I rzeczywiście, starając się sprawiać wrażenie, iż nic się nie zmieniło, regularnie odwoływał się do senatu - lud bowiem już się prawie nie liczył. Senat zaś opowiadał się oczywiście po stronie władcy. Jeśli wszakże rzeczywista władza wymykała mu się z rąk, senat pomimo to nadal odgrywał w państwie ważną rolę, współuczestnicząc w zarządzaniu krajem, a przede wszystkim będąc odpowiedzialnym za administrowanie imperium. Pod wieloma względami owe pozory stanowiły coś więcej aniżeli tylko pompatyczną dekorację, za jaką chowają się cezaryzmy naszych czasów z ich fasadowymi „izbami”.

Jednakże ów fikcyjny pryncypat komplikował w sposób szczególny problem sukcesji. Ponieważ starano się zanegować monarchistyczny charakter ustroju, nie można było tak po prostu zdać się na system

przekazywania władzy, jaki implikuje monarchia. Tutaj również należało pomyśleć o kompromisie pomiędzy prawem i rzeczywistością. August postanowił więc wybrać spośród swych potomków (a więc zgodnie z zasadą dynastyczną) następcę, któremu - nie szczędząc mu funkcji oficjalnych i znaczących zaszczytów - mógłby nadać godność oficjalnego następcy, uznanego de facto (a był to punkt zasadniczy) przez arystokrację senatorską. Formuła ta miała tę zaletę, że eliminowała katastrofalny często w skutkach automatyzm sukcesji dynastycznych: władca mógł wybrać spośród swych potomków najbardziej nadającego się do sprawowania władzy. Była ona jednak zbyt inteligentna, by się okazać skuteczną. Największą jej wadą było to, iż stwarzała sytuację mniej lub bardziej otwartej rywalizacji o sukcesję w łonie samej rodziny cesarza, a nawet -ponieważ nie istniało żadne jasno określone w tej dziedzinie prawo - pośród wielkich rodów Rzymu, których najbardziej wpływowi członkowie mogli potajemnie żywić ambicje zdetronizowania panującej dynastii.

Sprawy wzięły tym bardziej skomplikowany obrót, że August nie miał szczęścia do potomków. Było szczytem ironii, iż człowiek, który ustanowił system tak wspianiały, że pozwalał mu on na stare lata wybrać następcę zarazem pewnego, jak i miłego swemu sercu, okazał się prawie całkiem bezpłodny: rodzi mu się tylko córka, którą oskarża się o to, iż w wieku trzydziestu lat serce miała matkobójczyni, umysł zaś licealistki; że mieszała sprawy seksu i władzy, kompromitując się z najbardziej zagorzałymi jej przeciwnikami, tak że musiał ją zesłać na wyspę. Przyszło mu się tedy zdać na zięciów. Najznamienitszy spośród nich, Marcellus, umarł bardzo młodo. Wnukowie, których cesarz odebrał matce, także pomarli. Aby znaleźć następcę, musiał zdać się na syna, którego Liwia miała ze swego pierwszego małżeństwa - na Tyberiusza. Ten ostatni przez cały czas panowania Augusta służył za zatkaj-dziurę, raz będąc o krok od oficjalnej inwestytury, to znów zepchnięty na plan dalszy. Zanim uzyskał władzę, doznał najgorszych rozczarowań. Czekwały go następne. Jak już widzieliśmy, nie wystarczało władzę zdobyć, trzeba jeszcze było ją utrzymać: brak jasno i prawomocnie określonego następcy otwierał pole dla wszelkiego rodzaju zakusów i ambicji. Dowodem na to poczynania Agryppiny, a zwłaszcza Sejana.

MIEDZY GROBEM A WŁADZĄ

W takim to właśnie kontekście i na takiej szachownicy pojawia się Kaligula - nieostro rysująca się postać, którą z cienia wydobywa nieubłagana walka pozostawiająca za sobą same jedynie trupy. Ojciec go osierocił, kiedy chłopiec był jeszcze małym dzieckiem; upokorzona i prześladowana matka wydana została na pastwę oprawców. Kaligula wzrastał w atmosferze szpiegostwa, nienawiści, wszech-obecności intryg. Bracia jego, jeden po drugim, zginęli od zbrodniczej ręki - otóż i jego dzieciństwo, i lata młodości, a to, jak się można domyślać, pozostawia trwałe ślady.

Prócz tych tragicznych epizodów niewiele wiemy o jego młodości. Urodził się w Ancjum w 12 roku n.e. Po śmierci ojca opuścił rodzinny dom, by najpierw zamieszkać z Liwią, wdową po Augustie, potem zaś u Antonii, babki ze strony ojca, wraz z dwiema siostrami, z których jedną była Druzylla, tak bardzo doń potem przywiązana. Czyżby to więc ostrożności babki zawdzięczał, że udało mu się uniknąć prześladowań, jakie spotkały jego bliskich? Czy też temu, iż potrafił się odciać od niezręczności i namiętności, co stały się przyczyną ich zguby? W każdym razie jest rzeczą pewną, że

Sejan próbował go zdyskredytować oskarżając o udział w spisku, o którym nic bliższego nie wiadomo. Wydaje się także, iż Kaligulą był na tyle sprytny, by uniknąć zasadzek i prowokacji, jakimi minister osaczał tych, których chciał zgubić. W każdym razie nigdy nie zdołano wyrwać zeń ani jednego słowa przeciwko Tyberiuszowi. I być może ostrożność tę zawdzięczał radom Antonii, w której domu spędził - od 29 do 32 roku - trzy decydujące lata, które rodzinie jego przynieść miały zagładę.

Rozwaga ta wszakże niewiele pewnie by mu się zdała, gdyby nie dobra wola Tyberiusza. Nie wiadomo, czy to jego osobistej interwencji zawdzięczamy, że Kaligulę oddzielono od reszty rodziny. Jednakże jeśli nawet - jak twierdzi Tacyt - stary cesarz nienawidził w nim potomka Germanika, cechująca go ostrożność męża stanu doradziła mu zapewne zachować tę kartę, której przydatność zdawała się oczywista. Albowiem po śmierci Agryppiny i jej synów sprawa sukcesji raz jeszcze w niezbyt wyraźnym zarysowała się świetle: Tyberiusz miał jedynie wnuka, Tyberiusza Gemellusa, nazbyt jeszcze małego, by mógł sprawować władzę; istniały zresztą podejrzenia, iż jest on synem z nieprawego łoża Sejana, byłego kochanka Liwilli.

Tak więc w roku 32, w rok po zlikwidowaniu ministra, Tyberiusz zawezwał Kaligulę na Kaprę, gdzie ten w wieku dziewiętnastu lat przywdział togę dojrzałego mężczyzny. Trudno w sposób jednoznaczny wy tłumaczyć sobie tę inicjatywę, która, przybliżając młodzieńca do władzy - uzyskiwał dzięki temu rangę przypuszczalnego następcy - oddalała go jednocześnie od Rzymu, gdzie popularność, jaka teraz otaczała jego imię, mogłaby mu przewrócić w głowie i wywołać nowe zamieszki. Dla pewności Tyberiusz nie powierzył mu żadnego ważnego urzędu i nie przyznał żadnego zaszczytu poza tym, nader skromnym, że uczynił go kwestorem. Kaligulą przebywał więc przez pięć lat na Kaprei, nie mogąc się uskarżać na brak wolnego czasu, którego większość - według Swetoniusza - spędzał na rozpuście. Jednakże te rozwiązłe zabawy wcale nie są bardziej zaświadczone aniżeli uciechy, jakimi Tyberiusz miał jakoby umilać sobie lata starości. Jest rzeczą bardziej prawdopodobną, iż Kaligulą - choć mu się zdarzało, jak wszystkim młodzieńcom w jego wieku, odwiedzać szynki pod najprzeróżniejszymi przebraniami - część swego czasu poświęcał sztukom scenicznym, za którymi przepadał, oraz literaturze. Nie sposób inaczej wyjaśnić ogromnej kultury, jaka charakteryzowała jego sądy, wygłaszane niekiedy z wielką kąśliwością, lecz głębokie, a które zdarzało się mu wypowiadać o pisarzach. W otoczeniu Tyberiusza znajdował zresztą więcej filozofów niż stręczycielek.

Miał wszakże pilniejsze sprawy do załatwienia aniżeli naukę. Najpierw przypaść do gustu czy też przynajmniej starać się nie być niemiłym cesarzowi. Zabiegał o to, jak się wydaje, z wielką dozą uległości, „zdając się całkowicie nie pamiętać o nieszczęściach, jakie spadły na jego bliskich, jak gdyby nikomu z nich nie przytrafiło się nic złego, i przełykając własne afronty z niesłychaną wprost łatwością”. Czy to aby wystarczy? Nie mógł być tego pewien. Tyberiusz Gemellus, jakkolwiek młodszy odeń, nie mógł się uskarżać - jak się wydaje - na brak zwolenników w niektórych kołach. Z drugiej zaś strony, jeżeli Tyberiuszowi pozostało jeszcze parę lat życia, to czy nie nada swojemu wnukowi - z wiekiem zdoła się on „uwiarygodnić” - godności, które będą go typowały do przejęcia schedy?

Dla Kaliguli równałoby się to wyrokowi śmierci. Wobec tej zatrwającej perspektywy pozostawał bezsilny: znajdował się tutaj pomiędzy grobem i władzą. Gdyby natomiast cesarz zmarł niebawem, Kaligula nie byłby tak całkiem bezsilny: mógł zyskać sobie poparcie ludzi, którzy w decydującej chwili potrafiliby się okazać pomocni. Najbardziej skuteczne było oczywiście poparcie ze strony Makrona, człowieka, którego

Tyberiusz obarczył misją zlikwidowania Sejana, a następnie mianował na kluczowe stanowisko dowódcy gwardii pretoriańskiej. Makron, człowiek niewiadomego pochodzenia, zdaje się zapowiadać pod pewnymi względami owych wszechwładnych wyzwoleńców, którzy, zaskarbiwszy sobie zaufanie pana, panować będą nieco później, choć już teraz cesarski dwór czuje przed nimi respekt. Ten bezlitosny i oddany policjant przegląda nawet teksty tragedii w nadziei, że znajdzie tam karygodne aluzje do cesarza; potrafi on zgubić, kogo tylko zechce. Mniej wyniosły od Sejana, lecz równie jak tamten perfidny, zniechęcony w kręgach uczciwych ludzi, trzymał cały Rzym w swoim ręku.

Zważywszy na podeszły wiek Tyberiusza, naturalną kolejną rzeczą Makron zainteresowany był w tym, by pozyskać sobie względy Kaliguli, którego dojście do władzy w imperium stawało się z każdym dniem coraz bardziej prawdopodobne. Więż tę przypieczętowano w sposób nieco zadziwiający, aczkolwiek charakterystyczny dla metod postępowania przyjętych przez nowy ustrój: żona Makrona została kochanką Kaliguli. W tym, co na ten temat piszą historycy, jest niewątpliwie nieco przesady. Jedni utrzymują, iż Makron sam pchnął swą żonę w ramiona przyszłego cesarza; inni, że Kali-gula zobowiązał się na piśmie, iż ją poślubi, jeśli dojdzie do władzy. Czyżby więc owa żona policjanta była aż tak naiwna? Bardzo to wątpliwe. Nic jednakże nie pozwala zanegować istnienia tego związku, który każdej ze stron dawał pewną gwarancję... i okazję do szpiegowania.

Gdy więc nadszedł oczekiwany dzień - 18 marca 37 roku - Makron, przynajmniej on, okazał się wiernym partnerem. Kiedy tylko uzyskał pewność, że Tyberiusz nie podniesie się już z łoża, wysłał kurierów do wszystkich prowincji z poleceniem, żeby armia uznała w Kaliguli nowego cesarza. Ponadto przygotował w Rzymie wszystko tak, aby przejęcie władzy odbyło się tam jak najszybciej i w jak najlepszych warunkach. W oczekiwaniu na przybycie Kaliguli, który znajdował się oczywiście w Kampanii przy zwłokach Tyberiusza, Makron polecił konsulom zwołać senat, by ten oficjalnie ogłosił młodzieńca imperatorem. Jest jednak rzeczą mało prawdopodobną, żeby w swym zapale posunął się aż do tego, by „pomóc” Tyberiuszowi umrzeć, dusząc go kocami, jak twierdzi Tacyt. Zabójstwo to nie było potrzebne, ponieważ cesarz, zdaniem lekarzy, nie miał żadnej szansy przeżycia. Wszystkie świadectwa historyczne zgodnie to potwierdzają.

Niemniej jednak poparcie Makrona stanowiło gwarancję nie do pogardzenia. A to dlatego, że w testamencie swym Tyberiusz ustanawiał spadkobiercami na równych prawach Tyberiusza Gemellusa i Kaligulę. To dwuznaczne rozporządzenie dotyczyło prywatnego majątku Tyberiusza, lecz można się nim było posłużyć, aby zakwestionować prawo następcy do sukcesji. Owa niechęć do jasnego sprecyzowania, kto jest następcą, nie została podyktowana zmęczeniem i zubożeniem na sprawy tego świata, jakich można się było spodziewać u siedemdziesięcioośmioletniego człowieka, którego doświadczenia jako władcy nie były najszcześniejsze. Zdaniem dzisiejszych historyków Tyberiusza skłoniło do tego polityczne wyrachowanie. Zgodnie z nie pozbawionymi hipokryzji prawami panującego ustroju chciał on udać w ten sposób, że nie przesądza wyboru, jakiego dokonać miał po jego śmierci senat, i ustępstwem tym, natury czysto formalnej, pragnął dać solidniejsze podwaliny pod władzę swego następcy: senat miał wrażenie, iż dokonuje w sposób nieskrępowany wyboru cesarza, nie narzucano mu go przecież. Trafność tej interpretacji nie ulega zgola wątpliwości. Jest rzeczą oczywistą, że stary cesarz pogodził się z tym, iż następcą jego zostanie Kaligula.

Makron postąpił tedy zgodnie z jego życzeniem „forując” syna Germanika i udzielając mu poparcia. A przynajmniej Tyberiusz się temu nie sprzeciwił. W każdym razie przejrzał grę, jaką prowadził minister: pewnego dnia powiedział doń, że „odwraca się od zachodu, by spoglądać na wschód”. Nie miał również złudzeń co do tego, jak się dalej potoczy bieg wypadków. Innym bowiem razem, trzymając w ramionach Tyberiusza Gemellusa, swojego wnuka, powiedział do Kaliguli, który był przy tym obecny: „Zabijesz go.” Po czym ze łzami w oczach dodał: „A ktoś inny zabije ciebie.”

POTWÓR

Możliwe, że w słowach tych kryje się inne znaczenie, aniżeli to, jakie im później przypisywano. Można się zastanowić, czy Tyberiusz, który pod koniec swoich dni nie ufał nikomu i żył zapewne w ciągłej bojaźni o siebie, nie chciał przez to po prostu powiedzieć, iż odtąd w sferach władzy morderstwo stanie się prawem. Zinterpretowano je jednak inaczej: chciano w nich widzieć prorocstwo człowieka, który przejrzał na wylot tego, co miał po nim nastąpić. Cztery lata później, w rzeczy samej, 24 stycznia 41 roku n.e. Kaligula zginął zamordowany. Nie tak wszakże, jak giną cesarze, lecz szezęł niczym jedna z owych złych bestii, na które zasadzają się wieśniacy i bezlitośnie je zabijają.

Kronika z tamtych czasów donosi nam drobiazgowo, i to nawet z pewnym zbytkiem szczegółów, o szaleństwach i haniebnych wyczynach, które usprawiedliwiają to morderstwo. Tutaj jednak, wzorem owych powieściopisarzy, którzy niegdyś głośno się tłumaczyli zapewniając, że nie ponoszą odpowiedzialności za niecne postęпки swych bohaterów, musimy przestrzec czytelnika, iż - aczkolwiek prowadziliśmy go poprzednio drogami, które w sposób nieubłagane przyziemny zawiadują ludzkimi ambicjami - pograżamy go teraz w zupełnym delirium. I słowo to wcale nie wydaje się tutaj zbyt mocne. Zgodnie bowiem z tym, co powiedział Swetoniusz, będziemy mówili o potworze, to znaczy o istocie, której postępowanie nie ma w sobie nic ludzkiego.

STRZEŻCIE SIĘ... ZBIERAJ MUSZLE! PILNUJ KIESZENI...

Najlaskawszy obraz, jaki autorzy ówczesni proponują nam w opisach młodego cesarza, to w istocie postać władcy zmiennego w nastrojach, w którego chaotycznym sposobie zarządzania nie brak sprzecznych decyzji. Znosi on „ustawę o obrazie majestatu” (na mocy której, ktokolwiek ważyłby się uwłaczyć godności cesarza, podlegał karze śmierci), ale skazuje setki osób na podstawie tejże samej ustawy; znosi podatki, aby przywrócić je dnia następnego, publikując ponadto dekret w taki sposób, by zainteresowani nie mogli się z nim zapoznać i popadali nie ze swej winy w kolizję z prawem. Te same sprzeczności przejawiają się w jego stosunku do ludzi: przyznaje siostronom zaszczyty niemalże boskie, po czym robi z nich nierządnicę i nagle skazuje na wygnanie na wyspy Morza Śródziemnego: „Żeby nie zapomniały - mówi na pożegnanie - iż posiada wyspy, ale też i miecze.” Rozpoczyna swe panowanie oczerniając przy każdej okazji Tyberiusza i pochlebcy czym prędzej go w tym naśladują. Następnie któregoś dnia przychodzi do senatu, wygłasza beznamiętną pochwałę poprzednika i oskarża tych, którzy go krytykowali idąc za jego przykładem, o brak poszanowania „dla tego, który był niegdyś ich przywódcą”. Łatwo się domyślić, iż w tych warunkach kondycja dworzanina, jedyny dochodowy zaw^od w Rzymie czasów cesarstwa, nie była najspokojniejszym

zajęciem. „Toteż nie wiadomo było - pisze Dion Kasjusz - ani jakimi słowy zwracać się do niego, ani jak się zachować; ci, którzy potrafili go zadowolić, zawdzięczali to raczej przypadkowi aniżeli swej zręczności.”

Wielu jest zapewne władców, których panowanie staje się prawdziwym nieszczęściem dla poddanych. Niewielu z nich jednak otwarcie oświadcza, że to jest właśnie złota reguła ich polityki. Kaligula natomiast obwieszczał to w długich diatrybach: po powrocie z Galii publikuje edykt, w którym oznajmia, iż „wraca, lecz jedynie dla tych, którzy życzyli sobie jego powrotu, to znaczy dla ekwitów i dla ludu, albowiem od tej pory nie będzie już ani współobywatelem, ani władcą dla senatorów”. I pobrzękując niczym Falstaff mieczem, który nosił u boku, dodaje mniej oficjalnie: „Przyjadę, oj przyjadę, a on wraz ze mną.” Nie są to wcale słowa rzucane na wiatr: będąc wielkim bałaganiarzem w sprawach finansowych, skrupulatnie za to odnotowuje wszystkie wydane przez siebie wyroki śmierci. Założył podwójną listę

tych, którzy mają zginąć „od miecza” i „od sztyletu”, zapisując dokładnie przy każdym skazańcu rodzaj zbrodni, jakiej ów się dopuścił. Jeśli nie wytracił całego senatu, to dlatego że przeszkodziła mu w tym śmierć. Nie szczędzi mu wszelako żadnego upokorzenia. Odmawia przyjęcia deputowanych, jakich senat doń przysyła, zabrania ogłaszania dekretów. „Na jego życzenie - powiada Swetoniusz - kilku najwyższych dostojników senatu musiało biec przy jego rydwanie w togach przez wiele tysięcy kroków, a w czasie uczy stać u wezgłowia czy u jego stóp z serwetą u pasa. Innych, chociaż tajemnie zgładził, niemniej wymieniać kazał uporczywie jako żywych. Po kilku dniach rozgłaszał kłamliwie, jakoby zginęli z własnej ręki.”

Wbrew temu zresztą, co Kaligula proklamuje we wspomnianym dekrete, żadna kategoria społeczna nie stoi poza zasięgiem jego upokorzeń. W gruncie rzeczy bowiem w jego oczach nie ma ani dobrych, ani złych obywateli. Ekwitom płała figle, pozwalając tłuszczy brać szturmem ich ławki w czasie przedstawień teatralnych, kiedy to każe rzucać tam zniecka biedocie trochę grosza. Jeszcze bardziej okrutny okazuje się dla ludu. Najniewinniejszy z jego dowcipów to domieszać kawałki blachy do drobniaków, jakie wedle zwyczaju rzuca niekiedy pospółstwu podczas zabaw, albo nakazać okładanie kijem biedaków, którzy od świtu stoją w kolejce pod cyrkiem, aby się dostać na nie zarezerwowane miejsca, a to pod pretekstem, że zakłócają mu sen; albowiem chociaż nie można powiedzieć, żeby całe dni spędzał w cyrku, jego namiętność do wyścigów rydwanów konnych sprawiała, że często przesiadywał w klubie partii Zielonych², której był zagorzałym zwolennikiem. Kiedy indziej znów każe nagle w amfiteatrze zwinąć zasłony, które chronią widzów od palących promieni słońca; zabrania komukolwiek wychodzić i nie dosyć, że zmusza w ten sposób stojący bez ruchu lud rzymski do pieczenia się niczym na patelni, to jeszcze frustruje go każąc oglądać swoje ulubione widowisko, kiedy to na arenę wybiegają do walki, zamiast doborowych gladiatorów, starcy, kalecy i ojcowie rodzin. Ubolewając wreszcie nad spokojnym przebiegiem swojego pryncypatu - nie upamiętnia go żadna klęska żywiołowa, żadna publiczna katastrofa, jak zawalenie się amfiteatru w Fidenach, które, za panowania Tyberiusza, spowodowało śmierć dużej liczby widzów - sam bierze się do ich fabrykowania, by w ten sposób powetować sobie niesprawiedliwość Opatrzności: zapowiada ludowi klęskę

² Jedna z czterech grup woźniców cyrkowych, utrzymujących stajnie wyścigowe i występujących jako: Zieloni, Błękitni, Biali i Czerwoni.

głodu i w konsekwencji tego zamyka publiczne spichrze. Kiedy zna się wagę, jaką pospólstwo rzymskie przywiązywało do rozdawanego mu bezpłatnie zboża, co stało się jego jedynym przywilejem, łatwo się domyślić, jak wielki gniew ludu mogły wywołać tego rodzaju prowokacje. Przejawiał się on wielokrotnie pod postacią wrogich sloganów i prób buntu. Można było widzieć i słyszeć - pisze Dion Kasjusz - „co w podobnych okolicznościach są w stanie powiedzieć i zrobić: człowiek w przystępie gniewu i występujący przeciwko niemu lud. W grze tej jednakże siły przeciwników nie były równe. Siłą ludu były tylko słowa i gesty, podczas gdy Kaligula mógł wydać rozkaz stracenia swych przeciwników, jednych porywając z miejsc, skąd oglądali widowisko, innych każąc pojmać po ich powrocie do domu.”

Człowiek ten, istne przeciwieństwo męża stanu, pewnego dnia wystąpił niespodziewanie w roli wodza, i to w komicznych okolicznościach. W czasie przechadzki nad brzegiem Klitumna, słynnej rzeki w okolicach Rzymu, uświadomił sobie nagle, że armia rzymska istnieje. Ktoś z otoczenia cesarza zauważył bowiem, iż liczebność jego przybocznej straży złożonej z Germanów topnieje z dnia na dzień; Kaligula, chcąc zdobyć ową garść ludzi niezbędną do uzupełnienia szeregów swej gwardii przybocznej, postanawia przedsięwziąć niezwłocznie zakrojoną na szeroką skalę wyprawę przeciwko Germanom, których uporczywość i sztuka wojenna największych wodzów, w tym Germanika, jego ojca, nie potrafiła przełamać. Tak więc, nie tracąc czasu na powrót do Rzymu, cesarz ogłasza zaciąg. Z Hiszpanii, z Afryki, jeśli już nie ze Wschodu legiony ściągają do Galii. On sam udaje się w drogę i podróżuje tak szybko, że kohorty pretorianów, by za nim nadążyć, zmuszone są - nie bacząc na tradycję i niegodność takiego postępcu - obarczyć, niesieniem swych znaków bojowych juczne zwierzęta. Po czym, kiedy Kaligula staje na granicy - nic. Śmieszne wyprawy na kilka kilometrów od rzymskich baz, o czym szczegółowiej opowiemy nieco dalej; bezsensowne i uciążliwe środki dyscyplinarne przeciwko oficerom i żołnierzom. Następnie, dla ukoronowania tego wszystkiego, wielkie przedstawienie: cesarz rozwija szeregi swojej armii nad brzegiem Oceanu, dokonuje przeglądu statków, ustawia maszyny wojenne, tak jakby się gotował do podboju Brytanii, gdzie Rzymianie, w szczególności zaś Cezar, niejednemu również doznali porażki. Potem nagle, ni stąd, ni zowąd, rozkazuje żołnierzom zbierać muszle i powraca do Rzymu, poleciwszy uprzednio zbudować na brzegu morza latarnię morską w celu upamiętnienia tego wyczynu. A w czasie całej tej wyprawy nieustannie śle do senatu i do ludu listy, w których wyrzuca im, „że bankietując całymi nocami, chodzą do cyrku, oglądają widowiska teatralne i zażywają wypoczynku w uroczych zakątkach, podczas gdy on, cesarz, walczy narażając się na straszliwe niebezpieczeństwa”.

Malowniczość tych rządów przejawia się jednak najbardziej w dziedzinie finansowej. Wielu ministrów mogłoby spać spokojnie, gdyby tylko dysponowało jedną czwartą tych środków finansowych, jakie potrafił zdobyć Kaligula. Najprostszym sposobem było skazywanie na śmierć osób posiadających znaczny majątek. Historia daje co prawda więcej przykładów tego procederu, niżby się mogło wydawać. Zazwyczaj jednak tego rodzaju wyrok starannie się kamufluje pozorując proces ideologiczny lub też obciążając kogoś jakimś widowiskowym oskarżeniem - jak to miało miejsce chociażby w procesie templariuszy, by posłużyć się tym znanym przykładem. Kaligula wszelako ani myśli aż tak komplikować sobie życia. Przeciwnie, postępuje z największym cynizmem: kiedy spotka kogoś na ulicy, uprzytomniwszy sobie nagle wysokość jego „konta w banku”, wydaje rozkaz posłania mu zatrutych łakoci albo oddania go katu. Od tej pory dla kogoś, kto jest

bogaty, żyć w ukryciu to już za mało; dochodzi on do wniosku, iż dla własnego bezpieczeństwa powinien się pozbyć pieniędzy. Cesarz zaś gotów jest mu to ułatwić. Każe mianowicie obsypywać się prezentami i organizuje licytacje: wystawia wówczas na sprzedaż gladiatorów, którzy zwycięsko wyszli z walki na arenie, rozkazując ich nabywać dostojnikom, których funkcje publiczne zobowiązują do urządzania igrzysk. Nie zabrania się wszakże bogatym ludziom nie piastującym żadnych urzędów korzystać również z tej okazji... Dla pewności Kaligula sam ustanawia cenę wywoławczą licytacji „tak wysoko, iż niektóre osoby, zmuszone do zakupu takiego czy innego zespołu gladiatorów po niezmiernie wygórowanych cenach, ograbione z majątku otwierają sobie żyły. Powszechnie wiadomo, co się przytrafiło Aponiuszowi Saturninowi: podczas gdy drzemał on sobie na ławce, Kaligula zwrócił woźnemu uwagę, żeby nie pomijał byłego pretora, który częstymi ruchami głowy mu przytakuje, i licytacja skończyła się dopiero wtedy, gdy zasądzono mu, bez jego wiedzy, trzynastu gladiatorów za dziewięć milionów sesterceji." Inaczej mówiąc, rzeczony pretor obudził się zrujnowany. Kaligula wpadł nawet na owocny pomysł sprzedaży licytacyjnej mebli należących do rodziny cesarskiej. Działo się to w Lyonie. Prowincjusze nie mogli się nie poczuć mile polechtani nabyciem mebli, do których przylgnęło trochę wielkości dawnego Rzymu. Rozpoczął od umeblowania i niewolników swoich siostr, które niedawno skazał na wygnanie, i sprzedał nawet ich klejnoty. Następnie kazał sprowadzić z Rzymu wszystko, co należało do jego poprzedników. Wśród innych palinodii sam, ze staraniem godnym handlarza antykami, zachwalał towar, wymieniając znamienite osoby, do których należało to czy owo naczynie lub sprzęt, okraszając to czasami jakąś anegdotą, by cena stała się strawniejsza.

Wreszcie, w ciągłej trosce o zasilenie skarbu państwa, wymyślił coś jeszcze bardziej zadziwiającego: „Chcąc wyzyskać do ostatka wszelką sposobność łupu, założył na Palatynie dom publiczny. Tam urządził i ozdobił odpowiednio do majestatu cesarskiego liczne oddzielne pokoiki, w których umieszczono męzkatki i młodzież męską wolnego pochodzenia. Rozesłał po fortach i bazylikach swych wywoływaczy, aby zapraszali na rozpustę młodzieńców i starców. Gościom zakładu udzielano lichwiarskich pożyczek i wyznaczona do tego służba spisywała jawnie ich nazwiska jako osób pomnażających dochody cesarza."

W parze z tymi zręcznymi posunięciami szło u niego pojęcie pieniądza, magiczne i dziecinne zarazem. Niczym średniowieczni alchemicy złej sławy, Kaligula, „ogarnięty żądzą dotykania złota, chodził często bosymi nogami po ogromnych stosach monet zaścielających podłogę jakiegoś bardzo obszernego pomieszczenia i tarzał się w nich długo cały".

Sumy, o jakie te grabieżcze poczynania powiększały dochody cesarskie, przeznaczone były przede wszystkim na zapewnienie mu luksusu; niektóre detale przeszły do potomności, jak na przykład owe perły, które podobno zjadał, kazał je najpierw rozpuszczać w occie; czy też na wspaniałe podarunki, jakimi obdarzał niespodziewanie aktorów i woźniców, z którymi najczęściej spędzał czas; wreszcie na widowiska, które często urządzał, szczególnie na walki gladiatorów, czym sam się nawet przy okazji zajmował znajdując w tym zabawny i, można powiedzieć, niewinny sposób zaspokajania co skrytszych swych zdrojnych potrzeb.

KALIGULA - MALDOROR

Jeśli wierzyć historykom, rzymskim z czasów cesarstwa, Kaligula nie sam się cieszył w Rzymie w I

wieku n.e. przywilejem okrucieństwa. Było ono wówczas dosyć rozpowszechnione, i to we wszelkiego rodzaju formach. Okrucieństwo Tyberiusza, któremu Swetoniusz przydaje charakteru, aż nazbyt romantycznego, było zimne i wyniosłe, podporządkowane racji stanu i nieuniknionym koniecznościom władzy. Ten ponury szafarz sprawiedliwości łączył w sobie chęć traceniał wicherzycieli ze skończoną perfidią człowieka zdolnego do każdej podłości, do każdej zasadzki, a zarazem wyzwalał okrucieństwo innych: doprowadzał do tego, iż zięjący nienawiścią, spragniony zemsty senat linczował jego ofiary i wydawał zwłoki tłumowi, by ten rozdzierał je na strzępy, jak to się stało w przypadku Sejana, którego ciało pospólstwo wlokło po ulicach Rzymu i zmasakrowało do tego stopnia, że nie można było znaleźć żadnego przyzwoitego kawałka, by go pochować. Przy okazji dokonuje się egzekucji na jego pierworodnym synu i większości przyjaciół; po czym, „jakkolwiek gniew ludu ostygła, a poprzednimi kaźniami ułagodziły się przeważnie umysły”, wtrąca się dwoje jego pozostałych dzieci do więzienia. Dzieci jeszcze niedorośle. Córeczka niczego z tego wszystkiego nie rozumie. Pyta, dokąd ją wiodą, czym też zawiniła, i powtarza, „że to się już więcej nie powtórzy”: oddają ją katu. Jednakże, ponieważ zwyczaj zabrania dokonywania egzekucji na dziewicach, oprawca zgwałcił ją, a potem dopiero udusi. Po czym strąca obydwa ciała ze szczytu Schodów Gemońskich do Tybru. W tym zaś czasie Tyberiusz, nie skalawszy sobie rąk, zażywał ochłody w ogrodach na Kaprei, a dzieląca go od Rzymu odległość strzegła go skutecznie od krzyków i jęków, które mogłyby dotrzeć do pałacu.

Okrucieństwo Klaudiusza natomiast było głupie i nieświadome, to okrucieństwo człowieka, który trawi. Pozwolił ministrowi zlikwidować swoją trzecią żonę, Messalinę, nie dopuszczając jej nawet przed swoje oblicze, by mogła się oczyścić z zarzutów cudzołóstwa i spisku, o co ją pomawiano. Prawdą jest, iż nie byłaby w stanie tego uczynić. Dziwne to jednak, że cesarz zostawia tak bezceremonialnie swoją żonę w ogrodzie. Ogranicza się do tego, by kazać ją od czasu do czasu przywołać; po raz pierwszy dzieje się to po długim, suto zakrapianym posiłku, po raz drugi, kiedy ma powtórnie zasiąść do stołu. „Dlaczego - miał jakoby zapytać - cesarzowa nie przychodzi?” Z tej prostej przyczyny, że już wtedy nie żyła: Narcyz podjął ryzyko zglądzenia jej. Jednakże w czasie, jaki dzielił trawienie jednego posiłku od drugiego, Klaudiusz miał przebliski świadomości, przyglądał się więc, jak ludzie umierają; on to właśnie systematycznie skazywał gladiatorów zwanych *retiarium* ³, ponieważ - jako że nie nosili hełmu - można było na ich twarzy wyczytać lęk przed śmiercią.

Przykłady i obrazy tego rodzaju można by mnożyć. Oryginalność Kaliguli polegała nie na tym, iż był okrutny, lecz na tym, że dysponował jak gdyby pełnym rejestrem okrucieństwa. Przede wszystkim miał zamiłowanie do rzezi. Pewnego dnia kazał stracić dwudziestu sześciu rycerzy na raz. Kiedy indziej, donosi Dion Kasjusz, „nasyciwszy się jadem i upoiwszy winem, kazał strącić z mostu do morza wielu swych przyjaciół i żołnierzy i staranować ich statkami uzbrojonymi na dziobie w ostrogi, tak że dla niektórych skończyło się to marnie, choć większość, aczkolwiek byli pijani, uszła z życiem”.

³ •Retiarium (siatnik) walczył zawsze w parze, z tzw. *secutorem* (ścigaczem). W lewej ręce trzymał trójzęb, w prawej sieć, którąś usiłował zarzucić na ścigacza.

Jednakże owo zamięłowanie do hekatomb nie wykluczało najwytrawniejszego wyrafinowania: „Tak uderzaj, aby skazaniec czuł, że umiera” - miał w zwyczaju mawiać do kata. Nie liczył przy tym wyłącznie na wirtuozerię swych oprawców. Znał dogłębnie wszelkie odmiany cierpienia, wszystkie oblicza śmierci. Wybierał najstraszniejsze. Ludziom, których skazywał na wygnanie i którzy odchodzili z niemalże lekkim sercem, szczęśliwi, że tak tanim kosztem uszli cało, kazał doręczać po drodze rozkaz otwarcia sobie żył; czy też, zanim jeszcze wyruszyli, siał w ich umysłach wątpliwość. Kiedy Pizon, którego skazał na wygnanie, poprosił o pozwolenie zabrania ze sobą dodatkowo kilku niewolnych, udzielił mu tej łaski, dodając ironicznie: „Nie zabraknie u boku twego żołnierzy.” Toteż wielu wołało samobójstwo od perspektywy zsyłki zatrutej obawą. Niepotrzebnie zginął, mógłby żyć - mawiał niekiedy cesarz nie bez perwersji. Lubił się również bawić kosztem swych poddanych: w czasie widowisk każe porywać z miejsc nic a nic się nie spodziewających grożącego im niebezpieczeństwa biedaków. Ledwo co mają czas pojąć niesprawiedliwość i okropność tego, co im grozi, krzyczą. A i to nie zawsze: jeśli krzyczą za głośno, poleca wyrwać im język przed oddaniem ich katu. Wszystko to przecież jeszcze nic, albo prawie nic, w porównaniu z epizodem odsłaniającym uczucia całkiem innego wymiaru - z pogrzebem, jeśli tak można powiedzieć, babki jego Antonii, której śmierć przyspieszył swoim postępowaniem i być może też trucizną. Gdy więc ją chowano, nie tylko zakazuje przyznawania jej jakichkolwiek honorów, ale - pisze Swetomusz - „nie wstając od stołu, podziwiał z daleka płomienie jej stosu”. Miał - jak się wydaje - powody, by się na babce zemścić: zastała go kiedyś niespodziewanie w ramionach Druzylli. Postępek jego wykracza jednak poza granice zemsty. Idzie on również o wiele dalej niż zwykły brak poszanowania, obelga względem umarłych i przodków. To już nie okrucieństwo w banalnym tego słowa znaczeniu: owo j a uwznioślone płomieniami stosu i rozprasające nicość uświęconych przodków - to j a Maldorora.

Można by więc sądzić, iż w dziedzinie seksu - tak malowniczo przedstawiającej się w Rzymie za czasów cesarstwa, że dostarczyło to naszym pisarzom i realizatorom filmowym wybornego tematu - Kaligula był równie wielkim cudem okrucieństwa. Otóż nie. Wprawdzie zdarza mu się powiedzieć, kiedy całuje kobietę w szyję: „Ta urocza główka spadnie, gdy tylko rozkażę”, lecz jest to jedynie sposób, w jaki chce okazać swą wszechwładzę. Poza tym brak jakiegokolwiek śladu prawdziwego sadyzmu w jego stosunkach z kobietami. Dalekim będąc od dramatyzowania spraw seksu, przeżywa je, wprost przeciwnie, na sposób parodystyczny i świadomie komiczny. Siostrą każe uprawiać nierząd ze swymi przyjaciółmi, kochankę zaś oprowadza w stroju Ewy wśród zaproszonych na bankiet gości. Małżeństwom swym przydaje pozory kapryśnej groteski: skory jest do ożenku, a jeszcze skorszy do odprawienia żony. Pierwsze jego małżeństwo było przyzwoite, chociażby dlatego, iż sam Tyberiusz zajął się sprawą jego zawarcia. Drugie wszakże było jedną wielką farsą. Cesarz zabiera Pizonowi Liwie Orestyllę jeszcze w dniu ślubu tych obojga. Niektórzy powiadają, że w czasie trwania uczty weselnej zwracając się do pana młodego miał jakoby wyrzec te oto dowcipne słowa: „Nie ściskaj zbyt mocno mojej żony!” Ten sposób postępowania nie implikował dlań zresztą, na szczęście systematycznej legalizacji faktu dokonanego przez prawomocne zaślubiny. „Nie darował prawie żadnej kobiecie znakomitego rodu - pisze Swetoniusz. - Zapraszał je najczęściej wraz z mężami na ucztę. Gdy przechodziły obok jego stóp, starannie i rozważnie im się przyglądał obyczajem handlarzy niewolników, nie-raz ręką podnosząc którejs głowę, jeżeli schylała ją ze wstydu. Następnie, ilekroć miał ochotę, opuszczał salę

jadalną, uprowadzając na -stronę tę, która mu się najbardziej podobała. Wkrótce wracał ze świeżymi jeszcze śladami rozpusty i bądź to jawnie chwalił, bądź ganił, wyliczając poszczególne zalety lub usterki cielesne i miłosne." Co do swej trzeciej żony, sprowadził ją sobie z odległej prowincji i - jak to miał w zwyczaju czynić - rozwiódł ją z mężem „z powodu nieobecności małżonka”, który pozostał na miejscu.

Owe lubieżne wybuchy spowija gęsty i zimny cień: kazirodztwo. Kaligula daje tu dowód wielkiej systematyczności: sypiał ze swymi trzema siostrami. Druzyllę jednakże, bardziej aniżeli zwykłą preferencją, darzył pewnego rodzaju opiekuńczą i zazdrosną dewocją wynikającą niewątpliwie z poczucia więzi rodzinnej, która od dzieciństwa przywiązuje nas ślepo do takiej czy innej bliskiej nam osoby i ona to później staje się tą, co daje o nas „świadecko”. Druzylla umarła w roku 38. Kaligula przeżył wielki dramat. Schronił się do Syrakuz i powrócił do Rzymu z rozwianym włosem, ogłaszając surową żałobę, która kosztowała życie kilku nieostrożnych. Możliwe, że Cezonia, jego czwarta żona, którą zdawał się darzyć uczuciem nieco bardziej trwałym, zawdzięczała ten przywilej temu, że była substytutem Druzylli.

UCZYNIĆ Z NOCY DZIEŃ...

Do tej pory zajmowaliśmy się prawie wyłącznie sprawami banalnymi, w tym sensie, iż dokładne przestudiowanie postępowania na przykład Klaudiusza ujawniłoby prawdopodobnie mniej, lecz podobnej natury, bezceństw i braku konsekwencji. Wspomnieliśmy już o stanie ośpienia Klaudiusza wobec zabójstwa Messaliny. Jeśli wierzyć Swetoniuszowi, jego zachowanie wówczas nie da się wyjaśnić ani przejściową aberracją umysłu, ani niepospolitą wprost dwulicowością. Ujawnia ono głęboką naturę tego człowieka, którego August odsunął od wszystkich zaszczytów z powodu jego głuptactwa. Tym, co mówił, i tym, co czynił, często dawał dowody tak wielkiego roztrzęsania, że wydawało się, iż nie Wie, czy też zapomniał, kim jest, do kogo, w jakim miejscu i w jakich okolicznościach kieruje swoje słowa. Pewnego dnia, kiedy rozmawiano o rzeźnikach i handlarzach wina, zakrzyknął w czasie posiedzenia senatu: „Ja zaś was zapytuję, kto może żyć bez kromki chleba?” Podobnie było zapewne z Neronem, którego ekshibicjonizm i kaprysy stały się legendarne. Odnosimy wrażenie, jakby w Rzymie co dziesięć lat Historia „wariowała”. Miasto to, które dawało dowody tak niewzruszonego realizmu, dopóki nie zaczęło utożsamiać się z całym światem, powierza teraz swój los rozbitkom, których zsyła mu zrządzenie pokrętnego prawa dynastycznego. Ludzie ci nie mają ani wykształcenia, ani powołania do tego, by sprawować rządy. Władza jest dla nich tylko narzędziem zaspokajania własnych namiętności. Stają się oni największymi tyranami, to znaczy tyranami bez jakiegokolwiek logiki czy planu, dopuszczającymi się, na kim popadnie, krwawych rzezi w stylu ojca Ubu - są to źli władcy, którym jedynie solidność doskonale dotartej administracji pozwala przez czas jakiś utrzymać się u władzy.

Kaligula nie jest wszak, jak Neron, zagubionym w historii władcą, któremu brak konsekwencji: posiada on w najwyższym stopniu wszystkie wady, jakie tylko można sobie wyobrazić u złego władcy. Uosabia on - później zdamy sobie sprawę z wagi tego szczegółu - jego model doskonały. Można by powiedzieć, iż skroił sobie swą postać na miarę. Do powszechnych wad dodał jeszcze inne, dla których wymyślenia potrzeba było sporo wyobraźni, począwszy od humoru, który nigdy nie był silną stroną panujących - ponieważ sprawowanie władzy sprowadza się między innymi do przydawania za wszelką cenę powagi bufonerii spraw

ludzkich. Humoru, który przybiera od czasu do czasu formę mniej lub bardziej niewinnych żartów: kiedy na przykład rodzi mu się córka, domaga się prezentów, biadoląc, że odtąd spoczywa na nim „prócz obowiązku cesarza powinność przypadająca ojcu...”! Innego znów dnia wybucha nagle w czasie uczy śmiechem. Konsulom, którzy dopytują się o przyczynę owej wesołości, odpowiada bez wahania, że po prostu przyszło mu na myśl, iż „jednym skinieniem może kazać ich obydwu udusić natychmiast”. Czy też każe jednemu z ekwitów, którego hałaśliwe zachowanie się przeszkadzało mu oglądać przedstawienie pantomimy, by czym prędzej wyruszył drogą morską do Mauretanii i doręczył królowi Ptolemeuszowi list tej treści: „Temu, kogo do ciebie posłałem, nie świadczy ani dobra, ani zła.”

Kiedy jednakże, przewodnicząc uroczystości ofiarnej, chwyta za maczugę, podkasuje togę i uśmierca... ofiarnika, wykracza to już zdecydowanie poza sferę żartów. Nie dlatego, że to zabójstwo. Ale dlatego, iż ten sposób odwrócenia ról, jak najbardziej uprawomocnionych i ustalonych przez porządek rzeczy, i zastąpienia ofiary katem ujawnia głębokie poczucie humoru, który - jak na prawdziwy humor przystało - zasada się na negacji rzeczywistości. U Kaliguli na każdym poziomie odnajdujemy tę obsesję trawestacji rzeczywistości, zdementowania jej, tak paradoksalną u władcy, którego zadaniem jest w zasadzie ją organizować... „Przy budowie swych pałaców lub will wiejskich - pisze Swetoniusz - zawsze pragnął, gardząc wszelkimi względami rozumowymi, osiągnąć to przede wszystkim, co wydawało się niewykonalne. Rzucano groble w burzliwe i głębokie morze. Kuto najtwardsze skały. Podnoszono sztucznymi nasypami równiny do wysokości gór. Wyrównywano łańcuchy górskie, ścinając szczyty... To wszystko nieprawdopodobnie szybko. Winny opóźnienia płacił głową.” I Dion Kasjusz, lakoniczniej: „Chciał z nocy uczynić dzień, z morza zaś ziemię.” Korygował nawet własną genealogię, skreślając z listy swych przodków osoby, które wydawały mu się wątpliwe, i to nawet jeśli wywodziły się z najznamienitszych rzymskich rodów. Ogłaszał umarłych żyjącymi, wymyślał klęski głodu, fabrykował wojny. W czasie owej wyprawy do kraju nadreńskiego, o której już była mowa, nie wiedząc przeciw komu się bić, „kazał kilku Germanom ze swej straży przybocznej przeprowić się za Ren i tam się ukryć oraz polecił, aby po śniadaniu oznajmiono mu z jak największym zgiełkiem o zbliżaniu się wroga. Gdy tak się stało, pomknął z przyjaciółmi i grupą konnicy pretorianów do najbliższego lasu, powycinał trochę drzew i, przybrawszy je na kształt trofeów zwycięskich, powrócił nocą przy pochodniach. Tych, którzy nie podążyli za nim, zganił za tchórzliwość i gnuśność. Towarzyszów i współuczestników zwycięstwa obdarzył wieńcami nowego rodzaju i nazwy, mianowicie: wyróżniającymi się kształtem słońca, księżycy i gwiazd, a nazywał je «wywiadowczymi». Innym razem uprowadzić kazał jako zakładników młodzieniaszków ze szkoły początkowej i potajemnie wysłał ich naprzód. Potem nagle porzucił biesiadę, ruszył z konnicą w pościg za nimi, jako niby zbiegami, schwytał i przywiódł z powrotem w kajdanach.”

Najpewniejszy jednak i najsubtelniejszy sposób zanegowania rzeczywistości polega na braniu języka dosłownie, ponieważ aż roi się w nim od powszechnie przyjętych fałszywych idei. Wystarczy, że się go zacznie rozumieć słowo w słowo, a już robi się wyłom w zwykłym biegu komunałów. Alphonse Allais potrafił nadać takiemu zabiegowi prostą formę żartu: „Pieniądze - mówią - szczęścia nie przynoszą.” No to oddaj mi swoje - proponował. Kaligula zaś, ponieważ władza pozwalała mu igrać nie tylko ze słowami, ale też z rzeczami i ludźmi, komponuje na tej zasadzie scenariusze bardziej wyrafinowane czy też bardziej

tragiczne. Platon przepędził poetów ze swego Idealnego Miasta, wobec tego Kaligula każe szukać po świecie rękopisów Homera i niszczyć je. Podobnie za panowania Tyberiusza astrolog Trazyllus przepowiedział, że „istnieje takie samo prawdopodobieństwo, iż Kaligula zostanie cesarzem, jak że uda mu się przemierzyć konno zatokę w Bajach”. Przepowiednia ta raz już została zdementowana, ponieważ Kaligula doszedł do władzy, lecz on zadał jej kłam po raz drugi: przemierzył konno zatokę w Bajach. W celu dokonania tego wyczynu, ryzykując - jak twierdzą niektórzy historycy - wywołanie klęski głodu, polecił zarekwirować statki, służące do przewozu zboża z Egiptu, ustawić je jeden przy drugim, tworząc łańcuch długości czterech kilometrów, i nasypać na nie ziemi, tak by nadać wszystkiemu wygląd drogi. Po czym, aby nikt nie miał co do tego wątpliwości, „przez dwa dni z rzędu jeździ bez przerwy tam i z powrotem po tym moście”. Podobnie nie zadowolając się ogłoszeniem *urbi et orbi* boskości swej osoby, Kaligula boskość tę materializuje w różny sposób: każe zdejmować głowy posągom bogów olimpijskich, zastępując je swoją własną podobizną, i ustawia przy świątyniach strażę, które czuwają nad tymi świątyniami „kolażami”; po to zaś, by dowieść, iż Jowisz nie robi na nim żadnego wrażenia, „grzmotowi odpowiadał mechanicznym grzmotem”.

Bawił się ponadto słowami. Lubił tworzyć sztuczne wyrażenia, biorąc za punkt wyjścia rzeczywiste sytuacje: na przykład skazawszy jednocześnie na śmierć kilku Galów i Greków, rozgłaszał wszem wobec, że „Galogrecję sobie uczynił poddaną”; czy też nazywał truciznę od nazwiska ofiary, której kazał ją podać.

Jawi nam się więc dość spójny poniekąd obraz postaci Kaliguli. Jednakże spójność ta nie ma w sobie nic filozoficznego. Albert Camus, który - niewiele zresztą dbając o zachowanie ścisłości historycznej - dość blisko się zapoznał z czasami starożytnych, przedstawił nam, wyjąwszy kilka szczegółów, Kaligulę jako człowieka zaciekle zwalczającego system wartości, na jakim opiera się społeczeństwo. Metodycznie, nie przepuszczając niczemu: państwu, wierze, literaturze, przyjaźni, miłości. Lektura Swetoniusza natomiast pozostawia w nas wrażenie odmienne: nie ma nic przemyślanego czy metodycznego w czynach, o których nam pisze, są one, spontaniczne, mają charakter komediowej improwizacji. Kaligula ulega natchnieniu chwili, poddaje się przyjemności pomysłu. Nie jest to osobnik zbuntowany, lecz przede wszystkim poeta. I to bardzo nowoczesny. Można by z łatwością wykazać, iż jego stosunek do języka i do rzeczywistości nie pozostaje bez pewnej analogii do postawy, jaką reprezentowali niektórzy poeci wyklęci dwudziestego wieku, w szczególności zaś Raymond Roussel, którego można obecnie cytować nie uchodząc za chorego na umyśle, ponieważ zyskał sobie prawo obywatelstwa wśród naszych pisarzy. Chociaż, w porównaniu z dziełem Roussela, improwizacje Kaliguli nie są niczym więcej jak odręcznym szkicem skreślonym na kawałku brulionu. Wszakże brulion ten stał się własnością historii.

POTOMNOŚĆ POTWORA

Można sobie wyobrazić, jak nasi polemisi i pamfleciści w czasach, kiedy opuszczało się szkołę z głową nabitą tekstami rzymskich autorów, mogli wykorzystać ten niespodziewany sposób sprawowania władzy. Panowanie, osoba Kaliguli dostarczają materii do smakowitych aluzji, które każdy łatwo pojmie. Również jego koń, którego - według Swetoniusza - zamierzał mianować konsulem. Nie mówiąc już o Wolterze, adwokat Linguet, na przykład, niespokojny awanturnik, który pomimo swych monarchistycznych poglądów często niezupełnie się zgadzał z królewskimi ministrami, napisał w stylu właściwym XVIII wiekowi: „W

osobliwie wielkie popadam zachwycenie, gdy widzę - w myślach karty przebiegając historii - rozeznanie, jakiego tytu królów i cesarzy dało dowód w doborze ministrów. Kiedy pomyślę o tym, w jak wielce przeważającej liczbie zawsze byli głupcy i filuci w porównaniu z ludźmi zacnymi, i kiedy widzę, że tych ostatnich odtrącano, aby wybrać dokładnie to, co najlepsze z tych pierwszych, wówczas przyznać muszę, iż czuję się zdjęty zdziwieniem i po szanowaniu. Dlatego też, cokolwiek o nim mogli powiedzieć jego przeciwnicy, chciałbym właśnie żyć pod saturnijskim panowaniem cesarza Kaliguli; tego władcy rozważnego, który tak dobrze potrafił ujawnić ukryte zasługi, że nie bacząc na rangę, urodzenie czy nawet na gatunek, podniósł konia swego do godności sekretarza stanu."

Jednakże dopiero pod koniec XIX wieku pewien autor niemiecki, stosując tę metodę, wywołał skandal. W roku 1889 Ludwig Quidde, specjalista od spraw starożytności i sekretarz Instytutu Historycznego w Rzymie, prosi o audiencję u ambasadora Prus przy Watykanie. Czekając na przyjęcie, spostrzega ze zdziwieniem w przedpokoju ambasady portret Wilhelma II, pod którym cesarz, kiedy był jeszcze tylko następcą tronu, nieopatrznie napisał własną ręką słynną dewizę przypisywaną Kaliguli: „Niech nienawidzą, byle się bali." Owo zdjęcie z prowokacyjną dedykacją (bardzo zresztą rozpowszechnione w ambasadach, gdzie na ogół przez ostrożność nie eksponowano go w ten sposób) z miejsca zainteresowało nie zawodowego historyka, lecz pacyfistycznego i socjalistycznego działacza, jakim był Quidde. Kilka lat później, w 1894 roku, publikuje on książkę pod tytułem Kaligula. Oczywiście unikał starannie w tej niewielkiej broszurze jakichkolwiek paraleli. Zważywszy zaś na fakt, iż Quidde często się w niej powoływał na autorów rzymskich i opatrzył swe dzieło ostrożnym wnioskiem w stylu: „za naszych czasów podobna potworność nie byłaby już możliwa" - sprawiało ono wrażenie studium technicznego. Jednakże aluzyjny charakter publikacji był dla każdego niewątpliwy. Analogia pomiędzy obydwojma cesarzami występowała zarówno na płaszczyźnie faktów (Wilhelm II doszedł do władzy w młodym wieku, pozbył się Bismarcka podobnie jak Kaligula Makrona), jak i na płaszczyźnie psychologicznej: Quidde nie musiał się zbytnio starać, by uwidocznić u Kaliguli jego manię imponujących i zadziwiających przedsięwzięć budowlanych, jego kabotyństwo, artystyczne i literackie pretensje, a zwłaszcza chorobliwą wprost autorytatywność w sposobie sprawowania rządów - cechy charakteru, które, słusznie czy też nie, opinia publiczna przypisywała Wilhelmowi II. Długie na całe kolumny artykuły, w których prasa monarchistyczna zaatakowała Quidde'a, były szczytem niezręczności. W rezultacie broszura szła jak woda. Prawnie natomiast nie można było ściagać jej autora z tytułu obrazy majestatu, aluzja bowiem nigdzie nie pojawiała się explicite. Istnieją jednakże przekazy, wedle których Quidde wezwany został na przesłuchanie: „Kogo miał pan na myśli pisząc o Kaliguli?" - pyta sędzia śledczy. „A pan, panie sędzio?" - zapytał po prostu Quidde, którego kariera napotykać odtąd poczęła przeszkody nie do pokonania. Za działalność w ruchu pacyfistycznym udało się nawet posłać go na kilka miesięcy do więzienia, nękaną go też na wszelkie sposoby, dopóki Wilhelm II był przy władzy.

PRAWDZIWY PARADOKS

Broszura jego zresztą, której treść odtwarza właściwie, z niewielkimi poprawkami, teksty autorów rzymskich, nie rościła sobie zapewne pretensji do większej wartości historycznej. Pod tym względem jest

nawet osobiwie słaba. Jeśli bowiem Kaligula stanowił istną manę z nieba dla polemistów, to przecież sprawiał wiele kłopotów historykom, nieczęsto mającym do czynienia z tego rodzaju postaciami. Czym wytłumaczyć aż tak niezrozumiałą u cesarza postawę? Autorzy starożytni przekazali nam proste rozwiązanie opatrzone wielce niejasnym schematem: Kaligula był szaleńcem czy też stał się nim. Przez pół roku bowiem rządy jego miały charakter normalny, a nawet wzorowy. Po czym, w październiku 37 roku, dotknięty został poważną chorobą, o której niewiele się mówi, lecz na skutek której zachowanie jego zaczęło ulegać zmianie. W tym to właśnie okresie pojawiają się pierwsze morderstwa - później sprawy przybierają jeszcze poważniejszy obrót.

Większość historyków nowożytnych przyjmuje - z pewnymi niuansami - to wyjaśnienie. I tak dla G. Ferrero Kaligula był bez wątpienia człowiekiem ekstrawaganckim, nie zrównoważonym i opętany manią wielkości, którą spotęgował jeszcze fakt posiadania władzy, ponieważ przypadła mu ona w udziale w niezwykle młodym wieku, bez przygotowania. Pod manią tą jednakże należy dostrzegać mającą znaczenie polityczne obsesję przewodzenia: chciał on uczynić z cesarza rzymskiego dynastę na wzór egipskich monarchów, to znaczy otoczoną przepychem i czczoną na modłę wschodnią na wpół boską istotę. Tym się zapewne tłumaczy oficjalne ustanowienie kultu Izydy, a zwłaszcza małżeństwo Kaliguli z jego siostrą Druzyllą, poprzez które „próbował on zaprowadzić w Rzymie zwyczaj małżeństw dynastycznych pomiędzy rodzeństwem obowiązujący tradycyjnie u Ptolemeuszów i egipskich faraonów”. Małżeństwo zresztą nieszczęśliwe, Druzyllą bowiem, „którą cesarz traktował już jak swoją małżonkę, nagle umiera, w całkiem jeszcze młodym wieku, być może z trwogi przed szaleńczą awanturą, w którą brat chciał ją wciągnąć poślubiając ją”. Z politycznego punktu widzenia pomysł ten był jeszcze bardziej niefortunny: starając się upodobnić pryncypat do monarchii egipskiej, Kaligula zadawał podwójny cios rzymskiej wrażliwości. Już przez to samo, że chciał nadać styl otwarcie monarchistyczny instytucji, którą August, nauczony przykładem zabójstwa Cezara i znający głęboki wstręt Rzymian do królów, opatrzył właśnie pozorami republikanizmu; następnie zaś dlatego, iż podejmował na nowo ideę - równie niepopularną - imperium, którego ośrodkiem newralgicznym miał być Wschód.

W XX wieku, jak się tego można było spodziewać, próbowano nadać bardziej naukowe sformułowanie owej teorii szaleństwa. W roku 1932 Hanns Sachs opublikował w Wiedniu Kaligula, której to pracy, nieco niesłusznie zresztą, przypisuje się charakter psychoanalizy. Według Sachsa niezrównoważenie Kaliguli miałyby wynikać z nieludzkiej wprost sytuacji, jakiej musiał stawić czoło w dzieciństwie i potem w latach młodości. Żyjąc w ciągłym strachu przed śmiercią, widząc swą matkę, braci padających pod ciosami Sejana, spodziewając się podobnego losu, którego okropieństwo mógł sobie łatwo wyobrazić, uczynił to, co uczyniłby każdy człowiek w podobnych okolicznościach: szukał ucieczki poza rzeczywistością. Nie tyle w szaleństwie w dosłownym znaczeniu, ile w nieobecności, neutralizując swoje jestestwo odmową brania na siebie ciężaru swej własnej tożsamości, uznania swego własnego istnienia. Owa utrata własnego „ja” ma jakoby wyjaśnić niektóre postawy charakterystyczne dla zachowania cesarza. Najpierw, przed dojściem do władzy, ową służalczość, z jaką tak bardzo się starał naśladować każdy gest Tyberiusza. Później owo gorączkowe poszukiwanie sztucznego „ja” popychające go do utożsamiania się kolejno z wielkimi ludźmi i z bogami, do przywdziewania ich szat i przywłaszczania sobie posągów. Z drugiej strony nie miał w sobie

takiego „ja”, które by mogło postawić tamę impulsom infantylnym: próżność, okrucieństwo objawiają się tutaj w stanie surowym. Z czasem na skutek swoich zbrodni Kaligula zaczyna żyć w ciągłej nienawiści i strachu: owładnięty instynktem śmierci, nie zastosował żadnego ze środków zaradczych, jakich wymagały okoliczności, a nawet nie chciał widzieć tego, co się szykowało. I tak oto, kiedy ostrzeżony został przez wyrocznie, że „ma się strzec Kasjusza”, wydał rozkaz zabicia nie Kasjusza Cherei, dowódcy straży przybocznej, z którym stykał się co dzień, lecz Kasjusza Longinusa sprawującego wówczas swój urząd w Azji; mamy tutaj niewątpliwie do czynienia z typowym aktem chybionym.

Teoria Ferrero, odarta z całej swej romantycznej przesady w stosunku do Druzylli, zawiera - jak się okaże - pewną część prawdy. O teorii Sachsa można by natomiast dużo mówić. Prawdą jest, iż Kaligula nie przedsięwziął w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa niezbędnych kroków. Jednakże ów akt chybiony, o którym mowa, jest więcej niż problematyczny. Gdyby na przykład Ludwikowi XIII, który nie bujał w obłokach, doradzono, „by się strzegł Charles'a czy Ednionda”, to czy pomyślałby o jakimś nikomu nie znanym dowódcy jednej ze swoich kompanii muszkieterów? Czy też szukałby go pomiędzy szlachetnie urodzonymi panami, którzy jeszcze podnosili głowę? Tym bardziej iż Kaligula miał wszelkie racje po temu, by pomyśleć o tym właśnie Kasjuszu, był on bowiem potomkiem „wielkiego Kasjusza”, zabójcy Cezara. Oczywiście to tylko szczegół. Ogólnie rzecz biorąc, wyjaśnienie Sachsa grzeszy brakiem jasności. Niewątpliwie pojęcie utraty „j a”, któremu Freud poświęcił nazbyt mało uwagi w tekście zatytułowanym *Żałoba: i melancholia, wzbudza pewne zainteresowanie*. Wydaje się ono jednak nieco naginane do faktów: nie tłumaczy zupełnie bardzo przecież specyficznego charakteru delirium Kaliguli, w szczególności zaś jego poczucia humoru, i wyjaśnia jedynie fragmentaryczne jego aspekty. Zresztą - a to pozwoli nam uniknąć zawilej dyskusji - ta psychoanalityczna interpretacja jest w każdym razie nie do przyjęcia, opiera się bowiem na niepewnych danych. Nie ma żadnego powodu, żeby historyk odrzucał pomoc psychoanalityka; trzeba jednak, by ten ostatni upewnił się uprzednio co do autentyczności materiału, jakim dysponuje. W tym przypadku jest akurat inaczej.

Proponowano też inne wyjaśnienia, sięgano nawet do astrologii. Jeden z historyków sugerował niedawno, iż przyczyny niezrównoważenia Kaliguli upatrywać należy w nadmiernym spożywaniu przezeń alkoholu. Argumenty jednak przedstawił tak słabe, że nie warto doprawdy o tym mówić. Słowem, te dyskusje na temat natury czy też przyczyn zachwiania równowagi umysłowej Kaliguli przesłaniają prawdziwy problem. Jeśli bowiem rzeczywiście cesarz stracił rozum, to Rzymianie mieli przecież nadal głowę na karku. Jakże więc mogli znosić aż tak długo tego potwora, tym bardziej że dalecy byli od okazywania mu atawistycznej uległości właściwej mieszkańcom Wschodu, która uczyniłaby rzecz całą bardziej możliwą? Cztery lata rządów to okres krótki, jednakże aż nazbyt długi jak na krwawą maskaradę, którą opisaliśmy powyżej. Po zastanowieniu wydaje się mało prawdopodobne, ażeby człowiek tak autentycznie szalony, zdolny - że przytoczymy ten tylko przykład - do stracenia ofiarnika zamiast ofiary, mógł utrzymać się przy władzy dłużej niż kilka miesięcy. Szaleńców w jego stylu niezwłocznie się izoluje. Nie chodzi więc o to, by „wytłumaczyć” brak równowagi umysłowej u Kaliguli, zważyć jej naturę i przyczyny w nadziei, że w tym czy innym szczególe jego sylwetki psychologicznej lub biografii znajdziemy „magiczny klucz”, który pozwoli nam wszystko zrozumieć, ale po prostu o to, by się zastanowić, dlaczego ten szaleniec mógł tak

długo utrzymać się przy władzy.

SMĘTNE KOLORY PRZESZŁOŚCI

Już w XIX wieku przeczyło to kilku niemieckich erudyków, których prace pogłębione zostały przez krytyków anglosaskich. Problem Kaliguli jest oczywiście nie do rozwiązania, dopóki przyjmować się będzie za prawdziwe jego dossier, które nam przekazali starożytni i do którego w rozdziale poprzednim, poza kilkoma interpretacjami zaświadczoneymi przez fakty, nie dodaliśmy ani jednej linijki. Tymczasem zaś owo dossier nie tylko jest podejrzane, ale w dodatku niekompletne, okrojone, sfalszowane. Dlaczego? - wyjaśnimy to dalej. Wpierw wszakże musimy odtworzyć na tyle, na ile jest to możliwe, prawdziwą kronikę panowania Kaliguli, odzierając ją z mitologii, która ją czyni niezrozumiałą - ogólnie więc rzecz biorąc, odtworzyć fakty.

MRZONKA O POWSZECHNEJ ZGODZIE

Nigdy jeszcze nowego panowania nie poprzedzały aż tak dobre wróżby: rodzina Germanika dochodziła wreszcie do władzy. Popularność, jaką się już cieszył młody cesarz, dała o sobie znać w formie niestosownych manifestacji od pierwszego dnia, który był przecież dniem żałoby narodowej, albowiem Tyberiusz ledwo co umarł. „Więc gdy wyruszył z Mizenum - pisze Swetoniusz - choć w żałobnym stroju i w kondukcje pogrzebowym za zwłokami Tyberiusza, już wówczas po drodze wznoszono na jego cześć ołtarze, składano ofiary ze zwierząt, palono pochodnie. Na jego spotkanie wychodziły tłumy pełne radości, nadając mu różne przydomki pomyślność wróżące, między innymi nazywając go: swą «gwiazdą», «chłopackiem», «pieszczotką»." Takie samo entuzjastyczne przyjęcie zgotowała Kaliguli armia, w której pamięci zapisał się - przypomnijmy to - sympatycznym wspomnieniem „chłopca w żołnierskich sandałach", oraz prowincje, które przemierzał i gdzie prześcigano się w składaniu na jego cześć ofiar i wznoszeniu posągów.

Co ten rozentuzjasmowany tłum wiedział o tym dwudziestopięcioletnim młodzieńcu, któremu przypadła w udziale troska o zarządzanie imperium? Prawie nic, ponieważ żył on do tej pory z dala od spraw państwowych, prócz tego, że posiadał za chude jak na potężną budowę ciała nogi i że mimo iż nie mógł się, ogólnie rzecz biorąc, uskarżać na brak uwłosienia, przejawiał przedwczesną skłonność do wypadania włosów.

Lud jednak mało dbał o to, by wiedzieć więcej. Dostrzegał tylko jedno: Historia naprawiała wreszcie wszystkie niesprawiedliwości. Nieszczęścia Agryppiny, Nerona, Druzusa przemówiły mu do uczuć i wzmocniły jego przywiązanie do rodu Germanika. Lud nie posiadał się z radości, ponieważ miał wreszcie tego „dobrego władcę", którego brak frustrował go od trzydziestu lat. Co się kryło za tymi słowami? Niemało zapewne iluzji. Jest wielce prawdopodobne, że gdyby Germanik doszedł do władzy, szybko by utracił blask swojej aureoli wobec konieczności prowadzenia ukrytej walki, którą natura tego ustroju czyniła nieuniknioną. Lud jednakże - i nie należy tego gubić z pola widzenia, jeżeli chcemy zrozumieć jego reakcje - nie żałował Republiki, zadowolony był z systemu rządów, który ją zastąpił: przynosił mu on pokój na granicach, minimum witalne, dozwalał żyć w gnuśności. To znaczy dawał pewną formę szczęścia dla nas zbyt ciasną i niewystarczającą, lecz której on za taką nie uważał, a w każdym razie gotów był się nią

zadowolić. Czegóż mu bowiem brakowało? Władcy o szerokim geście, władcy, którego by mógł pokochać. Do tej pory jeszcze takiego nie miał. Zresztą kto wie, czy taki władca nie mógłby jeszcze poprawić jego położenia? Marzenie to, którego ziszczenia oczekiwano po potomku Germanika, mogłoby stracić nieco ze swej mocy, gdyby Tyberiusz, wcześniej czy później, potrafił ubrać swoje panowanie w szczęśliwsze pozory. W Rzymie jednakże (w prowincjach bowiem zupełnie inaczej wszystko widziano) odczuwało się je od początku do końca jako smutny i uciążliwy dopust boży, pewien rodzaj pokuty. Ze swym oschłym i wyniosłym stylem bycia cesarz - mogliśmy sobie z tego zdać sprawę - czynił wszystko, by pospólstwo nie darzyło go zbyt dużą sympatią. Praktycznie nigdy go nie było,

żył samotnie, jakby na marginesie swego ludu i imperium, nie brał udziału ani w oficjalnych uroczystościach, ani w igrzyskach stanowiących konkretny symbol miasta, bezustannie napomykając - aczkolwiek nigdy się na to nie zdobył - o powrocie do Rzymu, jakby chodziło o wyprawę tybetańską... Postawa ta sprawiła, iż w końcu stał się tak niepopularny, że na wieść o jego śmierci tłum zaczął na ulicach wznosić okrzyki: „Tiberius in Tiberim” - „Do Tybru Tyberiusza”; nic więc dziwnego, iż uroczystości pogrzebowe przerodziły się w radosny festyn. Tak więc, pomimo wszystko, owo marzenie o „dobrym władcy” nie było li tylko czystą mrzonką: lud oczekiwał przynajmniej jednej bardzo konkretnej rzeczy - cesarza, który byłby przeciwieństwem poprzedniego.

Senat również, ale z innych powodów. Śmierć ta uwalniała go od strachu. Ulga, jaką poczuł, była ogromna. Obawiał się on hipokryzji i makiawelizmu Tyberiusza, który niemało przerzedził jego szeregi. Rozumując dość rozsądnie, senatorowie mieli nadzieję, że dwudziestopięcioletni młodzieniec okaże się bardziej uległym, w każdym razie nieprędko odkryje sposób posługiwania się mechanizmem terroru. Senat mógł nawet spodziewać się w tych warunkach, iż odzyska niemałe wpływy w sprawach państwowych. Tak więc cały Rzym - w jednym wielkim porywie Świętej Unii, jakby klasy społeczne przestały istnieć - wiązał z nadejściem Kaliguli nadzieje na spełnienie naiwnego marzenia o powszechnym szczęściu. Okolicznością nie bez znaczenia - mogłoby to ułatwić jego realizację, wielu władców nie ośmieliłoby się nawet o tym marzyć w przeddzień objęcia władzy - jest fakt, iż skarb państwa był pełen. Tyberiusz posiadał zalety znie-nawidzonych cesarzy: był oszczędny, jego mizantropia zaś nie przeszkodziła mu w gromadzeniu sestercji.

Błogi ten obraz przesłaniała jednakże plama cienia: nie tyle zresztą młody wiek władcy (wzbudzało to raczej sympatię), ile jego brak doświadczenia, którego przyczyn należało upatrywać w katastrofalnym empiryzmie, pod jakiego znakiem dokonało się przejście władzy. W ostatnich latach swego życia Tyberiusz wyposażył prawdopodobnie tego, którego chcąc nie chcąc zgodził się uważać za swego następcę, w jakieś minimum wykształcenia, aby go przygotować do czekających go zadań. Kaligula mógł również znaleźć w osobie swojej babki Antonii tę, która potrafiła wprowadzić go w wiele tajników rzymskiej Polityki, w szczególności zaś w problemy Wschodu, ponieważ będąc potomkinią Marka Antoniusza, posiadała tam wielki majątek, jak również rozliczne znajomości. Wszakże jeśli nawet ta wiedza świeżej daty zdobywana była intensywnie, miała przecież ten defekt, że pozostawała abstrakcyjną.

Wskutek bowiem nieufności, jaką darzył go Tyberiusz, Kaligula nigdy nie piastował żadnego ważnego urzędu, nigdy nie dowodził: brakowało mu jakiegokolwiek praktyki w sprawowaniu władzy. Brak to poważny i paradoksalny, który jedynie umysł geniusza zdolny byłby nadrobić. Ostatecznie można bowiem być może

nauczyć się z książek, kim jest żołnierz, pod warunkiem, iż potrafi się czytać między wierszami. Szybko jednak ocenić poczynania jakiegoś dowódcy, kiedy noga człowieka nigdy nie postąpiła na polu bitwy ani nawet nie odbył on półrocznej służby wojskowej, do jakiej obowiązany był w charakterze trybuna każdy młodzieniec z wielkiego rodu; osądzić rozmiary rewolty, zachować w pamięci wszystkie zawiłości skomplikowanej sytuacji na granicach cesarstwa integrującego najprzeróżniejsze cywilizacje i wykraczającego daleko poza Europę na wschodzie i na południu, podczas gdy na północy samo odczuwało napór ludów, których witalność stanowiła dla jego przyszłości źródło niepokoju - to rzeczy bynajmniej nie oczywiste, kiedy nie jest się do tego przygotowanym.

To samo można by powiedzieć o polityce wewnętrznej. W tej dziedzinie nie wystarczało umieć czytać z twarzy, czego Kaligula miał sposobność się nauczyć w otoczeniu Tyberiusza, gdzie jeden drugiego nieustannie szpiegował. Trzeba było również wyczuwać wszystkie subtelne zmiany nastrojów opinii publicznej nękaną nowymi potrzebami, lecz jeszcze czulej na prestiż tradycji; pojąć zawiły mechanizm, funkcjonowania ustroju, w warunkach którego gra polegająca na zakładaniu takiej czy innej maski przeradzała się niekiedy w zwykłą maskaradę i którego zmienny charakter niejedną mógł zgotować niespodziankę. Dlatego też August zadbał niegdyś o to, by zabezpieczyć swych ewentualnych następców przed ryzykownym brakiem doświadczenia, każąc im sprawować wysokie godności w możliwie najbardziej kształcących warunkach: wnukowi swemu Gajusowi, któremu w bardzo młodym wieku powierzył urząd konsula i misję zarządzania Wschodem, przydał na przykład mentora. Z potencjalnych następców, jakimi byli: Marcellus, Druzus, Germanik, a zwłaszcza Tyberiusz, najpierw uczynił żołnierzy, którzy - dzięki kolejno im powierzonym komendom w gorących punktach granicznych - zapoznali się z bliska z wszystkimi problemami.

Czy młodzieniec, który wyniósł z pola bitwy dziecinne tylko wspomnienia, na temat zaś życia politycznego Rzymu miał zaledwie fragmentaryczny i siłą rzeczy abstrakcyjny pogląd, jaki mógł mu dać pobyt na Kaprei, potrafi zawiadywać imperium? Co przebieglejsi wątpili w to zapewne i być może sobie tego wieszowali. Jednakże, by ogarnąć rozmiary owej słabości, trzeba się było trochę zastanowić. Tymczasem istota entuzjazmu, który świeżo wzbudziła w Rzymie zapowiedź nowych rządów, tkwiła właśnie w tym, by refleksję tę uczynić zbędną.

KONIEC Z ROZLEWEM KRWI, UŚMIECHY...

Pierwsze kroki podjęte przez Kaligulę po jego przybyciu do Rzymu dnia 28 marca 37 roku mogły jedynie umocnić nadzieje, jakie w nim pokładano. Objawia nam się poprzez nie obraz władcy panującego nad namiętnościami i małostkowością, powodowanego jedynie dobrem - w sensie jak najbardziej moralnym tego słowa - i troską o skonkretyzowanie owego marzenia o powszechnej zgodzie, o jakim, wcześniej już wspominaliśmy. To było coś wprost niewiarygodnego, lukrowany wręcz obrazek.

Dochodząc do władzy, niedobrzy władcy usuwają swych rywali, jeśli ich mają. Kaligula rozpoczyna od tego, że adoptuje swojego konkurenta, Tyberiusza Gemellusa, którego senat w sposób brutalny odsunął od władzy, łamiąc tym samym testamentowy zapis Tyberiusza, który ustanawiał go swym spadkobiercą na równi z Kaligulą. Ten każe mu przyoblec togę mężczyzny i mianuje nawet „księciem młodzieży”, a więc

opatrjuje tytułem, który - mocą precedensu - przyznaje Gemellusowi godność przypuszczalnego następcy. Jednocześnie wydobywa z mroków zapomnienia i prawie że z nędzy - czyniąc go, obok siebie, drugim konsulem na rok 37 - stryja swojego Klaudiusza, pośmiewisko całej rodziny, który oscyluje pomiędzy erudycją i rozpustą i którego August z powodu cudaczności jego wyglądu starannie trzymał z dala od życia publicznego. Po czym, kiedy tylko pozwalają mu na to oficjalne uroczystości, nie zważając na szalejącą na morzu burzę, która czyni je niebezpiecznym, Kaligula wyrusza bezzwłocznie w drogę na wyspy. Udaje się tam po prochy swojej matki i brata Nerona, przewozi je uroczyście do Rzymu podróżując w górę Tybru i każe złożyć w mauzoleum Augusta: widomy to dowód, że osobliwość jego pozycji i żądza władzy nie przywiodły go do wyrzeczenia się rodziny. Gest to zapewne normalny, okoliczności jego wszakże (morska burza, której się nie uląkł) mogły dawać wiele do myślenia.

Rzecz jeszcze bardziej zadziwiająca i godna podziwu, to że owej synowskiej miłości nie towarzyszył resentment i pragnienie zemsty, którego można było w podobnym przypadku oczekiwać. Młody cesarz uwalnia bowiem z okowów trwogi - a musiała ona sprawiać, iż występowały na nich zimne poty - ludzi, którzy maczali palce w procesie Agryppiny, kazawszy pewnego poranka zgromadzić na forum i spalić wszystkie akta tej sprawy, wpierv wszakże przysięga, nie dotknął ani nie czytał żadnego z nich".

Owa wzruszająca abnegacja wobec urazy, jaką mógł słusznie żywić do tych, którzy wymordowali mu bliskich, była zresztą jednym tylko z aspektów postawy ogólniejszej natury zmierzającej do wymazania z pamięci przeszłości i jej okropieństw. Kaligula nie ogranicza się bowiem - jak to uczyni tylu jego następców - do głoszenia, że Rzymianom „przywróci wolność”, dając mniej lub bardziej do zrozumienia, iż jego poprzednik narzucił im ohydny tyranii i że odtąd będzie inaczej. Przedsięwziął kroki mające na celu rzeczywistą liberalizację ustroju: amnestie, rehabilitacja obejmująca liczne rzesze zesłańców i podejrzanych, anulowanie śledztw wszczętych za pryncypatu Tyberiusza. Wszechobecna do tej pory cenzura stała się przeżytkiem: dochodzi nawet do tego, iż wyszukuje się pisma, które zostały potępione i zniszczone za swą stronniczość, i zezwala na i rozpowszechnianie. Godny to zaiste podziwu paradoks: cenzura „ścigająca” rozprowadzane skrycie książki, by udostępnić je szerokiej rzeszy czytelników! Czekala jednakże Rzymian jeszcze przyjemniej sza niespodzianka: Kaligula okazuje wyraźną niechęć denuncjatorom działającym na mocy „ustawy o obrazie majestatu”, która pozwalała każdemu oskarżyć swego sąsiada o czyny narażające na szwank bezpieczeństwo państwa w osobie cesarza - co oznaczało odłożenie do lamusa ustawy, z powodu której polało się tyle krwi. Wszystko to były środki siłą rzeczy mile widziane przez „klasę polityczną”: senatorów i ekwitów, której przedstawiciele padali ofiarą czystek tyranii i przed którą rysowała się teraz przyszłość mniej zatrważająca; ponadto zaś cesarz miał na tyle dobrego smaku, by senatowi dać dowód jeśli już nie szacunku, to przynajmniej skromności: odrzucał wszystkie dzwiczne tytuły, jakie z nawyku pochlebstwa i z przezorności (doświadczenie wykazało, że należy wychodzić naprzeciw wszelkim życzeniom, jakie cesarz mógł potajemnie żywić) chciano mu przyznać. Młodzieniec ten okazał się stanowczo bez zarzutu.

KARTA LUDOWA

Jednakże oprócz tej próby powszechnego pojednania, która przybierała bajkową wprost postać, lecz była

także, w oczach zgryźliwych plotkarzy, wspaniałym chwytem reklamowym niepokojących rozmiarów, dosyć szybko daje się zauważyć systematyczne dążenie do przy-podobania się ludowi. Jest to więc polityka o inspiracji czysto demagogicznej, która wszak nie poprzestaje zazwyczaj na prostych owych gestach i przemowach. Stara się ona dać ludowi nader konkretne powody do zadowolenia i świadczy o drobiazgowym realizmie - jest to coś, co można by nazwać poważną demagogią.

Kaligula zabrał się najpierw do wypłacenia ludowi legatu 45 milionów sestercji (a więc nieco więcej niż 200 sestercji na osobę), jaki Tyberiusz, zgodnie z przyjętym już teraz zwyczajem, ustanowił na jego korzyść. Jeśli wierzyć opowieści, jaką przekazuje nam Dion Kasjusz, nie zawsze się z tym aż tak śpieszono i skrupulatność Kali-guli kontrastowała z niedbalstwem jego poprzednika: Tyberiusz długo zwlekał z wypłaceniem legatu Augusta i powiadano, iż jeden z owych dwustu tysięcy obywateli rzymskich, którzy mieli prawo, do otrzymywania darów w gotówce i w zbożu, widząc przechodzący kondukt pogrzebowy, pochylił się nad zmarłym i szepnął mu coś na ucho. Kiedy go zapytano, z czego też mógł się zwierzać umarłemu, człowiek ten odpowiedział, że poprosił go o przysługę: ażeby po przybyciu na tamten świat powiedział Augustowi, iż nie otrzymał jeszcze złamanego szeląga z jego legatu; co zaś gdy dotarło do uszu Tyberiusza, miał on jakoby skazać na śmierć śmiałka, „aby mógł to Augustowi sam powiedzieć”...

Kaligula jednak, który jak wiemy, mógł czerpać z pełnego skarbcza swego poprzednika, nie poprzestał na tym, by wywiązać się z ciężących na nim samym zobowiązań. Podobnie jak kazał wyszukiwać^a książki będące na indeksie, zaczął, by tak rzec, szperać w poszukiwaniu nie spełnionych testamentów: znalazł zapis Liwii, małżonki Augusta, którego postanowień Tyberiusz z nieznanых powodów nie chciał dopełnić. Wziął to więc na siebie Kaligula prawie dziesięć lat później... Sięgając w nieco bliższą przeszłość, odkrył, że plebs nie otrzymał jeszcze innej darowizny, jaką mu obiecano w roku, w którym - przy-jawszy go wpierw na Kaprei - Tyberiusz kazał mu przywdziać męską togę. Naprawił również i to niedopatrzenie i posunął się w swej skrupulatności do tego, iż wypłacił zaległe od czterech lat odsetki od tej sumy, które wynosiły dokładnie 60 sestercji. Naturalnie ani gwardia pretoriańska, ani armia, którym jako efektywnym podporom ustroju należały się treściwsze względy, nie zostały tutaj pominięte.

Zwrócono uwagę na fakt, iż - w ostatecznym rachunku - jeśli się weźmie pod uwagę same liczby, w owej szczodropliwości nie było żadnej przesady, a nawet nie mogła się ona równać z wielkodusznością, na jaką się zdobyli inni cesarze dochodząc do władzy. Każdemu z pretorianów Kaligula kazał bowiem wypłacić po 2000 sestercji; cztery lata później Klaudiusz, przejmując rządy, dał im po 20 tysięcy. Uwaga ta jest zatem słuszna, jeśli chodzi o armię. Należy wszak podkreślić, iż Klaudiusz okazał się tak hojny dlatego, że nie miał wyboru: został on dosłownie „kreowany” cesarzem przez gwardię. Później natomiast, zwłaszcza od czasów Nerona poczynając, przyjął się zwyczaj owej wystawnej hojności, dopóki Galba, w odruchu skąpstwa czy też iście republikańskiej cnoty, nie odmówił wypłacania armii jakiegokolwiek gratyfikacji powiadając, iż „zwykł zaciągać żołnierzy do wojska, nie zaś ich kupować”. Nie wyszło mu to zresztą na zdrowie. W przeciwieństwie jednak do Klaudiusza Kaligula posiadał już pewne, a nawet entuzjastyczne oparcie w armii. Dłaczegóż więc miał dawać dowody wyjątkowej hojności? Zadowolił się uszanowaniem tradycji i poprzestał na gratyfikacji istotnie mniejszej zapewne nawet od przyznanej przez Tyberiusza, który w obliczu rewolty armii musiał się zgodzić na jej podwojenie.

Plebs widział jednak to wszystko inaczej: przyznawane mu sumy były wyższe od tych, jakimi do tej pory go obdarzano i jakich się spodziewał. Hojność ta już sama przez się robiła wrażenie: obywatel rzymski, jak wszyscy ci, którzy utrzymują się ze ścisłego minimum, był szczególnie czuły na każdy grosz „ekstra”, który pozwalał mu się uwolnić, chociażby na tydzień, od tyranii budżetu wykluczającego zaspokojenie jakiegokolwiek zachcianki. Prawdą jest wszelako, że nawet po dodaniu tych sum nie dysponował on wielkimi pieniędzmi. Kaligula jednakże był na tyle zręczny, iż podzielił całą kwotę na kilka rat, i to wypłacanych całkiem niespodziewanie: któż bowiem mógłby przypuszczać, że po czterech latach przyjdzie mu czerpać korzyści z równie mało znaczącego i zapomnianego wydarzenia, jak przyobleczenie przez cesarza męskiej togi? Koniec końców przy tym rozdawaniu podarunków Kaligula stworzył pozory o wiele hojniejszego, niż był w rzeczywistości. I to z jak wspaniałym skutkiem: wypada więc przy tej okazji zauważyć po raz pierwszy, iż młodzieńca tego, który zarówno w odniesieniu do armii, jak i do ludu, potrafił tak subtelnie zgrać swoją popularność ze stanem swych finansów, nie cechował bynajmniej wrodzony brak równowagi umysłowej i niezdolność do jakiegokolwiek rozumnego posunięcia.

Nie zabrakło też igrzysk, a wiadomo, jak bardzo plebs ich pragnął: w pewnej mierze bardziej niż chleba, ponieważ igrzyska stanowiły dlań luksus, kompensowały poniekąd jego nędzę, a nie były tylko przyjemną formą spędzania wolnego czasu. Jeden z zasadniczych powodów niepopularności Tyberiusza wynikał właśnie z faktu, że nigdy mu się nie zdarzało, nawet gdy przebywał w Rzymie, organizować tych niezwykle widowisk, „polowań” czy walk gladiatorów, które jako swego rodzaju prezent, wyświadczana przez władcę łaska, tym bardziej były cenione. Co gorsza, jeśli chodzi o igrzyska tradycyjnie figurujące w kalendarzu, Tyberiusz nie chciał się na nich pokazywać: obawiał się kontaktu z tłumem, który w amfiteatrze przemawiał właściwym sobie prostym językiem i, korzystając z obecności cesarza, głośno się domagał nie zawsze rozsądnych łask.

Postawa Kaliguli była pod każdym względem odmienna. Uczestniczył w igrzyskach z wielką pompą, w otoczeniu sióstr, którym przyznał niebywały jak dotąd przywilej zasiadania w cesarskiej łoży. Mówi się nawet, iż nie bacząc na zwyczajną w tym względzie dyskrecję, kazał się podwozić do amfiteatru rydwanem zaprzężonym w sześć koni. Przede wszystkim skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, aby wydać nadzwyczajne igrzyska. Okazją taką stało się zakończenie budowy świątyni poświęconej Augustowi - którą Tyberiusz budował niespiesznie i której, od sierpnia 37 roku, Kaligula określił przeznaczenie - czemu towarzyszyły wspaniałe widowiska. Było tam wszystko, z czym zazwyczaj można się spotkać podczas tego rodzaju uroczystości: wielkie „polowanie”, w czasie którego ubito czterysta niedźwiedzi, nie licząc pośledniejszej zwierzyny; dwudniowe wyścigi konnych zaprzęgów, które przeciągnięto aż do zapadnięcia zmroku, zwiększając liczbę biegów, co następnie weszło w zwyczaj; wielka ucza dla pospólstwa, druga dla senatorów i ich żon, a wszystkiemu towarzyszyły kawalkady i uroczyste pochody.

Owa troska o dostarczenie amfiteatralnych i cyrkowych rozrywek stała się u Kaliguli zasadą. „Do tego stopnia - pisze Dion Kasjusz - iż nie było dnia, żeby nie odbywało się jakieś widowisko.” I w stwierdzeniu tym niewiele jest przesady, jeśli weźmie się pod uwagę, że do igrzysk we właściwym tego słowa znaczeniu należy dodać przedstawienia teatralne, do których cesarz prawdziwą żywił namiętność. Namiętność wyrafinowaną, którą pospólstwo, łatwiej dające się urzec gwałtownym wzruszeniom walki gladiatorów i

wyścigów konnych, niezbyt chętnie podzielało. Cesarz ubolewał nad tym i starał się wszystkimi sposobami walczyć z absencją w teatrze, zezwalając ludowi przychodzić tam boso i nie pozdrawiać go po drodze, zawieszając nawet na ten czas rozprawy sądowe, aby nie dawać obywatelom rzymskim żadnego powodu do wymówki.

Znaczenie przywiązywane do widowisk, troska o organizowanie ich jak najczęściej same w sobie nie były niczym nowym. Już August wielce był świadom wagi, jaką dla nowego ustroju miały igrzyska. Zauważył bowiem, z jakim zgorszeniem przyjmowano najmniejszą nawet w tym względzie dezynwolturę: plebs odczuł niegdyś jako wielką zniewagę zachowanie Juliusza Cezara, który korzystając z wolnego czasu, jaki mu dawało uczestnictwo w przedstawieniach, nadrabiał zaległości w korespondencji.. Dlatego też starał się zachowywać pozory i nie tylko próbował uniknąć tego błędu, nadając cesarskiej obecności w amfiteatrze należną jej uroczystą powagę, ale również przewyższyć swego poprzednika różnorodnością i liczbą widowisk. Nie omieszkał zresztą wyliczyć skrupulatnie na brązowych płytach, na których spisane zostały ważne wydarzenia jego panowania, wszystkich widowisk, jakie zorganizował, posuwając swą drobiazgowość do tego, by sprecyzować liczbę ludzi i zwierząt biorących w nich udział. Starania Augusta nie wykroczyły jednak poza granice owych oficjalnych zabiegów o względy ludu, nie angażowały jego osoby. Prywatnie nigdy nie okazywał szczególnych względów gwiazdorom tych widowisk, nie dopuszczając ich do swego otoczenia i nie przyznając żadnych wyjątkowych zaszczytów. Zdawał się nawet niezbyt chętnym spoglądać okiem na ten nowy prestiż, jakim cieszyli się oni w społeczeństwie, również w wysokich sferach. Prestiż ten nieustannie wzrastał, w miarę jak - od schyłku republiki - coraz ważniejsze się stawało miejsce, jakie igrzyska zajmowały w życiu Rzymian. Swoim trybem życia, stosunkami, popularnością gwiazdorzy ci - woźnice konnych zaprzęgów, gladiatorzy czy też aktorzy we właściwym tego słowa znaczeniu, z których najbardziej cenieni byli mimowie dla swego wdzięku i erotycznego charakteru wystawianych spektakli - sprawiali wrażenie prawdziwych osobistości rzymskich. Niektórzy nawet, gdy sukces uderzył im do głowy, bez żenady obnosili się z wielkopańską wprost wyniosłością. Było to coś niesłychanie gorszącego w oczach rzymskich tradycjonalistów, przywykłych uważać aktora za błazna, którego prawo dozwalało za najmniejszy wybryk obatożyć, i w gruncie rzeczy nie więcej godnego poszanowania od prostytutki. Pogarda ta bierze się stąd, iż większość aktorów to niewolnicy, a więc istoty stojące poza nawiasem życia. Co więcej, owa forma powagi - zwana *gravitas*, nieodłączna od mentalności właściwej Rzymianom, nie pozwalała im rozumieć i doceniać gry w szerokim tego słowa znaczeniu, gry, której przedstawienia teatralne były właśnie dla nich widomym przejawem. W czasach jednakże, o których mowa - a jest to sprawa zasadnicza - pogarda ta nabiera znaczenia czysto politycznego: gwiazdorzy są idolami tłumu, twórcami specyficznie ludowymi, których społeczne wywyższenie stanowi dla tradycjonalistycznej arystokracji widomą oznakę tego, iż czasy się zmieniły, że stare wartości ustępują przed światem demagogii, który ją mierzi i którego ona nie rozumie. Odczuwa ona kult, jakiego aktor jest przedmiotem, jako wyzwanie rzucone swej własnej ideologii i zarazem jako świadectwo swego własnego upadku.

Toteż August, jako dobry konserwatysta, który w każdej domenie starał się zachować czy przywrócić dawne zwyczaje i stare cnoty, nie wahał się pokazać aktorom, gdzie ich miejsce, i karać ich bezczelność.

Jeden z nich wygnany został przezeń z Italii za to, iż będąc na scenie, ośmielił się - licząc, że publiczność tamtego wyszydzi - pokazać palcem na widza, który go wygwizdał; innym cesarz kazał wymierzyć w teatrze karę chłosty, jak na przykład aktorowi Stefanionowi, który pozwalał sobie - szczególnie dość charakterystyczny - na to, by usługiwała mu do stołu wielka dama, podupadła finansowo albo masochistka, której kazał przyciąć włosy na chłopczycę... August ponadto przedsięwziął najrozmaitsze środki, aby doprowadzić do rygorystycznego przestrzegania reguł hierarchii społecznej w amfiteatrach, gdzie każdy w końcu o własną dbał wygodę. Oburzyło go - jak się wydaje - pewne wydarzenie, które również było charakterystyczne dla nowych czasów: pewnego dnia jeden z senatorów, bawiąc przejazdem w Puteoli, wybrał się na przedstawienie, na które ściągnęło całe miasto, i purpura jego ubioru nie wystarczała, by poruszyć widzów; nikt się nie podniósł, aby go powitać i ustąpić mu miejsca, przyszło mu się samemu przeciskać wśród tłumu jak ostatniemu z parobków. Ogólnie rzecz biorąc, w czasach Augusta władza, starając się zadowolić plebs obfitością przedstawień, zachowywała zarazem dystans wobec tłumu i jego idoli. Nie pozwalała się utożsamiać ze światem demagogii, który stworzyła i o którym - w sposób nieco utopijny - powiadała, iż nie zakłóca on porządku przyjętych wartości.

I to właśnie miało się zmienić wraz z nastaniem Kaliguli. Był on pierwszym, który wyciągnął wszystkie konsekwencje z fundamentalnej zasady wynikającej z nowego ustroju: w oczach plebsu największa z cnót cesarza polegać miała nad tym, że kochać on winien to, co kocha lud. Kaligula starał się więc wszelkimi sposobami - i był on w tym względzie nowatorem, którego - wielu innych miało naśladować - łączyć obraz cesarza z hałaśliwą mitologią zrodzoną na arenach amfiteatrów i cyrków. Otacza się aktorami, woźnicami, gladiatorami; pokazuje się z nimi publicznie; traktuje ich jak swych przyjaciół; obdarza niespodzianie, w czasie jakiejś uczty, bajecznymi podarunkami, jak na przykład owe „dwa miliony sesterceji, które otrzymał pewnego dnia woźnica Eutychnus. Dzieli wszystkie namietności człowieka z ulicy: podobnie jak tamten, ma on swoich ulubionych mistrzów, którym udziela graniczącego z fanatyzmem poparcia: traków, jeśli chodzi o gladiatorów (nie lubi murmillonów, którym płała niekiedy okrutne figle)⁴; co się tyczy wyścigów zaprzęgów konnych, kibicuje Zielonym - chodzi tutaj o najbardziej popularną w Rzymie stajnię wyścigową (arystokracja kibicowała zazwyczaj Błękitnym), która miała klub, gdzie cesarz - jak już mówiliśmy - często bywał. Krocząc tą drogą, Kaligula nie zawahał się jednakże posunąć się jeszcze dalej. O ile nieprawdą jest, iż przez większą część swego panowania rządził kierując się radami histrionów i woźniców; o ile należy odnieść się z rezerwą do sądu Diona Kasjusza, według którego „stał się woźnicą i gladiatorem”, jest rzeczą pewną, że uprawiał sztuki i różne dziedziny sportu, którymi pasjonował się tłum. Nie publicznie zapewne, na scenie czy w amfiteatrze, jak później niektórzy cesarze. Ale prywatnie i prawdopodobnie bez przesadnej dyskrekcji, ważną bowiem rzeczą było, by o tym wiedziano. Albowiem w ten właśnie sposób cesarz utożsamiał się z idolami tłumu. Korzystał z prestiżu, jakim się oni cieszyli, i zjednywał sobie sympatię zwykłego śmiertelnika, który był szczęśliwy znajdując w nim władcę hołdującego tym samym co i on

⁴ Trak - gladiator uzbrojony na sposób tracki w małą okrągłą tarczą oraz krótki zakrzywiony miecz. Murmillo uzbrojony był na sposób galicki, w dużą czworokątną tarczę oraz miecz.

namiętnościom. Demagogiczna to postawa, z którą szło w parze radykalne zerwanie z tradycjonalistyczną mentalnością cechującą arystokrację, a z jej opinią cesarze dotychczas się liczyli: nie mówiąc o Tyberiuszu, nigdy August czy Cezar nie zgodziliby się tak kompromitować. Z politycznego jednakże punktu widzenia postawa ta mogła się okazać skuteczna, przynajmniej do pewnego stopnia. W czasach Nerona doświadczenie wykazało, iż popularność w ten właśnie zdobyta sposób była niesłychanie głęboka. Czy stanowiła jednak poważne i pewne oparcie, to już inna sprawa.

W jakiś czas potem wreszcie, zgodnie z przyjętą linią polityczną, cesarz podjął jeszcze bardziej rewolucyjne i zadziwiające kroki: przywrócił plebsowi niektóre prawa wyborcze, jakich go uprzednio pozbawiono. Wymaga to wyjaśnienia. Ujmując rzecz schematycznie, „rewolucja rzymska”, z jakiej narodził się pryncypat, doprowadziła w konsekwencji do prawie całkowitego zredukowania władzy arystokracji, przede wszystkim zaś do wyeliminowania zupełnie z życia politycznego plebsu, który niegdyś dokonywał wyboru urzędników. W zamian za to dawano mu chleb. Za panowania Augusta jednakże ludowe zgromadzenia wyborcze (*comitia*) funkcjonowały nadal: w sposób nader fikcyjny, to prawda, ponieważ ich rzeczywista władza, aczkolwiek nie całkiem iluzoryczna, była wielce ograniczona, jak się o tym za chwilę przekonamy. Chciano zachować pozory i nie pozbawiać plebsu brutalnie i ostentacyjnie prawa, z którego korzystał od wieków. Pięćdziesiąt lat później wszakże, kiedy lud zapomniał już o swych dawnych prerogatywach i kiedy nowy ustrój już się przyjął, Tyberiusz, zgodnie z logiką nowego systemu, przekazał senatowi przynależne do tej pory komicjom prawa wyborcze czy też raczej to, co z nich pozostało. Raz jeszcze stając tutaj w opozycji do swego poprzednika, Kaligula przywracał je dzisiaj plebsowi.

Co chciał przez to osiągnąć? Było rzeczą oczywistą, że nie miał naiwnego i paradoksalnego zamiaru przywrócenia republiki, zamiaru, jaki niegdyś bezpodstawnie przypisywano ojcu jego Germanikowi, a przede wszystkim jego dziadowi Druzusowi. Przywrócenie prawa głosu plebsowi miało zresztą nader ograniczone znaczenie. W czasie tych wyborów bowiem cesarz „polecał” swoich własnych kandydatów, którzy imiennie figurowali na liście; rzeczywiście wybieranych było co najwyżej dwóch lub trzech. Praktyka ta ponadto została szybko zarzucona, gdyż - jak powiadano - lud zupełnie przestał się interesować ową formalną i w gruncie rzeczy nieco upokarzającą ceremonią, polegającą na aklamacji kandydatów, na wybór których nie miał rzeczywistego wpływu. W pół roku później wybory znowu przekazano senatowi, mającemu przecież wielką wprawę w odbywaniu równie fikcyjnych co aprobujących debat, które - jak w tym przypadku - mogły mu czasem dawać niejaką satysfakcję. Tacyt mówi nam bowiem, że kiedy Tyberiusz pozbawił lud prawa głosu, „senat chętnie przejął w swe ręce prerogatywę, która pozwalała mu oszczędzić sobie rujnującej hojności”. System ten nie tylko oszczędzał kieszeń senatorów (nie musieli już finansować własnego wyboru), lecz również ich drażliwość. Senatorzy nie lubili zgoła prosić ludu: w głębi duszy każdego z nich krył się Koriolan w miniaturze. I jeśli mogli być za coś wdzięczni cesarstwu, to właśnie za to, iż uwolniło ich ono od koszmaru wyborów.

Jest rzeczą oczywistą, że przywracając je do życia, Kaligula nie sprawił zgoła senatorom przyjemności. Oddźwięk, z jakim ta populistyczna polityka spotkała się wśród ludu, zwłaszcza zaś jej rzeczywista skuteczność, są - jak się o tym dalej przekonamy - dość niewymierne. Jednakże, i to nie ulega najmniejszej

wątpliwości, na senatorach polityka ta zrobiła fatalne wrażenie. Owo przypoehlebianie się ludowi, pozowanie na bożyszcze ulicy, owa ostentacyjna hojność nie mogły przypaść do gustu części arystokratów o nastawieniu tradycjonalistycznym, którą gorszyła ponadto atmosfera ludowego święta podsycona wokół pryncepsa. Sprawa wyborów natomiast nie dość, iż nie przypadła arystokracji do smaku, to w dodatku ją niepokoiła. Czy aby Kaligula nie zagrał niewłaściwej karty?

ZNOWU KREW

Wszystko to zresztą stało się naprawdę oczywiste dopiero nieco później. Ci, którzy byli na tyle dalekowzroczni, aby przewidzieć zgubne konsekwencje takiej orientacji politycznej, wytrąceni zostali ze swych pesymistycznych rozmyślań przez teatralne iście zagranie, które miało ich w rezultacie na powrót do nich sprowadzić.

Pod koniec 37 roku bowiem Kaligula zachorował. Choroba to była niewątpliwie poważna, aczkolwiek zbędnym się wydaje snucie na ten temat jakichkolwiek domysłów, zważywszy na fakt, że nie przekazano nam w tym względzie żadnych wiarygodnych informacji. Stwierdzenie Filona z Aleksandrii, jakoby cesarz, przyzwyczajony do prostego trybu życia na Kaprei, źle znosił wszelkiego rodzaju nieumiarkowanie, w jakie popadł od chwili objęcia władzy, jest dziecinne i trudne do obronienia, kiedy zna, się wszystkie powody, jakie miał Filon, żeby przedstawić rzecz w taki właśnie sposób. Nie wiemy również, jak długo choroba ta trwała, wiadomo jednak, iż cesarz sam przedsięwziął środki mające na celu zapewnienie ewentualnej sukcesji: ogłosił następczynią siostrę swą Druzyllę. Dyspozycja ta była dziwna, a wynikało z niej być może to, że następcą cesarza stawał się *ipso facto* mąż tej ostatniej, M. Emiliusz Lepidus, a nie - jak należałoby się tego spodziewać - Tyberiusz Gemellus, wnuk Tyberiusza, którego Kaligula adoptował kilka miesięcy wcześniej.

Najdziwniejsze jest wszakże to, iż gdy tylko Kaligula przyszedł do zdrowia, wydał rozkaz dokonania czterech zabójstw czy też raczej - według tradycyjnego schematu - czterech obowiązkowych samobójstw „z rozkazu cesarza”, następujących po sobie w regularnych odstępach czasu w okresie od końca 37 roku do wiosny 38. Ofiarami ich padli: Tyberiusz Gemellus właśnie, M. Syllanus, były teść cesarza, i wreszcie Makron i jego żona Ennia. Śmierć Tyberiusza Gemellusa z racji młodego wieku chłopca miała przebieg szczególnie tragiczny, przynajmniej wynika to z przekazów, ale też i niemało na ten temat powiedziano: „Mówią, że otrzymawszy rozkaz zadania sobie własnoręcznie śmierci, odebrany w obecności centuriona i jednego z trybunów wojskowych, którym zabroniono uczestniczyć w zbrodni pod pretekstem, iż nie wolno jest potomkom cesarzy z obcej umierać ręki... chłopiec w swym zakłopotaniu - nigdy jeszcze bowiem nie widział, jak się kogoś zabija, i nie ćwiczył się w robieniu bronią - ... zwrócił się najpierw, nadstawiając gardło, z prośbą do tych, co się tam znajdowali, by go zabili. Widząc jednakże, że się na to nie decydują, sztylet biorąc do ręki prosić sam począł, z powodu swej niewiedzy i braku wprawy, o wskazanie najdogodniejszego miejsca, gdzie można by cios dobrze mierzony sobie zadać i nędznego życia się pozbawić. Oni zaś, nauczycielami mu będąc w tym nieszczęściu, pouczenia mu udzielili i miejsce pokazali, gdzie należy uderzyć. Kiedy się zaś dobrze nauczył owej pierwszej i ostatniej lekcji, sam pod przymusem targnął się na swoje życie.”

Wrogowie Kaliguli dopatrzili się oczywiście mniej lub bardziej wyraźnego związku przyczynowego pomiędzy tymi morderstwami i poprzedzającą je chorobą: pod jej to wpływem miała się w nim jakoby dokonać jakaś gwałtowna zmiana i zaznaczyć początek „obłędu”, którego okrutna obsesja już dawała o sobie znać. Interpretacja ta nie jest w stanie ani przez chwilę przeciwstawić się wymowie faktów. Oczywiście, przypadek Sylana nie jest zupełnie jasny. Był on ojcem Jurni Klaudylli, którą Kaligula poślubił w czasie, kiedy przebywał na Kaprei, i która zmarła w połogu niedługo przed objęciem przezeń władzy w cesarstwie. Przypuszcza się powszechnie, że Syllanus, cieszący się niejakim autorytetem, próbował się zabawić w doświadczonego doradcę i szybko stał się zawadą. Wytłumaczenie to jest prawdopodobne, aczkolwiek nie całkiem pewne.

Dwa inne zabójstwa wszelako, Tyberiusza Gemellusa i Makrona, dają się wyjaśnić całkiem prosto i nie świadczą o żadnym „braku równowagi psychicznej”. Jakkolwiek odległe od siebie w czasie (trzeba przecież pozacierać ślady), wynikają one z tej samej obawy. W chwili obejmowania władzy Kaligula musiał wszak zrozumieć niebezpieczeństwo, jakie stanowiło dlań ewentualne sprzymierzenie się tych, których teraz zgładził: Makrona, który dowodząc od siedmiu lat gwardią pretoriańską, dysponował siłą interwencyjną o decydującym znaczeniu politycznym; który ponadto zlikwidował Sejana, a później, dzięki policyjnemu nadzorowi, jaki sprawował, odgrywał dominującą rolę w sprawach wewnętrznych. Z drugiej zaś strony Tyberiusza Gemellusa, którego nieboszczyk cesarz oficjalnie ustanowił współdziedzicem, a który wkrótce, dorósłszy, mógłby być w stanie sprawować rządy. Przymierze to w przypadku kryzysu lub nadzwyczajnych okoliczności stanowiło - jak tego niedawna choroba cesarza dobitnie dowiodła - niebezpieczne zagrożenie.

Jest wszakże prawdopodobne, że - chory czy nie - cesarz od dawna już nosił się z zamiarem pozbycia się rywali. Nie chciał przeprowadzać tej czystki w euforii pierwszych miesięcy panowania: jeśli nie dokonuje się tego z największym pośpiechem, trzeba nieco poczekać, zanim ubierze się dynastyczne morderstwa w pozory pożądanej przyzwoitości. Wolał więc adoptować kuzyna, udawać, iż żywi względem niego najlepsze zamiary i oskarżyć go w pół roku później o niewdzięczność twierdząc, że w czasie jego choroby ów „modlił się o jego śmierć”: przydawało to morderstwu cień usprawiedliwienia. Likwidacji Makrona dokonano z taką samą hipokryzją. Zgodnie z uświęconym już zwyczajem wzięto go podstępem, podobnie jak Sejana. Niedługo przed śmiercią został on mianowany prefektem Egiptu, a stanowisko to rangą swoją odpowiadało najwyższym godnościom w cesarstwie.

Nie było więc żadnego szaleństwa ani chorobliwego okrucieństwa w tych wyrokach, które podporządkowane zostały niewzruszonym prawom realizmu i które zresztą opinia publiczna za takie uznała: chcąc usprawiedliwić zabójstwo Gemellusa, powiadano w Rzymie, iż „władza jest niepodzielna”. Jak na tego, kogo oskarżano o zmienność nastrojów i brak ciągłości w działaniu, w kim Tyberiusz podejrzewał - jak się wydaje - niebezpiecznie nieodpowiedzialnego człowieka, Kaligula wykazał się raczej w swym postępowaniu dużą dozą konsekwencji.

Wszelako nie dopisywało mu szczęście. Kilka miesięcy później musiał stawić czoło innemu nieszczęśliwemu wydarzeniu: w czerwcu 38 roku zmarła nagle jego ukochana siostra, Druzylla. I tutaj cesarz zachował się enigmatycznie. Ogłosił głęboką żałobę, zawiesił wszelką działalność państwową, zakazał uroczystych obchodów oficjalnych świąt, przypadających właśnie w tym czasie, a nawet wydawania

prywatnych bankietów; ci, którzy nie wzięli tych zakazów poważnie, zostali ukarani. Być może cesarz sam wziął udział w uroczystościach żałobnych, w czasie których mąż zmarłej, M. Emiliusz Lepidus, wygłosił mowę pogrzebową. Nie jest to jednak sprawą pewną. Z przekazów wynika, że opuścił niespodziewanie nocą Rzym i blakając się czas jakiś po Kampanii dotarł do Syrakuz, by równie nagle do miasta powrócić, „nie przystrzygłszy sobie ani włosów, ani brody”.

Ów romantyczny sposób przedstawiania wydarzeń podyktowany został prawdopodobnie przez pogłoski o kazirodztwie, które krążyły po Rzymie na temat Kaliguli i jego siostry. Nie ma jednak potrzeby doszukiwać się tu kazirodztwa, aby wytłumaczyć smutek Kaliguli: Druzylla była jedyną z jego siostr, do której mógł mieć zaufanie, dlatego też kilka miesięcy wcześniej, w czasie choroby, wyznaczył ją na swoją następczynię. Jakkolwiek bowiem daleko jej było do doskonałości i chociaż nie odczuwał dla niej owego romantycznego przywiązania, o którym z takim upodobaniem się napomyka, była ona bez wątpienia lepsza od dwóch pozostałych siostr, które musiał wkrótce potem zesłać, ponieważ spiskowały przeciwko niemu; zwłaszcza zaś lepsza od Agryppiny (chodzi tym razem o sławną matkę Nerona), której - jak wszystko na to wskazuje - już w owym czasie nie darzył zbytnią miłością i być może jej nie ufał; kiedy bowiem kilka miesięcy wcześniej poprosiła go, ażeby nadał imię jej nowo narodzonemu dziecku (przyszłemu Neronowi), zaproponował, naigrawając się, nazwać chłopca Klaudiuszem, a więc imieniem tego, którego uważano za niedorozwiniętego umysłowo.

W ciągu następnych miesięcy Druzylli nie przestawano przyznawać najbardziej wyjątkowych zaszczytów. Zorganizowano jej uroczystości żałobne godne głowy państwa, w czasie których gwardia pretoriańska i delegacje oficerów przedefilowały przed grobem - pochówek godniejszy męża stanu, co się niejednym wślawił zwycięstwem, aniżeli zmarłej w kwiecie wieku kobiety. Pamięci jej poświęcono również Posągi, z których jeden, szczerozłoty, umieszczono w kurii, oraz świątynię; być może stała się nawet przedmiotem oficjalnego kultu, z własnymi kapłanami i kapłankami. Na mocy dekretu senatu bowiem podniesiono ją do godności boskiej pod imieniem Panthea. Z wnioskiem takim wystąpił jeden z członków zgromadzenia, Liwiusz Geminiusz,

który miał czelność zaświadczyć pod przysięgą, w obliczu niewzruszonych *patres conscripti* (senatorów), że „widział, jak wstępuje do nieba, miejsce zajmując wśród bogów”, klnąc się na siebie samego i na głowę swych dzieci, iż prawdę mówi, i odwołując do świadectwa innych bogów i samej Druzylli; „za oświadczenie to otrzymał milion sestercji” - dodaje Dion Kasjusz bez żadnego innego komentarza.

Najważniejsze jednak w owej „konsekracji”, która dała asumpt do tej komedii są nie tyle powody, jakie przywiodły cesarza do jej narzucenia, ile rozgłos, jaki mogła ona mieć w kręgach opinii publicznej. Nadmiemy tytułem przypomnienia, że jedynie Juliusz Cezar i August dostąpili takiego zaszczytu, nie spotkał on nawet samego Tyberiusza. Przyznanie kobiecie, która nie miała nawet tej zasługi, iż wydała na świat potomstwo zdolne wziąć na swe barki losy cesarstwa, stanowiło przejaw ze wszech miar niestosownego kultu rodziny. Było to posunięcie w stylu monarchy. Wiadomo, że za monarchami w Rzymie nie przepadano.

KIEDY WSZYSTKO ZACZYNA BYĆ JASNE

To właśnie w owej autokratycznej postawie - a wkrótce już sami się przekonamy, jak trudno ją było pogodzić, przynajmniej w tamtych czasach, z mentalnością klas panujących - należałoby się doszukiwać, według historyka Balsdona, wyjaśnienia zasadniczego konfliktu, jaki przeciwstawił sobie młodego cesarza i senat. Pod wpływem swej babki Antonii, u której spędził część dzieciństwa i która nabożnie hołubiła pamięć o monarchii wschodniej, tak drogiej Antoniuszowi, jej ojcu, Kaligula wyrobił sobie mniej lub bardziej świadomie specyficzne pojęcie władzy, w sposób naturalny zorientowane na despotyzm - pojęcie, które po upływie roku, w czasie, o jakim teraz mówimy, zaczęło się agresywnie afirmować: „W roku 38 pisze Balsdon - jego poglądy ustrojowe ulegały stopniowo zmianom a w 39 r. się usztywniły. Zdecydowany był przekształcić pryncypat w rządy bardziej autokratyczne." Z tą chwilą stracił sympatię senatorów zagrożonych w swym istnieniu przez despotyzm, który mienił się być boskim i który niebawem miał ich sprowadzić do roli pochlebców kadzących osobie cesarza.

Nie jest rzeczą pewną, czy to Antonia, owa leciwa i tak rozważna dama (wielekroć interweniowała, chroniąc swego wnuka od popełniania głupstwa), wpoila mu poglądy do tego stopnia niebezpieczne. Równie dobrze mógł je po prostu przejąć od swego ojca Germanika. Ale to drobiazg. Sformułowanie Balsdona ma przede wszystkim tę wadę, że przedstawia w sposób zbyt teoretyczny i ogólny konflikt, którego podłoże stanowią fakty: korzeniami swymi sięgał on krwawych wydarzeń, które w czasach cesarza Tyberiusza charakteryzowały walkę o władzę. Kaligula miał być może swój własny pogląd na naturę pryncypatu, lecz przede wszystkim miał porachunki do załatwienia. Nie należy komplikować sprawy. Jak to później dał do zrozumienia, nie przebaczył senatorom prześladowania swojej rodziny, śmierci matki i braci. Czynił ich za to odpowiedzialnymi. A miał po temu powody: przynajmniej część senatu nie cofnęła się przed delacją, pomagając Sejanowi zgładzić potomstwo Germanika. Ani jeden z senatorów nie wystąpił w obronie jego synów. Wszyscy głosowali za uwięzieniem, dawali porękę zbrodni. Dziedzic Tyberiusza, żyjący w zagrożeniu następcą, bolał nad tym skrycie; cesarz o tym nie zapomniał. Nienawiść, niczym hipoteka, ciążyła nad nowym panowaniem.

Kiedy przyjrzeć się wszystkiemu z bliska, łatwo spostrzec, że przejawiać się ona zaczęła od samego początku. Troska o przypodobanie się ludowi, z jaką Kaligula stale się afiszował, stanowiła już oznakę zdradzieckiej wrogości wobec senatu. Przekazanie wyborów komicjom dało tego widomy dowód: było to posunięcie wymierzone wyraźnie przeciwko senatorom. Praktyczne jego znaczenie, jak już powiedzieliśmy, było ograniczone, zasięg psychologiczny natomiast znaczny. Można się było bowiem zastanawiać, na ile sobie cesarz pozwolił krocząc raz obraną drogą. Ostentacyjna demagogia wywoływała niezadowolenie i irytację, poczynania tego rodzaju podkopywały cichą umowę, na jakiej zasadał się ustrój: w dyktaturze cesarskiej senat znalazł środek na zneutralizowanie demagogów, którzy od czasów republiki podburzali przeciwko niemu lud. Dzięki rozdawnictwu zboża, dzięki gwardii pretoriańskiej i prawie codziennej praktyce widowisk mógł on spokojnie cieszyć się swymi przywilejami, przynajmniej tymi, jakie mu pozostawiono. A zostało mu ich niewiele, ponieważ. w zamian za to bezpieczeństwo musiał się wyrzec swych zasadniczych uprawnień. Tym bardziej kurczowo trzymał się więc tych, jakie udało mu się zachować.

Wszystko to doprowadziło oczywiście później do wystąpienia problemów konstytucyjnych, a nawet

teologicznych. Zaczęto mówić o "monarchii typu wschodniego", o cesarzu-bogu. Nie bez pewnej złośliwej przyjemności Kaligula obnosić się będzie z poglądami, strojami, wierzeniami zgodnymi z ową dosyć niejasną ideologią. Byle tylko poniżyć senatorów, byle się zemścić. Owa potrzeba pomsty dojrzewała w nim już od dawna. Tylko że, w pierwszym roku panowaniu jeśli nawet nie zdobył się na tyle rozważli, by ją w sobie stłumić, okazał się przecież wystarczająco roztropny, ażeby ją skryć pod płaszczykiem hipokryzji. Kaligula nie był typem naiwnego idealisty: widzieliśmy, jak udawał, iż adoptuje Tyberiusza Gemellusa, tylko po to by tym łatwiej go potem zlikwidować. Tak samo postąpił w stosunku do senatu. Nie mógł mu wprost stawić czoła nie utrwalwszy jeszcze wystarczająco swej władzy, w sytuacji, kiedy Makron i Tyberiusz Gemellus mogli dostarczyć przeciw niemu decydującej broni. Począł więc udawać, iż nie żywi doń żadnych nieprzyjaznych uczuć, kryjąc prawdziwe swe zamiary pod pozorami skromności: nie zgadzał się na przykład przyjąć, mimo wielokrotnie ponawianych ofert, systematycznie przyznawanego mu konsulatu, z czym tak łatwo przyszło mu się pogodzić w dwa lata później. Pozował na władcę wielkodusznego, niepamiętliwego spraw przeszłości: oto widzimy, jak każe spalić na forum akta procesów, jakimi nękało jego rodzinę za panowania Tyberiusza. Nikt oczywiście nie miał żadnych złudzeń, wszyscy się domyślali, że istniały odpisy. Nic jednak nie przeszkadzało brać ten gest na serio. Pasowało to dobrze do reszty. Za plecami senatorów jednak cesarz niestrudzenie starał się podkopywać ich wpływy. Wojna to była obłudna, senat bowiem również zaczął po kryjomu „coś szykować”.

Jak więc łatwo można się przekonać, nie ma w tym wszystkim nic z patologii. Wprost przeciwnie. Reakcja patologiczna, taką jaką sugerował Hanns Sachs, doprowadziłaby Kaligulę do zapomnienia przeszłości: pod wpływem szoku wywołanego wymordowaniem bliskich oraz obsesyjnego lęku, by i jego nie spotkał podobny los, Kaligula, chcąc się od tego lęku uwolnić, wyrzekłby się własnej rodziny, gdy tylko pojawił się na dworze Tyberiusza. Jednak wówczas nie tłumaczyłoby się, dlaczego z taką zawziętością szukał pomsty. Nie ulega wątpliwości, iż uczucia, jakie żywił do swych bliskich, były silne. Kiedy w kwietniu 37 roku Kaligula wygłaszał nad grobem Tyberiusza pochwałę Germanika; kiedy nieco później nie zawahał się stawić czoła burzy, udając się po prochy swojej matki; kiedy nakazał zburzyć willę, w której ją więziono, nie grał przecież komedii w celach reklamowych. Jak o tym świadczy jego reakcja na śmierć Druzyllę - miał głęboko zakorzenione poczucie więzi rodzinnej i bezgraniczne przywiązanie do swych bliskich. Przywiązanie być może nazbyt ślepe jak na Rzymianina, a już na pewno, w płaszczyźnie politycznej, niebezpieczne ze względu na swój aspekt emocjonalny, lecz absolutnie normalne. Doszedłszy do władzy Kaligula uczynił to, co każdy nie pozbawiony serca człowiek zrobiłby na jego miejscu: pomścił dwa-dzieścia lat upokorzeń, żałoby i strachu. Można się oczywiście zastanawiać, czy mąż stanu ma prawo w podobnych okolicznościach pozwolić na taki luksus i pokazać, że ma serce.

ZASKOCZENIE PREFEKTA

Sprawa, która nie mogła przejść niepostrzeżenie, zaczęła z wolna ujawniać niepokojące zakamarki duszy cesarza. Z początkiem roku 38 Awiliusz Flakkus, prefekt Egiptu od lat sześciu, zdjęty został z urzędu. Zważywszy jednak, iż następcę nie przybył jeszcze na miejsce celem objęcia stanowiska - i nie bez przyczyny, chodziło tu bowiem o Makrona - Flakkus pozostał w Egipcie, załatwiając bieżące sprawy. Po

czym pewnego dnia aresztowany został w mieście, w którym pełnił swój urząd, w Aleksandrii, wśród podległych mu osób, niczym zwyczajny złoczyńca. Kaligula, nieufnie zapewne usposobiony do człowieka, który od sześciu lat sprawował zarząd nad najbogatszą prowincją imperium, wysłał tam centuriona Bassusa, wyposażając go w szczegółowe dyspozycje podyktowane przez najwyższą ostrożność. Zaokrętowawszy się w Rzymie na superszybki statek, po przybyciu do Aleksandrii Bassus zaczął na pełnym morzu, aż zapadnie noc, zanim przybił do brzegu incognito, nie nawiązując żadnego oficjalnego kontaktu.

Od napotkanego po drodze oddziału straży dowiedział się, iż Flakkus spożywa wieczerzę poza domem. Posyła więc czym prędzej żołnierza w przebraniu niewolnika, by upewnić się, czy prefekt nie ma zbyt licznej eskorty - niewątpliwie Kaligula potrafił dobierać swych ludzi! Następnie Bassus przybywa niepostrzeżenie na miejsce, każe obstać wszystkie wyjścia, nawet wokół stołu umieszcza paru żołnierzy w przebraniu, po czym - czyniąc wreszcie uroczysty gest - aresztuje prefekta, który, tak długo nie mogąc się doczekać dowodu swej nielaski, odzyskał być może apetyt i w dobrym wieczerał nastroju.

Sprowadzono go do Rzymu pod tą niejaki dyshonor mu przynoszącą eskortą, wyglądającą nieco na najemnych zbirów, i postawiono przed sądem pod zarzutem zdrady stanu. Zarzucano mu uczestnictwo w „spisku” przeciwko cesarzowi uknutym w czasie jego choroby przez Makrona i Tyberiusza Gemellusa. Rzeczywiście Flakkus zawsze temu ostatniemu okazywał swoje poparcie, w czasie gdy Tyberiusz się wahał, kogo wyznaczyć swym następcą. Być może w październiku 37 roku nawiązał on nawet kontakt z Makronem, którego był przyjacielem, w sprawie ewentualnego „rozwiązania zastępczego”, ponieważ choroba Kaliguli pozwalała przypuszczać, iż zdarzyć się może w przyszłości wakans u szczytów władzy. Ci wszelako, którzy nie mieli krótkiej pamięci, nie brali tych oskarżeń dosłownie: nie zapomnieli oni, że Flakkus - a to wyjaśniało jego obecną orientację polityczną - udzielił przed dziesięcioma laty czynnego poparcia Sejanowi w walce z Agryppiną i rodziną Germanika. Od tamtej pory Kaligula oceniał ludzi w zależności od stanowiska, jakie niegdyś zajęli względem tej właśnie sprawy.

Flakkusa skazano na wygnanie. Dobra jego uległy konfiskacie i wzbogaciły skarb cesarstwa, jako że wielmoża ów zgromadził na "Wschodzie niezwykle wyrafinowane kolekcje dzieł sztuki, których każdy eksponat dobrany został z wielką miłością. Tak czy owak na niewiele by mu się one przydały na Gyaros, skalistej wysepce pozbawionej słodkiej wody, o surowych warunkach bytowania, którą Kaligula wyznaczył mu początkowo na miejsce pobytu. Na innych wyspach można się było jeszcze bawić w filozofa; na tej, najgorszej ze wszystkich, nie można było nawet zostać pasterzem.

Wszakże dzięki wstawiennictwu M. Emiliusza Lepidusa, do którego zaraz wrócimy, były prefekt uzyskał zgodę na pobyt na wyspie Andros, o wiele bardziej cywilizowanej. Nie zmieniło to faktu, że wobec tak młodego wieku cesarza wielka nadzieja wygnańców, jaką jest nastanie nowego władcy, w tym przypadku nie mogła przynieść pocieszenia. Nie na tym jednak polegał problem: w czasach cesarstwa za słowem „wygnanie” kryła się istna otchłań. Owidiusz niemało miał szczęścia mogąc tak długo przechadzać się ze swoją melancholią nad brzegiem Morza Czarnego i przeżuwać wspomnienia rzymskich uciech - taki los czekał poetę, zaplątanego w jakąś nieprzyjemną aferę. Dla polityka wygnanie nie ogranicza się tylko do smętnej nieco wilegiatury: oznacza ono wybór pomiędzy koszmarem życia w nieustannym lęku a samobójstwem, które załatwia wszystko. Albowiem wyrok śmierci może nadejść w każdej chwili,

wystarczy, żeby cesarzowi coś złego się przyśniło.

W tym przypadku tak się akurat nie stało. Kaligula tyle miał powodów, by nie darzyć Flakkusa sympatią, że nie myślał działać pochopnie. Wygnanie było tylko dobrze wyreżyserowanym wstępem do ostatecznej likwidacji przeciwnika, której dokonano bez zbędnego rozgłosu. W kilka miesięcy później cesarz wysłał na Andros żołnierzy. Wiadomo, co to oznacza. Według Filona z Aleksandrii, Flakkus umarł jak tchórz. Kiedy wracając z przechadzki za miasto spostrzegł z daleka żołnierzy, próbował uciekać na skały, „zapomniawszy, iż znajduje się na wyspie”. Pogoń trwała długo, zanim udało się go pochwycić, i to być może wzbudziło w żołnierzach wściekłość: „Jedni natychmiast zabrali się do kopania dołu, drudzy brutalnie ciągnęli za sobą skazańca, który im się opierał, krzyczał i wrywał. Toteż cały był poraniony, ile że sam się nadziewał na ostrza, jako zwierzęta to czynią. Oblapiając wół tych, co zabić go chcieli, czepiał się ich kurczowo. Wszelako, ponieważ przeszkadzało im to zasztyletować go bezpośrednio zadany cios, uderzali z boku... Leżał porwany cięciami; ręce, głowę i piersi miał poranione, żebra połamane, poćwiartowany był całym niczym krwawa ofiara.”

Opis to bardziej niż podejrzany. O ile nie został zmyślony od a do z przez Filona na potrzeby jego dowodu teologicznego, to przynajmniej został w znacznej mierze zniekształcony. Jest prawdopodobne, iż Flakkus umarł tak jak wszyscy Rzymianie. Jednakże śmierć jego, jeśli nawet nie miała wartości przykładu, stała się ostrzeżeniem. Zaczęto prześladować innych dostojników za to, że niegdyś niepokoiili dalekich krewnych czy przyjaciół Germanika. Odtąd żaden z arystokratów nie czuł się bezpiecznie z powodu swojej przeszłości. Wszystko zaczynało się od nowa, jak za Tyberiusza. Po skazaniu Flakkusa można było nawet sądzić, że i metody będą takie same, wymyślne i przebiegłe. Był to jednak mylny pogląd: cesarz miał wkrótce zrzucić maskę.

WYBUCH SKANDALU

ODKURZONE AKTA PROCESOWE

I rzeczywiście: któregoś dnia cesarz przybył do kurii (budynek po-siedzeń senatu) i wszyscy poczuli, iż coś się wydarzy. Tak się też stało Kaligula zabrał głos, rozpoczynając od wygłoszenia długiej pochwały Tyberiusza, co nie leżało w jego zwyczaju. Do tej pory w oficjalnych przemówieniach i wystąpieniach odnosił się do swego poprzednika! z niezwykłym chłodem. Podczas uroczystości pogrzebowej zaledwie o nim napomknął, zachowując dla Germanika słowa uznania, choć przyzwoitość nakazywała poświęcić je osobie zmarłego. Prywatnie zupełnie się nie krępował krytykować go czy też naigrawać się zeń otwarcie.

Zdziwienie senatorów nie miało się na tym skończyć. Był to zaledwie pełen natchnienia literacki wstęp: cesarz przykładął dużo starania do kompozycji swych przemówień, wysoko sobie cenił elegancję formy. Ton przemowy stawał się z wolna coraz bardziej kąśliwy, a słowa coraz ostrzejsze. Senatorowie - mówił Kaligula - nierozważnie czynią, naśladując go we wszystkim. Jakim prawem krytykują Tyberiusza? On, cesarz, ma do tego prawo, jest mu bowiem równy. Oni jednakże są tylko, i na zawsze pozostaną, zwykłymi poddanymi. Tyberiusz był ich władcą, winni szanować jego pamięć.

Oni tymczasem w sercu noszą zdradę, zaprzaństwo. Cesarz sięgnął po akta, owe słynne akta procesowe

"zniszczone" niegdyś na forum. z których jego podejrzliwy umysł wydobył informacje tak dokładne, że niechybnie przypomniały one słuchaczom niemało szczegółów. Z dowodami w ręku wykazał, iż odpowiedzialność za wyroki skazujące, które zapadły podczas panowania Tyberiusza, obciążają nie cesarza, lecz właśnie ich, tutaj zgromadzonych. Jedni występowali wówczas w roli donosicieli, oskarżycieli, drudzy bez najmniejszych skrupułów składali fałszywe zeznania. Wszyscy bez wyjątku głosowali za karą śmierci dla oskarżonych, wśród których - cesarz nie potrzebował tego mówić, każdy dobrze o tym pamiętał - była jego własna matka. Nawet samego Sejana (tutaj wszelako popadł, zapewne pod wpływem uniesienia, w pewną przesadę) nie można było winić: zepsuły go intrygi senatorów; to ich ambicja uczyniła zeń mordercę, zdrajcę i buntownika. Po czym, nie szukając lepszego oratorskiego chwytu od użycia trzeciej osoby liczby mnogiej, Kaligula oskarżył senatorów o to, iż życzą mu śmierci, ale nazbyt są tchórzliwi, ażeby życzenie to w czyn zamierać. „Toteż - zakończył podniesionym głosem - nie masz dla żadnego z nich przyjaźni ani współczucia. Wszyscy cię nienawidzą, wszyscy śmierci ci życzą; zabiją cię, jeśli będą mogli. Przystań myśleć, czym by tu im się przypodobać, i nie przejmuj się tym, co mówią; uważaj swoją przyjemność i bezpieczeństwo za najwyższą sprawiedliwość... Jeśli postępował będziesz inaczej, nic z tego w rzeczywistości mieć nie będziesz prócz czezej chwały, która żadnej ci nie przyniesie korzyści i nędznie zginiesz od ich spisków."

Nigdy jeszcze nie słuchano z tak wielką uwagą równie długiego przemówienia. Skończywszy wreszcie, Kaligula wyszedł pośpiesznie z sali posiedzeń senatu, jakby nigdy więcej nie miał się w niej zjawić i faktycznie - nieczęsto miał tam powracać. Gwałtowność tego wystąpienia sprawiła, iż senatorowie oniemieli. Odczuli potrzebę odprężenia. Posiedzenie przełożono na dzień następny. Tak czy inaczej żaden z nich nie czuł się zapewne na siłach, by wydarzenie skomentować. Przyznać należy, iż przyzwyczajeni byli do innego stylu. Za czasów panowania poprzedniego władcy trzeba było rozważać każde słowo owych dwuznacznych listów, jakie nadchodziły z Kaprei. Jeden z nich, który później stał się sławny, zaczynał się od takiego oto zdania: „O czym mam pisać do was, o senatorowie, albo w jakim sposób, albo w ogóle o czym mi pisać w obecnej chwili? Sam już nie wiem, czy bogowie i boginie mogą mi zesłać gorszą ztratę niż ta, którą czuję z dnia na dzień." Z Kaligula znaleźli się teraz na otwartych wodach. Koniec z mrzonkami o powszechnej zgodzie. Cesarz wydał okrzyk wojenny, rzucił wezwanie do zagłady.

Po tym wystąpieniu niezwłocznie opuścił Rzym. To prawda, było lato. Godne jest wszak zastanowienia, że zareagował tak samo jak Tyberiusz, którego wyjazd z miasta tłumaczy się nazbyt pochopnie. Względami psychologicznymi i upodobaniem do spędzania czasu na wyspach. Zrażony, podobnie jak jego poprzednik, perfidią i zawiścią arystokracji, Kaligula opuścił stolicę. Przedtem jednak wydał głośny dekret: przywrócił formalnie moc ustawie o obrazie majestatu, którą - w przeciwieństwie, do swych poprzedników wykazujących się w tym względzie większą dozą skromności - wyposażył ponadto. w widomą oznakę istnienia każąc ją wygrawerować na brązowej płycie.

Ustawa ta - dziedzictwo z czasów republiki, która na ogół posługiwała się nią z umiarem - dopuszczała teraz możliwość wszczęcia procesu przeciwko każdemu, kto naraził na szwank bezpieczeństwo państwa, nawet bez konieczności dostarczenia odpowiednich dowodów. Wystarczyło kilka nieprzychylnych słów na temat polityki czy też osoby cesarza - w większym lub mniejszym stopniu zmyślonych przez oskarżyciela.

Chyba że, jak to często czyniono w przypadku kobiet (które trudno było obwiniać o spisek i „powiązania z siłami zbrojnymi"...), wysuwano oskarżenia o „konszachty z wróżbitami i magiczny proceder tyczący osoby cesarza" celem zachowania należytej powagi procesu.

Wraz z przywróceniem owej ustawy na tle tego i tak już mrocznego krajobrazu mogli na powrót pojawić się donosiciele, którzy zyskali sobie prawo do oficjalnego istnienia za czasów Tyberiusza. Byli to oczywiście delatorzy zawodowi, powodowani chęcią zysku, otrzymywali bowiem w przypadku wyroku skazującego czwartą część majątku ofiary; karierowicze bez pozycji i skrupułów z całym swym bagażem jaskrawych podłości, przekupni wyzwoleńcy, synowie podupadłych rodów, niewolnicy, których zeznania również w końcu zaczęto uznawać w sądzie; nakłaniano ich nawet do składania owych zeznań obiecując wolność oraz nagrodę. Ludzie ci byli zniechęceni, życzone im najgorszej kary (niektórych spotkała ona rzeczywiście, jak na przykład tych, których wydano kiedyś na pastwę morza zostawiając na statku pozbawionym wody do picia), gardzono nimi. Sprzyjającą okolicznością był fakt, iż się ich znało, a to pozwalało przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności.

Ustawa ta czyniła z każdego Rzymianina - i to było potworne - potencjalnego donosiciela działającego z pobudek zazdrości, tchórzostwa, nienawiści czy też ambicji. Łatwo sobie wyobrazić, jak silny mógł być ów ostatni motyw działania w zgromadzeniu wysokich urzędników, gdzie szalało wprost karierowiczostwo. Wprawdzie w łonie senatu mało było donosicieli w policyjnym sensie tego słowa, ale za to wielu oskarżycieli częściej lub rzadziej ponawiających swój proceder. Atak padał nie tylko ze strony wrogów - wtedy można jeszcze było, broniąc się, samemu rzucić oskarżenie - lecz też ze strony całej plejady ludzi, którzy powodowani ambicją posługiwali się - najczęściej bez żadnych osobistych animozji - oskarżaniem innych, by wspiąć się o szczebel wyżej w swojej karierze. Była to niezwykle skuteczna metoda. „Pragnęli zostać konsulami - odnotował Tacyt, mówiąc o czterech spośród nich - godność tę można było uzyskać tylko przez Sejana, a ten poparcia swego, udzielał wyłącznie za cenę zbrodni." Ci karierowicze starali się więc wydobyć na światło dzienne słabości, które z każdego mogły uczynić winowajcę. Czyhali przede wszystkim, aż cesarz lub jego zauszniczy zdradzą się ze swoją sekretną do kogoś nienawiścią, i tego właśnie oskarżali, iżby się przypochlebić. . Oczywiście, należy to do zwyczajowej taktyki władzy. Jednakże nie znany szerokiemu ogółowi charakter tych manewrów czyni je trudnymi i niekiedy niebezpiecznymi. W Rzymie takie poczynania były legalne, powszechne i ogólnie przyjęte. Toteż, gdy tylko komuś powinęła się noga, rzucano się nań całą zgrają. Przebiegało to zawsze według tego samego scenariusza, przykłady można by mnożyć bez końca: M. Syllanus sprawujący urząd prokonsula w Azji oskarżony został przez swych przeciwników o korupcję. Było to najbardziej tradycyjne i najbanalniejsze ze wszystkich oskarżeń: wiadomo, że namiestnicy wykorzystywali pobyt w prowincjach, zwłaszcza zaś w Azji, aby „podbudować się finansowo". Wszyscy jednak wiedzieli, że Tyberiusz bardzo złym okiem patrzy na nadużycia dostojników, jeśli chodzi o administrację prowincjonalną. Od razu też były konsul, pretor i edyl - cała hierarchia rzymskich urzędników - sprzymierzają się, wytaczając Syllanusowi proces o zdradę stanu. Oskarżają go o „obrazę majestatu Tyberiusza", dodając, celem przydania sprawie pozorów prawdopodobieństwa, „że dopuścił się również obrazy majestatu Augusta", jakby gubernator ten popadł w manię systematycznego łżenia godności cesarskiej... Usprawiedliwiając swoje postępowanie, oskarżyciele powołują się szumnie na

przykład Katona, stanowiącego symbol republikańskiej cnoty, którego specjalnością było ciągnięcie po sądach nieuczciwych dostojników.

Konsekwencje tego dodatkowego oskarżenia - jeśli można tak powiedzieć - o zdradę stanu, okazały się dla oskarżonego katastrofalne w skutkach, zawiązywały bowiem usta świadkom. Bez trudu udałoby się obronić urzędnika obwinionego o malwersacje, lecz któż odważyłby się świadczyć na korzyść człowieka oskarżonego o zdradę stanu? Widmo śmierci towarzyszyło przebiegowi procesu. Przybierało ono zresztą niekiedy postać zalegalizowanego linczu - i dlatego też, w tego rodzaju przypadkach, „prewencyjnie” wybierano na ogół samobójstwo. Ponieważ - zgodnie z tym, co powiada Tacyt, który zresztą nie neguje korupcji Syllanusa - „burzowe chmury, jakie zawisły nad jego głową, przyprawiłyby o drżenie nawet samą niewinność”. Również jego podwładni przyłączyli się oficjalnie do oskarżycieli. Zadbano też o to, by odkupić niewolników Syllanusa i torturami zmusić ich do złożenia obciążających zeznań. Wobec cesarza, który w czasie przesłuchania rzucał na szalę powagę całego swego autorytetu, oskarżony stawał zupełnie sam: senatorowie wtórowali zgodnym chórem bądź nabierali wody w usta.

Sprawy tego rodzaju rozpatrywane były przez senat, który przeistaczał się na tę okoliczność w Sąd Najwyższy. Skazywał on tych spośród własnych swych członków, którzy narazili się cesarzowi. Występował więc zarazem w roli młota i kowadła. Sytuacja ta budziła zaniepokojenie wśród tych, którzy - bo przecież i tacy się zdarzali - próbowali kierować się w życiu moralnością polityczną trochę wyższego lotu aniżeli etyka donosicielskiego karierowiczostwa; musieli oni bowiem ferować wyroki skazujące na swych przyjaciół. Sytuacja była niebezpieczna dla wszystkich: procesy te bowiem pomnażały nienawiść, a każdy z nich stawał się powodem do kolejnych porachunków. W senacie zapanowała atmosfera terroru.

Łatwo zrozumieć, iż wraz z przejściem władzy przez Kaligulę senatorowie mogli żywić nadzieję, iż teraz sprawy będą się miały inaczej. Była to nadzieja mało realistyczna - terror bowiem stanowił nierozłączną część systemu - zrozumiała natomiast w tym sensie, iż za Augusta sprawy nie zaszły aż tak daleko. Można było jeszcze mieć nadzieję, że panowanie Tyberiusza stanowiło tylko nieszczęsny okres należący do przeszłości. Teraz przestano już w to wierzyć: przywrócenie do życia ustawy o obrazie majestatu dowodziło, iż pryncypat nosi w sobie niechybnie mroczne znamiona koszmaru.

SIŁA I SŁABOŚĆ PODUPADLEJ KASTY

Najgorsze polegało chyba na sposobie, w jaki Kaligula zabrał się do wskrzeszania obsesji strachu z czasów panowania poprzednika. Dion Kasjusz przesadził być może nieco w tonie przytaczając przemowę, jaką streściliśmy powyżej. Niemniej zionęła ona przecież - podobnie jak inne późniejsze wystąpienia Kaliguli do senatorów - gwałtem i nienawiścią. Prawił im morały, traktując niczym stadko nieodpowiedzialnych i zepsutych uczniów. Było zwłaszcza coś głęboko uwłaczającego w owej zaskakującej szczerości, w tym brutalnym zrzuceniu maski. Po dobrych słowach, jakie senatorowie słyszeli w początkach panowania, teraz mogło im się wydawać, iż zostali wystrychnięci na dudka. Czystą komedią okazały się rehabilitacje, zniesienie cenzury i ustawy o obrazie majestatu - cała ta dobrotliwa polityka, jaka cechowała początek panowania i która mogła sprawiać wrażenie, że tyrania umarła. Cesarz okazał się hipokrytą, nienawidził senatu. Do tej pory, przy odrobinie zaślepienia, można było jeszcze w to wątpić.

Teraz stało się to już rzeczą niemożliwą. Tyberiusz przynajmniej zadawał sobie ten trud, by udawać, i zaczynało już żałować jego hipokryzji. Kiedy debaty senatorów napawały go obrzydzeniem, wyrażał to po cichu, i to po grecku: „O mężowie znosić gotowi każdą formę zależności” - mruczał czasami pod nosem, wychodząc z kurii. Jego następca już sobie tego trudu nie zadawał. Otwarcie traktował senatorów jak kanalie. Niczego nie mruczał pod nosem - wybuchał.

Można się gubić w domysłach odnośnie do przyczyn, które doprowadziły cesarza do zerwania z tradycją w sposób aż tak prowokacyjny. Było rzeczą jak najbardziej oczywistą, iż wybuch taki przekreślał jakikolwiek późniejszy kompromis. Prowadził on do otwartej wojny, która musiała nieuchronnie zakończyć się wyeliminowaniem jednego z przeciwników.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Kaligula dał się ponieść gniewowi. Nie dlatego, iż przez długie miesiące przeżuwał - jak zgorzkniałcy to czynią - nagromadzone krzywdy, które gwałtownie wychynęły na światło dzienne. Ale dlatego, że do wszystkich innych powodów, dla których senatu w sercu nie mógł nosić, doszedł jeszcze jeden: już wtedy prawdopodobnie odkrył, o czym niedługo się dowiemy, iż senat go zdradza. W każdym razie nie odnosi się wrażenia, iż działał pod wpływem nastroju chwili czy uległ pokusie słownego zmanifestowania swej władzy, co właściwe jest ludziom, którzy nie wierzą we własne siły. Był to atak wyrachowanego gniewu, przemyślana obelga, którą pogłębił świadomie przepaść, jaka go dzieliła od senatu. Poważny błąd polityczny, niebezpieczna kalkulacja: zachowywał się tak, jakby senat już nic sobą nie przedstawiał. Nie dla tej jednej jedynej przyczyny - jak przypuszcza się dziś z przykrym uporem sprowadzając wszystko do ideologii - iż ogarnięty był obsesją schematów monarchii orientalnej odziedziczonych po Antoniuszu i Germaniku. Lecz przede wszystkim dlatego, że gdy tak czynił, mogło się wydawać, iż postępuje zgodnie z logiką ustroju: skoro senat z politycznego punktu widzenia nie posiadał już żadnej władzy, czyż nie miał prawa traktować go jak piątego koła u wozu? A prawdą jest przecież, że nie posiadał on już żadnej władzy stanowiącej: pełnił tylko funkcje reprezentacyjne. Powierzano mu także czasami rozpatrywanie zawitych akt, których pieniądze, właściwe prowincjom, a nawet miastom, nużyło cesarza. I tak oto senatowi przyszło rozstrzygać w sprawach dotyczących administracji miast greckich, które - mocne czując oparcie w długoletniej tradycji religijnej - doprowadziły do niebywałego rozrostu prawa azylu. Ich świątynie stawały się istnymi „dziedzińcami cudów”, gdzie bezkarnie znajdowali schronienie zbiegli niewolnicy, niewypłacalni dłużnicy, przestępcy, jednym słowem - przedstawiciele dołów społecznych wszelkiej maści. Każda próba interwencji władz rozbijała się o szowinistyczną postawę kapłanów i tłumu. Miasta owe wystąpiły z żądaniem, aby na szczelbu władzy centralnej ustalono ściśle określoną liczbę świątyń posiadających prawo azylu. Wyposażone więc w całe zwoje archiwalnych dokumentów, wśród których znajdowały się zarówno najbardziej legendarne pergaminy, jak i dekrety z czasów historii najnowszej, poselstwa każdego z tych miast wyruszyły do Rzymu. A to w celu odczytania tam długich odwoływających się do mitologii przemówień wymieniających szczegółowo bohaterskie czyny, jakich każdy z bogów, bogiń czy herosów olimpijskich mógł tu czy tam dokonać. I tak oto mieszkańcy Efezu twierdzili, iż „Diana i Apollin nie urodzili się na wyspie Delos, jak powszechnie sądzono; że jeszcze obecnie można oglądać w Efezie rzekę Kenchrejos i gaj Ortygią zwany, gdzie Latona, gdy nadszedł termin rozwiązania, oparłszy się o pień drzewa, jakie do dziś tam rośnie, wydała na światło dzienne obydwie te

boskie istoty; iż gaj ten poświęcony został z rozkazu niebios; że sam Apollo znalazł w nim azyl po zabiciu Cyklopów, etc." Senatorowie ziewali z nudów, a po kilku dniach desperackich wysiłków uważnego słuchania postanowili zrezygnować z zaszczytu rozstrzygnięcia owych ważkich problemów erudycyjnych i odesłali akta konsulom, którzy - nawiasem mówiąc - niewiele więcej zdołali zachować rzeczywistej władzy niż senatorzy...

No i na koniec, po cóż jeszcze teraz cackać się z ciałem, którego służalczość osiągnęła proporcje, jakich wydawało się, iż nikt nie jest w stanie przekroczyć? Za Augusta senat się podporządkował. Za czasów Tyberiusza sam siebie upokorzył. Nie było takiego zaprzaństwa, pochlebstwa, którego by entuzjastycznie nie przegłosował. Jednego dnia proponował wygrawerować złotymi literami teksty mało istotnych dekretów dotyczących osoby pryncypsa, innym znów razem obsypywał go śmiesznymi zaszczytami, czego przykładem może być . owacja, jaką - z okazji jakiegoś powstania w Galii - zgotował Tyberiuszowi, który powracał... z wypoczynkowego pobytu w Kampanii, i której ów nie przyjął, dodając, że „ujarzniwszy najwaleczniejsze narody i przyjąwszy bądź odrzuciwszy w swej młodości tyle triumfów, nie sądził, iżby mu chwały niedostawało, aby zabiegać, u progu starości, o tę próżną zapłatę za wycieczkę za mury Rzymu".

Oczywiście, byli również i oporni, którzy z narażeniem własnego życia ważyli się mówić głośno to, co w duchu myśleli wszyscy. Nie należał do nich Seneka, który w tym okresie pozostawał raczej w cieniu i którego skazanie na śmierć przez Kaligulę - anulowane jakoby dzięki zabiegom jakiegoś przyjaciela - jest najprawdopodobniej legendą. Seneka miał wszystkie powody po temu, żeby obciążać pamięć o Kaliguli wyimaginowanymi zbrodniami: cesarz nie lubił jego stylu, który wydawał mu się pretensjonalny. Należeli wszakże do nich ludzie wychowani na stokyzmie, z których kilku rzeczywiście zostało skazanych, jeden zaś, Juliusz Kanus, wyniośle podziękował żołnierzom za to, iż go aresztowali. Postawa ich świadczy o tym, że już wówczas istniała owa „filozoficzna opozycja", która później miała się stać rodzinną tradycją w senacie Nerona, a następnie Domicjana, i na której wewnętrzne rozdarcie i niejasności zwrócił uwagę Alain Michel. Przepojeni filozofią, która nakazywała im mieć w nienawiści poddaństwo i służalczość, lecz również uczyła ich obywatelskiego heroizmu i poczucia państwowości, i tak zresztą tradycyjnie silnego w Rzymie, często ulegali oni pokusie przeciwstawiania się swoim milczeniem, wstrzymywaniem się od głosu lub, częściej, swoim postępowaniem, najohydniejszym przejawom tyranii. Mniejszość ta jednak skazana była na prześladowania. Budujące przykłady zapisywały chlubne karty historii, lecz nie potrafiły doprowadzić do powstania prawdziwej opozycji. Najpierw dlatego, iż brakowało jej naturalnego oparcia: wielkie rody, których potomkowie mogliby stanowić swoim autorytetem przeciwwagę dla despotyzmu, zdziesiątkowane zostały wojnami domowymi, a cesarze zadbali o to, by jeszcze bardziej je przetrzebić skazującymi wyrokami: do tego stopnia, że na listach składu senatu z I wieku na czterystu członków widnieje zaledwie trzydziestu wywodzących się ze starych, arystokratycznych rodzin. Po drugie dlatego, iż senat, który przejawiał niejaki tendencje wolnościowe, nie był już w stanie dać wyrazu jakiegokolwiek woli politycznej. Nie mógł zmienić ustroju - i tu kalkulacje Kaliguli okazywały się doskonale logiczne - z prostego powodu: sam tego ustroju potrzebował, gdyż cesarstwo chroniło go przed ludem i przed szal-bierczymi obietnicami prowodyrów, którzy ów lud wykorzystywali, a także przed wewnętrznymi niesnaskami.

Logika to jednak nie wszystko. Władza polityczna, jaką dysponuje dana grupa społeczna, nie jest ścisłą

miarą posiadanych przez nią możliwości działania. Faktycznie pozbawieni inicjatywy, senatorowie z niewielkimi wyjątkami zachowali w swoich rękach, z tego czy innego tytułu, administrowanie imperium. Ludźmi, którzy zarządzali prowincjami, już to podlegając senatowi, już to cesarzowi, byli senatorowie, synowie senatorów, bracia i szwagrowie senatorów. Senatorowie dowodzili też wojskiem. Z ekonomicznego punktu widzenia senat skupiał w swym ręku większą część Italii. Zachował on również prestiż, który - w połączeniu z wszystkimi innymi wpływami, jakimi dysponował - pozwalał mu oddziaływać na opinię publiczną. Można się było o tym przekonać, kiedy stosunki senatu z Kaligulą zaczęły się pogarszać. Pojawili się od razu intelektualiści o niejakim zacięciu filozoficznym, którzy zaczęli pisać książki przeciwko tyranii - przeciwko tyranii w ogóle, oczywiście.

Wszystko to stanowiło faktyczną potęgę senatu, której niebezpieczeństwo rozumiał August. Najpierw postarał się, ażeby kontrolować dostęp do senatu; ale przede wszystkim zadbał o uśpienie czujności jego członków, przyznając im fikcyjne pierwszeństwo w państwie, obsypując ich względami. Zwykła znajomość psychologii wskazywała na to, że istnieje ryzyko, iż zazdrość, wyrzuty sumienia, sfrustrowana duma „zdetronizowanej” kasty, niezdolnej utworzyć opozycję w szlachtetnym sensie tego słowa, przerodzą się niebawem w niebezpieczne dla cesarza intrygi.

Kaligulą miał odwagę sprowokować i rozdrażnić tę dumę. Jakiegokolwiek mogły być jego motywacje, podstawowym błędem, jaki z obiektywnego punktu widzenia popełnił, było to, że nie docenił zdolności senatorów do riposty. Być może należy położyć to na karb jego młodego wieku czy też raczej owego braku doświadczenia, będącego wynikiem życia w odosobnieniu, które pozbawiło go jakiegokolwiek bezpośredniego poznania i możliwości osobistego przeżycia rzeczywistości politycznej. Miał on nieco abstrakcyjną wizję rzeczy, właściwą młodzieńcom, którzy wiedzę swą czerpią jedynie z ksiązek. Jego despotyczne koncepcje pryncypatu zgodne były z „nurtem historii”, lecz moment praktycznego ich zastosowania nie nadszedł. Senat miał jeszcze wystarczająco dużo siły, aby dokonać w razie potrzeby zmiany cesarza, jeśli ten uporczywie nie respektowałby owej resztki władzy, jaka mu pozostawała.

KALIGULA ZARZUCA SIECI

Przytłoczeni ogromem tego, co przed chwilą usłyszeli, senatorowie pośpiesznie zamknęli posiedzenie. Następnego zaś dnia, od samego świtu, zaczęli obdarzać Kaligulę najnamienitszymi tytułami i jak najbardziej niezasłużonymi zaszczytami. „Rozpływali się w pochwałach - mówi Dion Kasjusz - na temat szczerości charakteru i nabożności cesarza i składali mu pokornie dziękczynienie, iż nie pozbawił ich życia. Wydano dekret, że każdego roku, tego samego dnia, kiedy przemówienie to zostało wygłoszone, oraz w dniu, w którym obchodzi się uroczyste święta na Palatynie, składane będą ofiary jego Łaskawości, zaś jego złoty posąg niesiony w procesji na Kapitol przy dźwiękach hymnów śpiewanych przez dzieci z najlepszych rodów. Przyznano mu również prawo do odbycia małego triumfu, jakby rozgromił wrogów.”

Senatorowie często imali się tego sposobu: usiłowali uśpić czujność przeciwnika, zasypując go pochlebstwami. Kiedy zaś wnoszono posąg Kaliguli na Kapitol, pokątnie knuli spisek. Ten ostatni zresztą zawiązany już został być może na długo przed sławetną przemową, jej gwałtowność dawałaby się w tym wypadku wytłumaczyć podejrzeniami cesarza. W pierwszej połowie 39 roku jesteśmy bowiem świadkami

całej serii wyroków skazujących, których motywy pozostają niezbyt zrozumiałe. Kalwizjusz Sabinus między innymi, który dowodził armią w Pannonii, zawezwany zostaje do Rzymu i zmuszony wraz z żoną do popełnienia samobójstwa.

Kaligula pragnął nadać owym wyrokom wartość przykładu: kazał porozwieszać nazwiska ofiar na murach miejskich tak samo, jak uprzednio polecił wygrawerować w brązie ustawę o obrazie majestatu. Należy jednak mniemać, iż publiczne ogłoszenie wyroku nie wydarło odstrasżającego skutku, bowiem niedługo potem, w lecie pod koniec 39 roku, zawiązano spisek, który przybrał nader poważne rozmiary.

Angielski historyk Balsdon bardzo dokładnie odtworzył ogólny jego zarys, nie może więc być najmniejszej wątpliwości co do rzeczywistego zaistnienia faktów. Poparcie wojska, choć nie było absolutnie niezbędne dla powodzenia tego rodzaju spisku - jak wydarzenia z roku 41 tego dowiodły - znacznie zmniejszało możliwość klęski. Gwardia pretoriańska, która strzegła Rzymu, nie dawała zgoła przystępu korupcji, ponieważ była wielce przywiązana do potomka Germanika oraz dlatego, że z racji swej pozycji podlegała ścisłemu nadzorowi. Senat zwrócił się więc w stronę armii i szukać zaczął jakiegoś cieszącego się popularnością dowódcy. Znalazł go w osobie Getulika, głównodowodzącego armii stacjonującej w Górnej Germanii, która później została armią wykorzystywaną do przeprowadzania zamachów stanu. Sprawował on swoją funkcję od roku 32 i zyskał sympatię żołnierzy systematycznym rozluźnianiem dyscypliny. Tak się akurat ponadto składało, że jego teść Aproniusz dowodził legionami w Dolnej Germanii. Właściwie armie te nie powinny wyruszać na Rzym: Kaligula miał przybyć nad Ren celem wszczęcia przeciwko Germanii działań wojennych, z których Tyberiusz dobrowolnie zrezygnował. Dawałoby to okazję do zamordowania cesarza w obozie. Z chwilą dotarcia wieści o jego śmierci do Rzymu, senat - przy pomocy konsulów - miał ogłosić cesarzem M. Emiliusza Lepidusa, byłego męża Druzylli, którego Kaligula sam wyznaczył w czasie choroby na swego następcę.

Nie wiemy ani kiedy, ani jak cesarz odkrył spisek, w każdym razie przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, aby jego przeciwnicy nie domyślili się, iż cokolwiek podejrzewa. Wynałazł typowo „despotyczny” i zwariowany pretekst, aby zdjąć z urzędu obydwu konsulów, którym publicznie połamiał wiązki różg, będące symbolem ich władzy: oskarżył ich o to, że uczcili rocznicę odniesionego przez Augusta zwycięstwa pod Akcjum i znieważyli w ten sposób pamięć Antoniusza, którego był potomkiem i duchowym spadkobiercą. W prywatnej rozmowie przyznał jednak, iż tak czy inaczej zostaliby skazani, ponieważ jako że był również potomkiem Augusta - mógłby im zarzucić rzecz odwrotną, gdyby rocznicy tej nie uczcili... Zawikławszy w ten sposób sprawę, mianował na ich miejsce dwóch zaufanych ludzi. Jednym z nich był Domicjusz Afer, któremu parę miesięcy wcześniej wytoczył proces o obrazę majestatu pod pretekstem, że ów, w tendencyjnym jakimś piśmie, ganił jego młode lata, w rzeczywistości zaś być może dlatego, iż Domicjusz - mając za sobą donosicielską przeszłość występował niegdyś przeciwko jednej z krewnych Agryppiny. Przy okazji tego procesu doszło do zaskakującego i komicznego wydarzenia - Kaligula osobiście wygłosił mowę oskarżycielską. Zamiast mu odpowiedzieć, Domicjusz, który uchodził za doskonałego mówcę, udał, że przemowa wywarła na nim tak wielkie wrażenie, iż całkowicie go przekonała o winie, i powtórzył ją raz jeszcze, wychwalając pod niebiosa jej genialność, po czym rzucił się cesarzowi do nóg, prosząc o łaskę. Uzyskał ją. Jest to tak niewiarygodne, że można się zastanawiać, czy nie chodzi tutaj

przypadkiem o z góry wyreżyserowaną scenę, mającą na celu zmylić senatorów i zamaskować zмовę istniejącą pomiędzy obydwojma bohaterami procesu. W każdym razie cesarz był tak pewien wpływu, jaki miał na Domicjusza, że w podobnych okolicznościach nie zawahał się powierzyć mu konsulatu...

Zabezpieczywszy sobie w ten oto sposób tyły, w pierwszych dniach września Kaligula postanowił wyruszyć do Galii. Nie mógł naturalnie podjąć ryzyka rozprawienia się ze spiskowcami w Rzymie, pozostawiając w prowincji względnie blisko leżącej od stolicy zbuntowanego dowódcę, który - dysponując obydwojma galijskimi armiami - potrafiłby postawić wszystko na jedną kartę i rozpocząć otwartą rewoltę. Udało mu się wszakże utrzymać w sekrecie termin swojego wyjazdu tak długo, jak tylko mógł, chciał bowiem zaskoczyć Getulika i uniemożliwić mu jakąkolwiek obronę. Stąd się też i bierze owo ślamazarne tempo pierwszego etapu podróży, który zawiódł go aż do pewnego słynnego źródła na północy Italii, gdzie wpadł nagle na pomysł kontynuowania marszu... aż do samego Renu, „aby uzupełnić szeregi swej gwardii Germanami”. Stąd się również biorą wszystkie dziwne rozporządzenia charakterystyczne dla tej podróży, w czasie której - jak powiadają - znaki bojowe złożono na grzbietach jucnych zwierząt, podczas gdy mieszkańcy miast polewali wodą drogę, którą miał przejść cesarski orszak, dzięki czemu można było sobie pozwolić na wyteżony marsz. Na wypadek zaś gdyby Getulik, uprzedzony o jego zbliżaniu się, zwietrzył zasadzkę i podjął ryzyko wszczęcia otwartej rebelii, cesarz sprowadził legiony z Afryki i z Hiszpanii.

Pod eskortą oddziału pretorianów i swojej przybocznej gwardii Kaligula dotarł w rekordowo krótkim czasie do Moguncji. Getulik, który tu właśnie miał swą kwaterę główną, został natychmiast stracony. Wszczęto śledztwo przeciwko wszystkim podejrzanym oficerom, nie wzdragano się stosować tortur. Po paru przykrych konfrontacjach Emiliusz Lepidus, któremu spisek ten największe miał przynieść korzyści (ale czy naprawdę tylko jemu, albowiem w przypadku sprawy tego rodzaju niezwykle trudno dociec, kto się za tym wszystkim kryje), stracony został w obozie przez ścięcie. Kaligula bowiem zadbał o to, by zabrać go ze sobą r niełatwa to musiała być dlań podróż. Seneka przekazał nam tylko nazwisko trybuna, który dokonał egzekucji. Dion Kasjusz, zamiast podać nam opis towarzyszących temu wydarzeniu okoliczności, daje nagle upust jakiemuś lirycznemu natchnieniu: „Tutaj cesarz każe zabić Lentulusa Getulika - który wsławił się między innymi i tym, że przez lat dziesięć zarządcą był w Germanii - dlatego, iż zyskał on sobie sympatię wśród żołnierzy. Gdzie indziej zaś kazał stracić sławetnego Lepidusa, swojego kochanka i faworyta, męża Druzylli, który pospołu z nim samym obcował z pozostałymi jego siostrami, Agryppiną i Julią Liwillą; Lepidusa, któremu dozwolił zabiegać o zaszczytne urzędy dziesięć lat przed prawnym terminem” tego samego Lepidusa, którego sam następcą swym wyznaczył na cesarskim stolcu."

Wcale nie jest rzeczą pewną, że Lepidus był faworytem Kaliguli. Na pewno jednak, prawdopodobnie po śmierci Druzylli, został on kochankiem Agryppiny. Przezorna i już zżerana przez ambicję młoda matka Nerona skorzystała z okazji, jaką dawała jej śmierć Druzylli, i znalazła w Lepidusie pierwszego mężczyznę, który mógł ją poprowadzić ku władzy. Pierwsi kochankowie nie zawsze spełniają pokładane w nich nadzieje; Kaligula przejrzał tę grę, dlatego też zmusił ją, by mu towarzyszyła w podróży do Galii, tak samo jak swoją drugą siostrę Liwillę. Agryppiną znalazła się teraz wobec człowieka rozwścieczonego odkryciem

zdrady w swej własnej rodzinie. Miał on już być może zbyt dużo krwi na rękach i dlatego skazał ją tylko na wygnanie. Jak się o tym przekonaliśmy, niekoniecznie dawało to gwarancję bezpieczeństwa. Tym bardziej, iż w chwili gdy Agryppina miała już wyruszać w drogę w towarzystwie Liwilli, także skompromitowanej, w kierunku wysp Pontu, cesarz zadbał o to, by jej przypomnieć - dając dowód owego kunsztu lapidarnych formuł, który potrafił błysnąć w okolicznościach wielkiej wagi - „że posiada wyspy, ale też i miecze”. Najłagodniejszą z kar, jakich mogła się spodziewać owa kobieta, której życie wypełniało tyle pałacowych intryg iż w końcu doprowadziły ją one do śmierci, było wygnanie bez nadziei na powrót. Kaligula, który równie po mistrzowsku opanował sztukę wymownych posunięć, dał jej to na swój sposób do zrozumienia nieco później, sprzedając wszystkie jej ruchomości na owej słynnej licytacji lyońskiej, z której tak się wówczas naśmiewano. Nie będzie więc już musiała się martwić, że zniszczą w czasie jej nieobecności... Wreszcie, iżby niczego jej nie oszczędzić, wręczył jej urnę z prochami kochanka i kazał, by ją zawiozła do Rzymu, jadąc na wyspy.

„Prezent” ten przeznaczony był dla senatu, w łonie którego Agryppina miała wielu przyjaciół. Kaligula dołączył do urny trzy należące do spiskowców sztylety, które złożono uroczyście w świątyni Marsa Mściciela. Z chwilą gdy do miasta dotarła wieść o odkryciu spisku, w Rzymie zapanowała typowa w takiej sytuacji atmosfera grozy, spotęgowana jeszcze przez fakt, że nieobecność cesarza w stolicy wzmagala niepewność. Połowa mieszkańców czuła się skompromitowana pokrewieństwem czy po prostu przyjaźnią z konspiratorami. Pierwszych egzekucji dokonano przy pomocy zaufanych ludzi, jakich Kaligula pozostawił na miejscu; obawiano się następnych, jeszcze bardziej zdradzieckich, po jego powrocie.

Senat oczywiście uchwalił zwyczajowe w takim przypadku zaszczyty: wysłał mianowicie do Kaliguli delegację, aby mu pogratulować "szczęśliwego końca wydarzeń". Jednakże, czy to przez niedopatrznie, czy też przez złośliwość, delegację ową miał poprowadzić Klaudiusz, stryj cesarza. Inicjatywa ta, która już sama w sobie stanowiła odstępstwo od przyjętego zwyczaju, wydawała się być prowokacją. Kaligula bowiem - po kłopotach, jakie miał ze swymi siostrami - zakazał przyznawania członkom swej rodziny jakichkolwiek oficjalnych wyróżnień. Toteż delegację przyjął nader źle, a raczej wcale jej nie przyjął. Senatorowie musieli wysłać do niego drugą, którą potraktował już normalnie. Zastała ona cesarza w Lyonie, gdzie w gwarze wszelkiego rodzaju fet i rozrywek próbował on szukać zapomnienia o wielu sprawach. Zdrada dowódców nie należy do przyjemności, a co dopiero własnych siostr, zwłaszcza gdy na domiar złego straciło się tę jedyną, która by mogła w podobnych okolicznościach przynieść pociechę. Ponadto Kaligula przybył tutaj, ażeby wypocząć po trudach nadreńskiej kampanii wojennej.

ZWYCIĘŻYĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

GERMAŃSKIE BAGNO

Sprzysiężenie uknute w Galii przyspieszyło wyjazd Kaliguli z Rzymu. Cesarz nosił się z tym zamiarem już od dosyć dawna, być może od chwili objęcia władzy. Miał on rzeczywiście stanąć nad Renem w początkach 39 roku, aby tam osobiście dowodzić wyprawą przeciwko Germanom, z myślą o której

sprowadził posiłki z Hiszpanii i z Afryki. Owa szeroko zakrojona akcja miała na celu ni mniej, ni więcej tylko podbój Germanii.

I tutaj również cesarz wystąpił z inicjatywą całkowicie odmienną od tradycyjnej już polityki opieszałości. Początki jej sięgały czasów Augusta, który w ostatnich latach swojego pryncypatu rozmyślnie zrezygnował z jakichkolwiek podbojów na zachodzie i ustanowił granicę imperium na Renie. Nawet na łożu śmierci stanowczo odradzał swojemu następcy łamanie owej zasady i zalecał nie zabiegać o powiększanie terytorium cesarstwa, które - wsparłszy się na Renie i na Dunaju - znalazło jakby naturalne swe granice.

Podstawowy powód owej ostrożności wynikał z faktu, że podbój Germanii, po wielu latach wysiłków i wahań, zakończył się całkowitą klęską. Prawda to, iż popełniono wiele błędów od czasu, kiedy Rzymianom udało się tam wdrzeć. Przede wszystkim błędów strategicznych, ponieważ chybnym posunięciem było skoncentrowanie trzech legionów w jednym obozowisku celem sprawowania nadzoru nad tą krainą lasów i bagien, połowicznie zresztą tylko podbitą, albowiem południowy jej kraniec nie został jeszcze przyłączony do reszty cesarstwa. Następnie błędów politycznych, i to całkiem banalnych: Warus, cesarski legat, któremu powierzono zarząd nad tą nową prowincją, uciskając miejscową ludność sprawił, że znienawidziła ona Rzymian. Arminiusz, przywódca Cherusków, nie musiał więc zbyt wielkiego zadawać sobie trudu, aby zjednoczyć swych pobratymców przeciw Rzymowi. Udało mu się zgotować im zemstę przykładową i pewną. Dopuszczonym będąc bowiem do najbliższego otoczenia Warusa, który zaległ ze swymi trzema legionami nad Wezerą, Arminiusz - wprowadziwszy legata w błąd fałszywymi pogłoskami o wszczynanych w kraju, buntach - nakłonił go najpierw do podziału sił, następnie wyciągnął z obozu, gdzie tamten, dysponując siłą piętnastu tysięcy żołnierza, byłby nie do pokonania, i namówił do przedsięwzięcia długiego marszu w kierunku Renu mało znaną trasą.

Po kilku dniach Arminiusz, który towarzyszył armii rzymskiej, opuścił ją, by przyłączyć się do swoich. Począł dziesiątkować legiony, zasypując je z daleka gradem strzał. Następnie, kiedy znalazły się one w wąskim, zalesionym przejściu, zaatakował je w dramatycznych okolicznościach: „Rzymianie, zanim jeszcze zostali osaczeni przez przeciwnika - donosi Dion Kasjusz - i tak już mieli pełne ręce roboty przy budowie przejść i mostów w miejscach, którędy nie sposób było inaczej się przedostać. Wlekli ze sobą jak w czas pokoju wielką liczbę wozów i jucznych zwierząt, a ponadto kobiety z dziećmi oraz niewolników, me szli więc w zwartym szyku. Sytuację pogarszał jeszcze deszcz i silne porywy wiatru, co sprawiło, że porozdzielali się na niewielkie grupki. Ziemia była śliska. Wystające korzenie, kłody leżące na drodze czyniły przemarsz niebezpiecznym. Ogromne drzewa ścinane przez żołnierzy siały wszędzie zamieszanie. Wtedy to właśnie Germanie, wychynawszy z głębi lasu sobie tylko znanymi ścieżkami, zewsząd otoczyli wojska Warusa. Najpierw zarzucać zaczęli Rzymian strzałami z daleka. Następnie, zraniwszy wielu spośród nich, i nie doczekawszy się żadnego przeciwnatarcia, zacisnęli obręcz okrążenia i rozpoczęli walkę wręcz." Rzymianie miotając się bezładnie pośród wozów, rozbrojeni, nie byli w stanie bronić się w zwartym szyku i wszędzie ustępowali pod względem liczebności atakującym. Jakikolwiek opór był niemożliwy. Udało im - się wszelako zbudować obóz i w nim się schronić. Ci, którzy przeżyli, znowu podjęli marsz, który przemienił się w prawdziwy koszmar. Czwartego dnia w strumieniach ulewnego deszczu ponownie zostali otoczeni na bagnach. I znowu doszło do rzezi. Z życiem uszła tylko garstka ludzi. Warus, jego oficerowie i

wielka liczba żołnierzy, ażeby uniknąć niewoli, odebrali sobie życie.

Wszelako, pomimo takich nieszczęsnych doświadczeń i ostrzeżeń Augusta, Tyberiusz na początku swego panowania raz jeszcze wyruszył z ofensywą przeciwko Germanom. Germanik sprawujący wówczas urząd namiestnika Galii dwakroć najechał ich terytorium w 15 i 16 roku n.e. Kampanie te podniosły w oczach opinii publicznej prestiż Rzymu, który podważyła rzeź legionów Warusa. Prawdziwym jednakże ich celem nie była chęć zemsty i zastraszenia. Już w roku 11 Tyberiusz, który sam pełnił funkcję głównodowodzącego armią nad-reńską, organizując karne ekspedycje dowiódł, iż Rzym nie jest jeszcze u kresu sił, Arminiusz zaś, po odniesionym zwycięstwie, nie zdołał uczynić wyłomu w liniach fortyfikacji rzymskich. Główna przyczyna ponownego wszczęcia działań wojennych tkwiła gdzie indziej: wraz z dojściem do władzy Tyberiusza, jak już o tym wspominaliśmy, stacjonujące nad Renem armie zbuntowały się i Germanikowi z wielkim trudem udało się przywrócić w nich karność; jeśli dozwolono by im dalej gnuśnieć beczynnie w obozach, istniało poważne ryzyko, że rozruchy wkrótce mogą się powtórzyć. Trzeba więc było zmobilizować energię żołnierzy, organizując kampanie wymagające intensywnej zaprawy.

Jedynym zresztą efektywnym wynikiem tych wypraw stało się ponowne ujęcie w rzyż armii. Germanik przemierzył wzdłuż i wszerz Germanię, wznosząc w samym sercu leśnych ostępów pomniki upamiętniające chwałę Rzymu, odbijając znaki bojowe zdobyte na legionach Warusa, odnajdując resztki obozowiska, gdzie wojska legata - zdziesiątkowane już ostrzałem Germanów - zdobyły się na ostatni wysiłek: „...na środku równiny bielejące kości, jak uciekali, jak opór stawiali, bądź rozrzucone, bądź spiętrzone. Obok leżały ułamki broni i szkielety końskie, a zarazem widziano czaszki ludzkie z przodu do pni drzew przybite. W pobliskich gajach stały barbarzyńców ołtarze, przy których trybunów i pierwszych setników zarzeczali.” Germanik oddał cześć owym znamienitym ofiarom, wyróżnął wielu Germanów, odniósł wiele zwycięstw i święcił niemało triumfów. Jednakże po dwóch latach kampanii, w czasie których nie poskąpił żadnego wysiłku, kraj ten ciągle nie został podbity i wraz z nadejściem jesieni legiony musiały się wycofywać aż za Ren wyznaczający nadal rzeczywistą granicę cesarstwa. Dlatego też Tyberiusz, nie wierząc być może od początku w powodzenie całego przedsięwzięcia, którego miarę trudności sam miał okazję poznać, zawezwał Germanika do powrotu, mniej się zapewne obawiając jego sukcesów, niż to powiadano. Sądził on w głębi duszy, iż najskuteczniejszą w tym zakresie polityką będzie pozwolić zżeranym wewnętrznymi niesnaskami Germanom wyniszczyć się wzajem, i śmiało stawiając czoło niepopularności, jaką mu przyniosła ta polityka wyczekiwania, którą mu poczytywano za tchórzostwo, ustrzec się zdołał aż do końca swojego panowania od podejmowania jakiegokolwiek inicjatywy zbrojnej po drugiej stronie Renu. Niepowodzenie Germanika wynikało raczej z przeszkód, jakie przyroda tego kraju stawiała na drodze podboju niż z jego nieporadności jako stratega. Germanie, uciekając przed postępującym wojskiem rzymskim, wciągali je w niebezpieczne zasadzki, wykorzystując ukształtowanie terenu. Takie miejsce - wąską równinę otoczoną bagnami i lesistymi pagórkami - wybrał pałający do Rzymu niegasnącą nienawiścią Arminiusz. Niekiedy zbocze niepozornie wyglądającego wzgórza przesłaniało wyjście: wówczas należało zdobyć je szturmem. Kiedy indziej jedyną szansą ratunku było rozbicie nieprzyjaciela w perzynę; walka wręcz w zaroślach przeradzała się w zażarte i prymitywne pojedynki. Rzymianie starali się ciąć w twarz swych źle osłoniętych tarczą nieprzyjaciół, którym długie włócznie utrudniały swobodę ruchów. Niewzruszone okrucieństwo było regułą. Pewnego dnia

Germanik, zdjąwszy z głowy hełm, z odsłoniętym czołem walczył w cizbie, krzycząc do żołnierzy i nawołując ich, by nie spoczęli, aż nie wyrzną wszystkich w pień, „ponieważ nie potrzeba nam jeńców i tylko wytracenie Germanów co do jednego położyć może tej wojnie kres”. Bitwy kończyły się ściganiem niedobitków i Rzymianie, rozwścieczeni oporem przeciwnika, który drogo sprzedawał swoją skórę, przechodzili samych siebie: „Resztę - pisze Tacyt, mówiąc o jakiejś bitwie, w której zwycięstwo odnieśli Rzymianie – masowo wycięto; bardzo wielu próbowało przebyć wpław Wezerę, lecz pociski, którymi ich zarzucono, albo gwałtowność rzeki, wreszcie nawała pędzących i zapadanie się brzegów w fałach ich pograżały. Niektórych, co w haniebnej ucieczce wdrapali się na wierzchołki drzew i ukryli się w ich gałęziach, sprowadzeni łucznicy jakby dla zabawy przeszywali strzałami, innych obalone drzewa przygniotły.”

Z powodu podmokłych gruntów przemarsze armii rzymskiej, zwłaszcza w odwrocie, mogły się w każdej chwili przerodzić w prawdziwą katastrofę: ciężar transportowanego ekwipunku, ciężkie zbroje, czyniły ją łatwym łupem w terenach, gdzie ziemia zapadała się pod nogami. Wśród niezliczonych przykładów najbardziej spektakularny był ten, który wydarzył się pod koniec pierwszej kampanii. Germanik powierzył Cecynie zadanie przeprowadzenia do swojej bazy licznego oddziału trasą wiodącą nad brzegiem oceanu. Arminiusz, wyruszywszy krótszą drogą wyteżonym marszem, zdołał go zaskoczyć, w chwili gdy tamten przechodził właśnie przez drewniany pomost, jedyne możliwe przejście przez bagna otoczone zalesionymi pagórkami. Na domiar złego pomost tak mocno nadszarpnięty został zębem czasu, że żołnierze musieli zarazem zajmować się jego naprawą, by posuwać się do przodu - i jednocześnie stawiać czoło nękającemu ich nieprzyjacielowi: „A dla Rzymian wszystko było niepomysłne: teren - głęboki moczar, tak samo stopie nie dający oparcia, jak i do posuwania się za śliski; ludzie - obciążeni pancerzami; nie mogli oni nawet, stojąc w wodzie, dzirytom nadać rozmachu. Przeciwnie Cheruskowie: nawykli do bitew wśród moczarów, wysmukły mieli wzrost, mieli ogromne włócznie zdatne do zadawania ran choćby z daleka. Dopiero noc chwiejne już legiony z niepomysłnej walki wyswobodziła. Germanowie, z powodu sukcesu niezmordowani, nawet teraz nie myśleli o spoczynku: wszystkie wody, jakie na wznoszących się dookoła wzgórzach wytryskały, na niziny skierowali i tak wskutek zalania terenu i zasypania gotowej już części robót praca się żołnierzom zdwoiła.”

Nic tedy dziwnego, iż dowódca, który przez czterdzieści lat służby niejedno już w życiu zdążył zobaczyć, miał owej nocy koszmarny sen: ujrzał wyłaniające się z bagien krwawe widmo Warusa z wyciągniętymi ku niemu rękami. To, co czekało go dnia następnego nie mniej straszne było od tego widzenia: podczas gdy Rzymianie w całkowitym bezładzie potykają się o własny ekwipunek, Arminiusz przypuszcza atak: „Przelamuje szyki i zwłaszcza koniom raz po raz zadaje rany. Te w kałużach własnej krwi i na śliskim gruncie bagiennym potykając się zrzucają swych jeźdźców, rozpraszają zachodzących im drogę, tratuja leżących. Największa potrzeba dokoła orłów nastąpiła, których ani nieść przeciw napierającym pociskom, ani umocować w mulistej ziemi nie można. Cecyna, usiłując szyk bojowy podtrzymać, spadł z przesytego strzałą konia i byłby został osaczony, gdyby pierwszy legion nie był go osłonił. Na pomoc przyszła chciwość nieprzyjaciół, którzy zaniechali rzezi i gonili za zdobyczą; tak wy dostały się legiony o zmierzchu dnia na otwarte pole i na stały grunt.”

W takich okolicznościach szybkie posuwanie się naprzód było niemożliwe, a krótkotrwałość letniej pory jeszcze marsz utrudniała: ledwo dotarło się na miejsce, już należało zawracać, żeby nie dać się zaskoczyć porze deszczowej. Toteż Germanik, iżby zyskać na czasie, skierował część swojej armii drogą wodną, każąc jej płynąć w dół rzek wpadających do morza, po czym wyruszyć w górę biegu innych po dopłynięciu do ich ujścia wzdłuż linii brzegowej. Ten sposób transportu, szybszy, miał również i tę jeszcze zaletę, że pozwalał rozwiązać problem ekwipunku i dawał kawalerii możliwość dotarcia w dobrej kondycji na miejsce. Zbudowano w tym celu całą flotyllę, składającą się z jednostek o dużej wyporności oraz okrętów wyposażonych w podwójne stery, co umożliwiało przybijanie do brzegu z obu stron w zależności od pracy wiosłarzy. Jednakże Rzymianom brakowało obycia z oceanem, zaskoczyła ich wysokość fali przyływu i odpływu, a przede wszystkim sztormy. I dlatego też druga kampania również zakończyła się tragicznie. Sztormowy wiatr o niebywalej sile, zerwawszy się nagle, doszczętnie rozproszył flotę. Niektórzy żołnierze znaleźli się w... Brytanii, innych morze wyrzuciło na brzeg bezludnych wysp, gdzie pozabijali swoje konie, by przeżyć; jeszcze innych na wybrzeże kontynentu, gdzie pojmani zostali przez Germanów i wykupieni przez zaprzyjaźnione szczepy. Wielu z nich potopiło się. Germanik błąkał się po nadmorskich skałach wśród trupów ludzi i koni, czekając, aż morze odda mu w żalonym znajdującej się stanie triery, którym udało się cało wyjść z opresji. „Wreszcie z nastającym znów przyływem i pomyślnym wiatrem wróciły okaleczone okręty z niewielu wiosłami albo z rozpiętymi zamiast żagli szmatami.”

Tacyt - zawsze w wielce korzystnym świetle przedstawiający wielkiego dowódcę i z tego też być może względu przesadnie podkreślający przeszkody, jakie ów musiał przezwyciężać podczas tych kampanii - pieczołowicie unika podania wysokości poniesionych przy tej okazji strat. Łatwo sobie jednakże wyobrazić, iż po niepowodzeniach, które tak wiele ofiar pociągnęły w ludziach, Tyberiusz postanowił unikać następnych: liczył swoich żołnierzy z takim samym sknerstwem jak i pieniądze.

NIEMIŁE ZASKOCZENIE

Taki był ten kraj, którego Kaligula przedsięwziął podbój. Czy słyszał on owe równie heroiczne co odstrasające opowieści? Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości, wszyscy o nich w Rzymie słyszeli, odkąd August, zerwawszy się w nocy ze snu (takie przynajmniej chodziły na ten temat pogłoski), błąkał się po westybulu swego pałacu wykrzykując: „Warusie, oddaj mi moje legiony!” Nie można było wszak przysiąc, że Kaligula posiadał dokładną znajomość kraju, konieczną, aby jego kampania mogła mieć jakąkolwiek szansę powodzenia. Zabrakło Germanika, ażeby mu opisać każdą zasadzkę, dziwactwa przywódców i słabostki plemion. Cesarz nie otrzymał zresztą - jak już powiedzieliśmy - żadnego wojskowego wykształcenia. Nie uczestniczył w żadnej kampanii ani nawet nie dowodził podczas manewrów.

Trudno tu bowiem brać pod uwagę owe dziwne widowisko, jakie urządził na początku 39 roku niedługo po gwałtownym zerwaniu z senatem. Przez zatokę, nad którą leży miasto o nazwie Baje, Kaligula każe zbudować prawdziwą „morską drogę”. Celem pobudowania tego mostu o niespotykanej dotychczas konstrukcji zarekwirowano wszystkie będące w dyspozycji statki, a ponieważ nie znaleziono ich w wystarczającej liczbie, resztę uzupełniono tratwami. Całości nadano ponadto wygląd prawdziwej drogi, brzegiem której płynęły strugi pitnej wody. Kiedy wszystko było już gotowe, Kaligula „przywdział zbroję

Aleksandra Wielkiego - sam przynajmniej tak twierdził - na nią zaś jedwabną chlamidę purpurowego koloru w indyjskie zdobną klejnoty, przypasał miecz, okrył się tarczą, głowę zaś przyozdobił wieńcem dębowym; po czym - złożwszy ofiarę Neptunowi, kilku innym bogom i Zawiści - z obawy, by się nań nie targnęła, jak mówił, zazdrosna jakaś ręka boska, wszedł na ten most od strony miejscowości o nazwie Bauli, wiodąc za sobą orszak żołnierzy tak konnych, jak i pieszych, i ruszył z kopyta w stronę miasta, jakby przypuszczał szturm na nieprzyjaciela. Następnego dnia, zaznawszy w mieście odpoczynku, niczym po bitwie, odziany w tunikę ze złotogłowi wyruszył w drogę powrotną po tym samym moście, jadąc rydwanem zaprzęgniętym w konie, które podczas igrzysk najwięcej odnosiły zwycięstw. Wśród innych tak zwanych zdobywczy wojennych wiódł ze sobą Dariusza Arsacydę, jednego z zakładników partyjskich. Przyjaciele i domownicy towarzyszyli mu w karocach odziani w stroje przyozdobione palmowymi liśćmi, jak również wojsko i reszta tłumu, przy czym każdy ubrany był w sposób osobliwy. Po takiej wyprawie i takim zwycięstwie należało do wojska przemówić: cesarz wstąpił więc na trybunę wzniesioną również na statkach, pośrodku mostu, podkreślając najpierw w podniosłych słowach wielkość swych przedsięwzięć; po czym nie szczędził żołnierzom pochwał za trudy, jakie znosić im przyszło, i za niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, mówiąc im, między innymi, iż dostąpili zaszczytu chodzenia po morzu. Następnie, w nagrodę za te wyczyny obdzielił ich pieniędzmi."

Czy to oryginalne przedsięwzięcie miało na celu, jak utrzymuje Swetoniusz, „przejąć trwożą Germanię, i Brytanię, które zamierzał najechać”? Jakkolwiek dawało ono pewne świadectwo troski o problemy techniczne zbliżone do tych, z jakimi musiał się borykać podczas swych kampanii Germanik, należy oczekiwać, że Kaligula znał przecież na tyle geografię, by nie mylić spokojnej w lecie tafli Morza Śródziemnego ze zdradliwością wzburzonego oceanu. Jednakże - jakiegokolwiek były tego przyczyny - to afiszowanie się o kilka kilometrów od Rzymu ze wspaniałością atrybutów zdobywcy dawało świadectwo niemałej próżności. Senatorowie, którzy nie zostali dopuszczeni do kontemplowania owego oryginalnego triumfu, jaki cesarz sam sobie zgotował, śmieli się w kułak: wkrótce miało się okazać w praktyce, na co było stać tego zadufanego młodzieniaszka.

Kaligula nie dbał o ich sarkazmy. Wszystko popychało go do owej wyprawy zdobywczej. Młodzieńczy entuzjazm, tradycja rodzinna, której okazywał się być tak skrupulatnie we wszystkim wierny. Przede wszystkim zaś - co często staje się powodem podbojów - racje płynące z polityki wewnętrznej: powodzenie, nawet skromne, odniesione w wyprawie na drugą stronę Renu, nawet gdyby nie udało się doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa nad Germanią, przysporzyłoby mu popularności. Uznanie, jakim się cieszył jego ojciec Germanik, brało się w znacznej mierze stąd, iż wobec małoduszności władzy ucieleśniał on mit rzymskich podbojów. Powodzenie umocniłoby jego pozycję, przydając mu autorytetu koniecznego dla narzucenia opornemu senatowi swej woli.

Chcąc dokonywać podbojów, trzeba mieć armię. Wojska, do których cesarz dołączył w Górnej i Dolnej Saksonii, były zaś nią tylko z nazwy. Jeśli Kaligula o tym nie wiedział, musiało go to niemile zaskoczyć. Wojska te składały się bowiem z żołnierzy, którzy podczas dość długiego okresu pokoju nabyli pożałowania godnych przyzwyczajęń. Kiedy na granicy panował spokój, celem uniknięcia niepokoju, jakie przynieść mogła długotrwała bezczynność, tradycyjnie już zatrudniano żołnierzy przy budowie dróg i wszelkiego

innego rodzaju pracach publicznych. Ponadto, ażeby utrzymać ich w dobrej kondycji, narzucano im w zasadzie rygor stałej zaprawy bojowej i częstych manewrów. Jednakże zaniechano owych zwyczajów, odkąd Getulik - chcąc pozyskać sobie żołnierzy - zaczął stosować przed ośmioma laty technikę „Rozluźnionej dyscypliny”. Pozostawiał więc armię „zardzewiałą”, której morale nie było zgoła najlepsze: zatraciła ona bowiem poczucie konieczności wysiłku i karności.

Należało więc spróbować ponownie ująć ją w ryzy. Czystce politycznej po egzekucji Getulika towarzyszyła, przeprowadzona na o wiele większą skalę, akcja pozbawiania oficerów sprawowanych funkcji z powodu braku kompetencji z degradacją włącznie. Z cesarzem nie było żartów: odprawił nawet oficerów będących u progu emerytury. Zreorganizował naczelne dowództwo. Głównodowodzący, którego wybrał na miejsce Getulika, także nie żartował. Chodzi tutaj o Galbę, który później sam miał również zostać cesarzem. Gdy tylko pojawił się w obozie, dał wszystkim jasno do zrozumienia, że czasy się zmieniły: kiedy żołnierze pozwolili sobie niczym zwyczajni cywile klaskać jak na jakimś widowisku, przywołał ich natychmiast do porządku i wydał rozkaz trzymania rąk pod płaszczami. Wprowadza zakaz wydawania przepustek, narzuca wszystkim - tak weteranom jak i dopiero co zmobilizowanym rekrutom - rygor intensywnych ćwiczeń. Można sobie wyrobić pogląd na temat stosowanych przezeń metod na podstawie pewnego zdarzenia, jakie miało miejsce nieco później, kiedy przebywał jako cesarski namiestnik w Afryce: w czasie dłuższego przemarszu wojsk, gdy coraz trudniej było o zboże, pewien żołnierz sprzedał część swego przydziału po wygórowanej cenie. Galba, zakazawszy innym udzielania mu pomocy, pozwolił legionście umrzeć z głodu. Dowódca ten zresztą nie waha się osobiście dawać przykładu: sam bierze udział w manewrach z tarczą w rękę, pewnego zaś dnia - stąd też być może bierze się przypisywany Kaliguli zwyczaj zmuszania senatorów do biegu obok swej lektyki - dokonuje istnego wyczynu, przemierzając biegiem dystans dwudziestu tysięcy kroków obok jadącego rydwanem cesarza. Toteż niedługo zaczęto śpiewać w całym obozie:

Ucz się, ucz, żołnierzu, rzemiosła wojennego; Galba bowiem dowodzi, a nie Getulik.

Jednakże ponowne ujęcie w karby armii wymaga w takich warunkach czasu. Była jesień 39 roku. Może Kaligula przekroczył wtedy Ren - co już samo w sobie było prawdziwym wyczynem - organizując kilka karnych wypraw: pozostawieni od przeszło dwudziestu lat w spokoju Germanie poczynali sobie coraz śmielej i nie wahali się nawet organizować wycieczek w głąb Galii. Wszakże, jeśli nawet wyprawy te naprawdę miały miejsce, nie wyróżniły się niczym szczególnym. Tak czy inaczej, zakładając, iż intensywny rytm ćwiczeń bojowych narzucony przez Galbę postawił na powrót armię na nogi, pora roku nie pozwalała już myśleć o rozpoczęciu kampanii na szerszą skalę. Trzeba było czekać wiosny. Cesarz opuścił więc armię, by udać się do Lyonu na zimę.

OBAWA PRZED NIEZNANYM

Wiosną jednakże miała miejsce nagła zmiana planów. Zamiast wyruszyć w dół Renu Kaligula wydaje wojskom rozkaz zgrupowania się nad brzegiem oceanu. Postanowił wyruszyć na podbój Brytanii, której ziemi od czasów Cezara nie dotknęła stopa rzymskiego żołnierza.

Nawet dla całkiem bezstronnego obserwatora nie mogło ulegać wątpliwości, że cesarz był nieco na bakier z polityką: sprawiał wrażenie, iż zmienia cel swego działania niczym rękawiczki, co się zaś tyczy zamierzeń

tej miary, rzecz to była co najmniej zaskakująca. Właściwie można przypuszczać, iż cesarz zdał sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji i uświadomił sobie prawdopodobnie poważne ryzyko związane z najazdem Germanii. Trochę późno, to prawda; ogłosić wszem wobec podjęcie na nowo podboju, którego nie udało się dokonać najlepszym dowódcom, nie zadawszy sobie nawet trudu - pod pretekstem inspekcji wojsk - zapoznania się z terenem i z nastrojami panującymi w armii, był to z pewnością błąd polityczny, którego nie tłumaczył nawet pałący charakter problemów wewnętrznych. Dając się ponieść młodzieńczemu wprost entuzjazmowi, cesarz dostrzegał w owej wyprawie tylko jej mityczne i chwalebne aspekty. Był to dowód jego lekkomyślności i nieostrożności. Trzeba mu wszak oddać tę sprawiedliwość i stwierdzić, że miał na tyle zdrowego rozsądku, by od tego zamiaru na czas odstąpić. Zrozumiał, iż lepiej uniknąć rozgłośnej porażki, której reperkusje mogły się okazać dla jego polityki wewnętrznej katastrofalne w skutkach, niż pośpiesznie sięgać po problematyczne zwycięstwo: potrzeba by całej solidności ustroju państwa Augusta, aby uporać się bez wywoływania zamieszek ze sprawą tej wagi, co zagłada legionów Warusa.

Toteż Kaligula z ulgą znalazł w pewnym nieprzewidzianym zdarzeniu godziwy pretekst usprawiedliwiający - by tak rzec - zmianę kierunku podboju: wygnany przez ojca syn jednego z królów brytyjskich, Adminiusz, zwrócił się do cesarza o pomoc i protekcję. Kaligula postanawia więc najechać Brytanię. I jeszcze jedna nieoczekiwana zmiana: każe budować flotę, latarnię morską wielkiej mocy, kiedy zaś wszystko jest już gotowe, zbiera wojska i cały sprzęt wojenny nad brzegiem morza. Po czym nagle rezygnuje z wyprawy.

Co się stało? Na wiele sposobów próbowano tłumaczyć tę nagłą zmianę decyzji: złe wieści, jakie nagle nadeszły z Rzymu czy z Brytanii? za mała liczba okrętów? - każda z tych hipotez jest jednakże tyle prawdopodobna, co i bez pokrycia. Balsdon natomiast podaje wysoce wiarygodną wersję wypadków. Według niego to wcale nie z woli Kaliguli doszło do owej nagłej zmiany. Stało się tak z całkiem prostej przyczyny: żołnierze odmówili wsiadania na okręty, ponieważ bali się morza, nieznannej krainy, o której rozbitkowie z drugiej wyprawy Germanika rozpowszechniali zgrozą przejmujące legendy powiadając, iż zamieszkują ją „nieznane ptaki, zadziwiające ryby, istoty o bliżej nie określonych kształtach, ni to ludzie, ni to zwierzęta”.

Zdarzyło się tak naprawdę (tutaj zaś mamy już absolutną pewność) trzy lata później, kiedy Klaudiusz, przejąwszy na swój rachunek zamierzenia Kaliguli, powierzył Aulusowi Plaucjuszowi zadanie poprowadzenia armii do Brytanii: żołnierze, nie chcąc - jak powiadali - bić się „poza granicami zamieszkanego świata”, odmówili wejścia na pokład statków. Dowódca wojsk posłał do Rzymu raport, zdając sprawę z zaistniałej sytuacji. Klaudiusz wysłał na miejsce Narcyza, przewidując zapewne to, co miało się stać. Jak wiadomo Narcyz był wyzwolencem. Kiedy chciał wejść na trybunę głównodowodzącego, aby przemówić do żołnierzy, ci - unosząc się dumą swego rzymskiego, często jeszcze całkiem świeżego obywatelstwa - zagłuszyli jego głos gremialnym: „Io! Saturnales!”, okrzykiem, jaki wznosili niewolnicy podczas Saturnaliów. Aluzja była przejrzysta: dnia tego przyznawano bowiem w Rzymie na kilka godzin niewolnikom pełnię praw, jakie pan ich posiadał przez resztę roku. Aby nie paść w końcu ofiarą tej symbolicznej inwersji ról i nie brać lekcji obywatelstwa od człowieka wywodzącego się ze stanu niewolnego, w którym - mimo jego wysokiej pozycji społecznej - chcieli oni widzieć kogoś niższego, żołnie-

rze woleli przezwyciężyć swój lęk i wsiąść na okręty.

Otóż - jak pisze Balsdon - „nie ma żadnych powodów, by sądzić, iż perspektywa prowadzenia wojny w Brytanii lepiej została przyjęta w roku 40 aniżeli w trzy lata później”. Wszystko przemawia nawet za tym, że była przyjęta gorzej. Kaligula nie posiadał żadnego doświadczenia wojennego, niedawno zaś, odstąpiwszy od zamiaru kampanii germańskiej, nadszarpnął swój autorytet. Potrzebni byli ludzie pokroju Cezara czy Germanika, ażeby w podobnych okolicznościach pociągnąć za sobą wojsko. Zwłaszcza wojsko, jak to już powiedzieliśmy, nie zaprawione w boju i niezbyt zdyscyplinowane.

Kiedy więc cesarz kazał grać na trąbkach sygnał wzywający żołnierzy do wsiadania na pokład, spotkał się, jeśli już nie z otwartym buntem, to przynajmniej z odmową posłuszeństwa. Dotknięty do żywego taką postawą, natychmiast rozkazał wydać żołnierzom polecenie zbierania muszelek i napełniania nimi kieszeni, iżby w dniu odbytej triumfu pokazać ów chwalebny łup!... Po czym zaczął napomykać o zdziesiątkowaniu legionów, co w podobnych okolicznościach nie stanowiłoby wyjątkowo surowej kary. Poprzestał jednak na tym, że zamiast cennych podarunków, jakie zwykle żołnierze otrzymywali, rozdzielił wśród wojska śmieszny wręcz gratyfikację, opatrując ją takim oto ciętym komentarzem: „Odejdźcie radośni, odejdźcie bogaci...” Poważna to była obelga zapewne, jednakże w porównaniu z karami, które groziły w Rzymie w przypadku odmowy wykonania rozkazu, świadczyła ona o pewnego rodzaju liberalizmie.

SMĘTNY BILANS

Kaligula był w pewnej mierze odpowiedzialny za to niepowodzenie: nie zadbał, by poważnie zbadać morale armii. Być może niektórzy z jego oficerów przewidzieli ową lękliwą reakcję żołnierzy, lecz pilnowali się dobrze, ażeby nie zdradzić się z niczym przed cesarzem, każdy z nich bowiem wiedział, jak wielką wagę przywiązuje on do tej kampanii. Żaden z nich nie chciał powiedzeniem prawdy narazić się na niełaskę czy też zarzut, iż nie potrafi utrzymać ducha w swoim oddziale i w końcu spotkać się z oskarżeniem o defetyzm. Oto i przyczyna, dla której Germanik - i Kaligula dobrze by zrobił biorąc w tym względzie przykład ze swego ojca - niezbyt dowierzał radom udzielanym mu przez członków sztabu głównego; uważał, że jedynym sposobem poznania stanu ducha armii jest posłuchać wypowiedzi żołnierzy, kiedy - uwolnieni już od obecności swych przełożonych - swobodnie rozmawiali po wieczornym posiłku. Toteż przebierał się i w towarzystwie jednego tylko człowieka kręcił się incognito pomiędzy namiotami, aby słuchać żołnierskich pogwarek.

Jednakże z powodu braku doświadczenia Kaligula nie potrafił właściwie ocenić rzeczywistej sytuacji. W pewnym sensie senatorowie mieli poniekąd rację: ów młody mężczyzna wielce był zarozumiały. Powracał z pustymi rękoma i, co gorsza - jak się o tym niebawem przekonamy - nic a nic nie spuścił z tonu: zdobywca od siedmiu boleści...

Można mieć i taką wizję rzeczy, jeśli spojrzeć na nie z pewną dozą surowości czy uprzedzenia. Zastanowiwszy się jednak nieco, mamy prawo również powiedzieć, iż z czysto wojskowego punktu widzenia skutki tego pobytu w Galii nie należały zgoła do katastrofalnych. Najpierw dlatego, że paru znamienitym poprzednikom nie udało się zrealizować podobnych zamiarów. Cezar - by tylko na nim poprzestać - nie potrafił doprowadzić do pomyślnego zakończenia ani wyprawy do Brytanii, ani do Germanii. Następnie i

przede wszystkim dlatego, iż Kaligula przedsięwziął w Galii konieczną pracę reorganizacyjną, i to bynajmniej nie bagatelną. Odjeżdżając pozostawiał na miejscu armię zdolną do walki: jeśli już nie do zdobycia Germanii, to przynajmniej do podjęcia ofensywy. Co też się stało w dwa lata potem, jak twierdzi Dion Kasjusz, choć wyraźnie się wystrzega sprecyzowania, ile taki sukces zawdzięczał inicjatywom Kaliguli. Publiusz Gabinusz, głównodowodzący armią Dolnej Germanii, poprowadził w kilka lat później zwycięską ekspedycję przeciwko Chaukom i odbił ostatniego orła legionów Warusa, którego Germanik nie odzyskał w latach 15-16. Podobnie w Brytanii, gdzie Klaudiusz był już w stanie podjąć kampanię zamierzoną przez Kaligulę i doprowadzić ją do pomyślnego zakończenia.

Nieszczęście w tym, że opinia publiczna nie przywiązuje wagi do takich szczegółów. Potrzeba jej zwycięstw, łupów, rozgłosnych dowodów sukcesu. Toteż, najogólniej mówiąc, w płaszczyźnie spraw polityki wewnętrznej autorytet Kaliguli nie wzrósł po jego powrocie z wyprawy.

OSTATNI AKT

KALIGULA ZOSTAWIA WSZYSTKO ZA SOBĄ

W maju 40 roku cesarz pozostawił więc w rękach swoich wodzów ową armię, której nie zdołał za sobą pociągnąć na podbój Brytanii, i wyruszył w drogę powrotną do Rzymu. Wysłana przez senat deputacja wyjechała mu naprzeciw, prosząc go, „by nie zwlekał z powrotem”. Należy jednak sądzić, iż cesarza wcale nie wzruszyło świadectwo owej niecierpliwości, ponieważ - dotarwszy w okolice Rzymu - zamiast wkroczyć do miasta, pojechał do Kampanii. Po dziewięciomiesięcznej nieobecności owa powściągliwość była nieco zastanawiająca. Upał? W owym czasie Rzym zbyt mało nań nie narzekał, a ponadto - w podobnych okolicznościach - byłoby to jednakże trochę dziwne wytłumaczenie... Pozostawała oczywiście perspektywa odbycia triumfu: zgodnie z prawem zwycięski dowódca winien czekać poza murami miasta na głosowanie w senacie, w wyniku którego zaszczyt ów przyznawano. Z wielu jednakże powodów, poczynając od tego, że Kaliguli niezbyt zależało na tym, czy wprowadzony zostanie czy nie z uroczystą procesją na Kapitol, przyczyna to mało prawdopodobna. Wydaje się raczej, iż cesarz ominął Rzym przez ostrożność: skoro w czasie, gdy tam przebywał, zastawiono nań pułapkę w obozie armii, dla-czegoż by z chwilą, kiedy dołączył do wojska, nie miano mu teraz zgotować drugiej? Nieufność ta wydawała się uzasadniona.

Nie tylko on się bał. Senat, mniej lub bardziej skompromitowany w spisku Getulika, czekał na jego powrót z wielkim niepokojem. Trzeba powiedzieć, że Kaligula nie zrobił nic, by go uspokoić. Do delegacji, która go prosiła, by nie zwlekał z powrotem, miał jakoby odezwać się, poklepując ręką miecza, w takie oto słowa: „Przyjdę, przyjdę, lecz i ten ze mną.” Po czym, nadając oficjalną formę owym Pogróżkom, wydał edykt: „Powraca - jak pisał - lecz tylko do tych,

którzy go pragną, a więc do ekwitów i ludu; odtąd nie będzie się czuł ani współobywatelem ani pryncpsem, dla senatu.” Rzuciwszy taką anatemę, zakazał wyjeżdżania mu naprzeciw.

Toteż w Rzymie krążyły jak najdziwniejsze pogłoski. Powiadano, że jeden z sekretarzy Kaliguli stale nosi przy sobie czarną listę zawierającą dwie kolumny nazwisk przyszłych ofiar mających zginąć bądź od „sztyletu”, bądź od „miecza”. Najwięksi panikarze głosili, że cesarz ma zamiar ni mniej, ni więcej tylko

zglądzić cały senat - a nawet arystokrację, nie wahali się dodać niektórzy. Za tymi absurdalnymi pogłoskami, za pomocą których zagrożone grupy usiłowały wyzbyć się strachu, kryło się zapewne coś poważniejszego: senat bardziej od tych klasycznych czystek, do jakich w końcu zdążył się przyzwyczaić, obawiał się zamachu stanu, który w tej sytuacji nie odbiegałby od logiki rzeczy: czuł on cały ciężar zagrożenia, jakie zawisło nad jego prawami politycznymi, nad samym jego istnieniem.

Pamiętano ciągle ową słynną przemowę z 39 roku i utrzymywano, iż tym razem cesarz może rzeczywiście przejść do działania. Nie uczynił tego przecież. Nie zrobił nawet czystki. Sytuacja była prawie taka sama jak wtedy. Z tą tylko różnicą, że teraz śledzono się wzajem. z daleka.

BRZEMIE IDEOLOGII RELIGIJNEJ

Nic zresztą nie wskazywało na to, iż zmiana postawy cesarza doprowadzi któregoś dnia do kompromisu. Obserwując jego zachowanie w sferze religii, można było oczekiwać czegoś odwrotnego: żądając uznania boskości swej osoby, Kaligula domaga się od Rzymian oznak poszanowania okazywanego bóstwom. Rzecz to oczywiście nie całkiem nowa: już w roku 38, jak pamiętamy, otaczać kazał czią boską siostrę swoją wkrótce po jej śmierci. Później najprzeróżniejsze, bardziej lub mniej malownicze wydarzenia dały świadectwo tej samej obsesji. Jednakże dopiero pod koniec roku 40, opuściwszy w sierpniu Kampanię, by znów osiąść w Rzymie, polityce tej nadał charakter rozmyślny, a może nawet prowokacyjny. Jak daleko cesarz na tej drodze się posunął, trudno powiedzieć. Najpierw dlatego, że pochlebcy (tutaj zaś w pierwszym rzędzie, jak się już o tym mogliśmy przekonać, należało wymienić członków senatu) nie szczędzili mu rozlicznych zaszczytów i znamion „boskości”, które daleko wykraczały poza to, czego sam pragnął. Charakterystycznym przykładem tego wzajemnego prześcigania się w schlebaniu mu poszczególnych osób i całych prowincji - czego już zresztą August i Tyberiusz również doświadczyli - jest postawa Witeliusza, który po powrocie ze Wschodu, wezwany do Rzymu w okolicznościach mogących napawać niepokojem, padł na twarz przed cesarzem i udawał, iż nie może inaczej stanąć przed jego obliczem jak tylko z zawoalowaną twarzą, czyli tak, jak się to czyni, by wejść do wschodnich świątyń. Stąd nie więcej niż jeden krok do wniosku, że Kaligula „pragnął, ażeby zbliżano się doń tylko z zawoalowaną twarzą”, i starożytni historycy beztrąsko go uczynili. Dion Kasjusz najbardziej w tej dziedzinie skrupulatny, jeśli tak można powiedzieć, twierdzi, iż Kaligula kazał budować sobie świątynie nie tylko w Azji, lecz także w Rzymie, na Kapitolu, obok przybytku Jowisza. Należy przez to rozumieć, że sanktuaria te były wznoszone nie ku czci Rzymu, którego przywódca państwa był uosobieniem, lecz poświęcone osobie samego cesarza. Miał on więc kapłanów, którzy oddawali się wyłącznie jego kultowi i składali na jego cześć ofiary nie ze zwykłych zwierząt, jakie tradycyjnie poświęcano w czasie tego rodzaju ceremonii, lecz z egzotycznych ptaków największej rzadkości. Ponadto, iżby nikomu do głowy nie przyszło pomylić go ze zwykłym śmiertelnikiem, Kaligula miał zwyczaj paradowania w stroju olimpijskich bogów i identyfikowania się w ten sposób z Neptunem, Bachusem czy Apollinem. Twierdzi się nawet, że aby nikt nie miał co do tej identyfikacji wątpliwości, usunął głowę posągu Jowisza Olimpijskiego i na jej miejsce osadził swoją. Trudno w tym wszystkim odróżnić fałsz od prawdy.

Dużo niewątpliwie na ten temat napisano. Oficjalne dokumenty, jakie przetrwały z tamtych czasów, nie

potwierdzają zgoła tezy o tym zapamiętałym dążeniu do identyfikacji. Nie ma jednak dymu bez ognia: wydaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, iż cesarz miał zamiar sakralizować - jak byśmy to dzisiaj powiedzieli - swą osobę oraz mającą po nim nastać dynastię.

Łatwo zrozumieć, że owe koncepcje religijne mogły doprowadzić do pogłębienia się i tak już ostrego konfliktu politycznego. W obecności głowy państwa ograniczamy się do okazywania zwyczajowych wyrazów poszanowania; wobec cesarza boskiego pochodzenia trzeba się ukorzyć. Różnica ta nie należy do abstrakcyjnych: znaczy ona, że cesarz, zamiast uścisku (jakim chętnie obdarza aktorów, zbyt nisko w hierarchii społecznej stojących, by próbować mienić się jemu równymi) najzwyczajniej w świecie nogę podsuwa do ucałowania, nie zastanawiając się zresztą zbytnio, czy jest to stopa prawej nogi, czy też lewej, która to stanowi zapowiedź nieszczęścia... Najlepiej nie być w tej sytuacji przesadnym. W owym poddańczym geście, nawet jeśli cesarską stopę ozdobił wyszywany złotem i perłami sandał, było coś, z czym senator nie mógł się pogodzić. Powiało tu niewolnictwem. Nadto zaś, czy ukorzenie się przed Kaligulą nie stanowiło wyraźnego zaprzeczenia fikcji, na jakiej opierał się pryncypat: tej mianowicie, że cesarz jest li tylko *primus inter pares*, pierwszym spośród równych, i że wcale wyżej od nich nie stojąc, wyróżnia się jedynie osobliwością swojej pozycji. Oto dlaczego Tyberiusz z taką rozważą i uporem nie zgadzał się na oddawanie mu czci boskiej w jakiegokolwiek formie i dlaczego, kiedy południowa Hiszpania poprosiła go o pozwolenie wystawienia mu świątyni, zakrzyknął w senacie: „... chcę, aby o tym pamiętała potomność, że człowiek śmiertelny i ludzkie spełniam obowiązki oraz że wystarcza mi, jeżeli pierwsze stanowisko zajmuję”. W tym również upatrywać należy wytłumaczenia faktu, że senatorowie bez szemrania zgodzili się oddawać cześć boską cesarzowi - w danym przypadku Augustowi - dopiero wówczas, kiedy tamten umarł: nie istniało już ryzyko, iż podsunie im stopę do całowania. Jednakże głębokie oburzenie, jakie poczuli w dniu, kiedy Kaligulą pozwolił sobie na ten gest wobec skazanego na karę śmierci Pompejusza Poenus, zaraz po ułaskawieniu go, tryska z każdej linijki strony, na której Seneka opisuje nam to zdarzenie: „Człowiek ten, którego przeznaczeniem od urodzenia było zmienić obyczaje wolnego państwa w godne Persji poddaństwo, uznał, iż nie wystarczy, że senator, starzec, najwyższe niegdyś sprawujący urzędy, przyjdzie w przytomności wielkich panów w modlitewnej postawie paść mu do nóg niczym zwyciężony, który pod kolana podejmuje triumfującego przeciwnika; otóż człowiek ten znalazł sposób, by rzymską poniżyć wolność, umieszczając ją pod kolanem. Czyż nie rzucił on zatem państwa do swych stóp, i czy w dodatku - aczkolwiek szczegół ten zdać się może niektórym błahym - nie zdeptał go lewą nogą? Za mało mu widać było w tej obeldze szaleństwa i sromoty, kiedy przyszedł w sandałach [których w Rzymie używało się jedynie do chodzenia po domu] zbrodnię osądzić osoby konsularnej; musiał jeszcze, on, cesarz, gwoździemi podbitą podeszwę włożyć w usta senatora.”

Senat w Rzymie zbyt długo sprawował władzę, nazbyt był przesiąknięty wielkością swej przeszłości, by nie poczytywać sobie tego rodzaju zachowania za zniewagę. Nie ma on oczywiście nic wspólnego z ową kreowaną przez jakiegoś despotę arystokracją i tym samym zawdzięczającą mu wszystko, i to despotę, który może kazać jej znosić najbardziej wzgardliwe upokorzenia, ponieważ nie stała się jeszcze klasą potężną sama z siebie. Niewielkie znaczenie miało tutaj to, co pierwsi cesarze mogli byli uczynić, by zmienić stan

ducha owej kasty. Pozbawiony swych wielkich nazwisk przez wojny domowe i skrupulatnie dozowane czystki, rekrutowany odtąd na zamówienie, senat pozostaje obłudnie przywiązany do „wolności”, tej oczywiście, która pozwala mu na nieskrępowane korzystanie z jego przywilejów. Dając tym samym świadectwo miernoty, która usprawiedliwia nader surowy osąd Tacyty, senat idzie na ustępstwa: godzi się być służalczym, nie chce jednak stwarzać takich pozorów. Kiedy cesarz przywdziewa strój boski, senat podnosi wrzawę, iż to bluźnierstwo. Bynajmniej nie z powodów religijnych, od dawna już utracił przekonanie do oficjalnej wiary. Ale dlatego, że podniesienie cesarza do godności boskiej oznacza despotyzm, despotyzm na modłę wschodnią, implikujący - jak powiada Seneka - „godne Persji poddaństwo”. I rzeczywiście, ulegając bowiem pokusie zaprowadzenia monarchii autokratycznej, ludzie stojący u steru władzy zaczęli odczuwać niejaki zafascynowanie luksusem, symboliką i rytuałami Wschodu. Antoniusz, choć nie miało mu to przynieść szczęścia, był pierwszym, który z całą powagą podążył tą drogą. Kaligula przejął ową tradycję od babki swej Antonii, która posiadała część Egiptu i miała tam wiele powiązań z różnymi osobami. Odziedziczył ją także wraz z pamięcią o ojcu swym Germaniku. W czasie, o którym mowa, zamierzał zresztą wyruszyć w podróż do Aleksandrii. W sposób nader konkretny okazał zainteresowanie religią egipską, zaprowadzając oficjalnie w Rzymie kult bogini Izydy, której poświęcił świątynię na Marsowym Polu. Jego otoczenie zwłaszcza stanowiło odzwierciedlenie tych tendencji. Oprócz wyzwolenców rodem z Aleksandrii znaleźć w nim można było paru mniej lub bardziej majątnych wschodnich despotów. Najbardziej rzucającym się w oczy, najbardziej bowiem niesfornym, był Agryppa, którego cesarz uczynił tetrarchą i któremu przyznał godność królewską. Agryppa po zabójstwie swego ojca opuścił Judeę i przygarnięty został w Rzymie przez Antonię - i to właśnie u niej Kaligula go poznał. Wszakże z powodu ciężących na nim długów opuścić musiał miasto, gdzie po-wrócił później po rozlicznych skandalach, jakie wywołał na Wschodzie i u których podstaw zawsze leżał brak pieniędzy, z czym nie potrafił się pogodzić. Kiedy dzięki pomocy przyjaciół udało mu się jako tako uregulować swoje kłopoty finansowe, przyjechał na Kapreę do Kaliguli i był na tyle nieostrożny (czy też zręczny), że nazbyt głośno życzył mu objęcia władzy. Stało się to powodem, dla którego Tyberiusz, przede wszystkim dla zasady - jak się wydaje - wtrącił go do więzienia. Kaligula, kiedy tylko został cesarzem, chciał go stamtąd wydobyć, lecz Antonia zwróciła mu uwagę, iż jest rzeczą mało polityczną tak szybko przekreślać decyzje swego poprzednika. Zaczekał więc czas jakiś z przyjęciem na swój dwór Agryppy, który wcześniej już, będąc tylko zwykłym awanturnikiem, prowadził iście królewski tryb życia, a teraz, na cesarskim dworze, szafował całym wyrafinowaniem i zbytkiem wschodniego luksusu. Podobnie rzecz się miała z innym faworytem, Antiochem z Kommageny, który kazał sobie pobudować na wysokości 2300 m nad poziomem morza przepyszne sanktuarium noszące taki oto napis: „Ja, Antioch, wzniosłem ten pomnik na swoją chwałę.”

Propaganda senacka powtarzała niestrudzenie, że obaj ci komparsi byli „nauczycielami tyranii” Kaliguli. W owym zainteresowaniu obyczajowością i ludźmi Wschodu znajdowała ona przede wszystkim pretekst do tradycyjnego już, prawdę powiedziawszy - bowiem użyto go poprzednio przeciwko Juliuszowi Cezarowi - oskarżania cesarza. Senatorowie insynuowali, iż Kaligula zamierza opuścić Rzym i uczynić z Aleksandrii oficjalną stolicę świata rzymskiego. Oskarżenie zręczne i poważne, ponieważ stwarzało ono groźbę pozbawienia cesarza sympatii ludu zadufanego w swoją wyższość i przyzwyczajonego uważać swoje miasto

za pępek świata. Dodawano jeszcze, że cesarz, zepsuty przez swoje otoczenie, przesiąknięty obcą ideologią, otwarcie parodiował - czynem i słowem - rzymskich bogów, dla których odczuwał już tylko wzdargę: oto i dlaczego „pożyczał sobie” ich stroje, oto dlaczego ośmieszał ich słowem, głosząc wszem wobec, iż jest im równy. Wyrzekał się swojej własnej religii i przeszłości Rzymu. Miasto miało cesarza „Egipcjanina”!

Wszystko to stanowiło zręczną mieszaninę fałszu i prawdy. W rzeczywistości zachowanie Kaliguli cechowała duża rozważa. Po pierwsze - i tu senat miał rację - pozostawało ono w całkowitej zgodzie z jego opcjami politycznymi, których było logicznym następstwem. Genialność Kaliguli polegała głównie na tym, że wyczuł i ogłosił - tym razem wszakoż senatorowie nie przyznaliby się do tego „za żadne skarby” - iż bogowie rzymscy już się przeżyli: przestali być użyteczni zarówno w sferze społecznej, jak i politycznej. Jowisz Kapitoliński, świadek najpiękniejszych czasów republiki, stał się widowym przeżytkiem poprzedniego ustroju - stąd też zapewne biorą się umiarkowane uczucia, jakie cesarz doń żywił. Przeczuwał on, że jedynie religie nadchodzące ze Wschodu będą mogły od tej pory zadowolić potrzeby obywatela i państwa.

Czy Kaligula otwarcie się obnosił z tym brakiem poważania dla dawnych bogów? Czy rzeczywiście nazwał ich publicznie „starymi ramolami”? Można w to powątpiewać. Człowiek, który tak skrupulatnie (jeśli już nie szczerze) wywiązuje się z obowiązków powinnych, wedle tradycji moralności i religii, swej rodzinie, nie mógł popełnić tak grubego błędu. Zabrakło mu tylko być może ostrożności: możliwe, iż wyskoczył na temat religii z paroma cierpkimi żartami, jakie zawsze miał na podorzędziu. Chciał też prawdopodobnie zbyt szybko zrealizować swoje reformy: przez wieki całe religia zawsze była w Rzymie w służbie państwa, z którym się utożsamiała - i jedynie być może naród żydowski potrafił ustanowić pomiędzy tymi dwoma rzeczywistościami tak nierozzerwalne więzi. W tych okolicznościach zmiany religijne mogły być przeprowadzone tylko w sposób stopniowy i przemyślany. Opinia publiczna musiała zostać przygotowana na przyjęcie każdej inicjatywy. Konieczne też było, żeby człowiek, który weźmie za nią odpowiedzialność, miał opinię nieskazitelnego i nie dawał przystępu kalumnii. A tak nie było.

W końcu przecież nawet doświadczonym władcom nie udało się rozwiązać problemów religijnych, którym musieli stawić czoła. Mam tu na myśli Napoleona, by przytoczyć tylko najwspanialszego spośród nich. Uwieszenie papieża świadczyło, że zbyt pochopnie osądził rolę, jaką chrześcijańska świadomość odgrywała w krajach zachodnich. Rządzącym, pochłoniętym cyniczną kalkulacją prowadzonej codziennie walki, trudno jest dokładnie zmierzyć wpływ, jaki wywierają na masy owe irracjonalne uczucia, uświęcone przez zwyczaj, które tlą się pod religią przyjętą przez dane państwo: zbyt szybko wzruszają ramionami, kiedy trzeba nadstawiać ucha, zwłaszcza gdy od niedawna sprawowana władza czyni ich niecierpliwymi.

PROFANACJA SYNAGOGI

Pewien problem natury zewnętrznej, którego zagmatwany charakter Przybierał od roku coraz bardziej dramatyczne proporcje, przydał owym kwestiom religijnym całkiem niepotrzebnego rozgłosu. Wszystko zaczęło się od rywalizacji pomiędzy Grekami i Żydami aleksandryjskimi o ich przywileje i prawa w mieście, rywalizacji, która przeradzała się nawet w uliczne starcia i pogromy, a była to kwestia, którą cesarz musiał w

końcu sam rozstrzygnąć, skoro każda ze stron odwoływała się do jego poczucia sprawiedliwości. Ani chronologia, ani szczegóły wydarzeń nie są niestety nazbyt jasne. Z grubsza rzecz biorąc, wydaje się, że Grecy, którzy mieli w osobie wyzwolenca Heli-kona skutecznego rzecznika swych interesów u dworu, oskarżyli swoich przeciwników o to, iż odmawiają oni cesarzowi podstawowych oznak powinnej mu czci, utrzymując, że w całym cesarstwie jedynie Żydzi nie zgadzają się składać mu przysięgi na wierność. Faktem jest, iż zimą 39/40 r. - w wyniku prowokacji, w której urzędnicy rzymscy mieli też swoją rolę do odegrania - Żydzi popełnili tę nieostrożność, że zniszczyli ołtarz wzniesiony ku czci Kaliguli. Grecy zaś wykorzystując ten incydent, dotknęli jego czulej struny. Cesarz poczytał to sobie za akt rebelii i zareagował, zgodnie ze swym zwyczajem, niczym nie znający miłosierdzia pan, który karze buntowników w ten sam sposób, w jaki zgrzeszyli: rozkazał umieścić - jeśli zajdzie taka potrzeba to nawet siłą - swój posąg ogromnych rozmiarów w Świątyni Jerozolimskiej. Ni mniej, ni więcej.

P. Petroniusz, świeżo mianowany namiestnikiem Syrii na miejsce Witeliusza, obarczony został misją wykonania tego niecodziennego, rozkazu i przybył do Palestyny, prowadząc ze sobą liczne zastępy wojsk, by móc stawić czoło każdej ewentualności. Owe środki ostrożności okazały się przydatne, napotkał bowiem na miejscu zażarty opór: podobne świętokradztwo nie mogło nie wzbudzić sprzeciwu w sercach ludu tak nieprzejednanie monoteistycznego. Żydzi ślali do Petroniusza deputacje, poruszali wszystkie sprężyny swoich wpływów, gromadnie stawali przed jego obliczem, gotowi raczej umrzeć aniżeli dobrowolnie wyprzeć się swojej wiary. I faktycznie zaprzestali już nawet uprawiać ziemię. Rozumiejąc, że natknie się na rozpaczliwy opór, który trzeba będzie krwawo zdławić, a może też z innych powodów, Petroniusz sporządził raport i podkreślając katastrofalne skutki ekonomiczne i niepewny, z militarnego punktu widzenia, charakter całego przedsięwzięcia, podjął ryzyko, by poprosić o potwierdzenie otrzymanych rozkazów - co mocno pachniało wypowiedzeniem posłuszeństwa.

Jest jednak rzeczą mało prawdopodobną, by jego wstawiennictwo odniosło większy skutek, cesarz bowiem po powrocie z Galii nie zdradzał gotowości do zmiany zdania. Można to wnosić po przyjęciu, jakie zgotował poselstwu żydowskiemu (na czele owego poselstwa stał Filon, filozof i brat wysokiego dygnitarza aleksandryjskiego), które przybyło do Rzymu bronić żydowskiej sprawy. Istotnie, udzielił mu audiencji podczas dokonywania w ogrodach Lamii i Meseny inspekcji pawilonów, jakie zamierzał tam urządzić. Tak iż posłowie, przedstawiając swe problemy, musieli podążać za nim z jednej sali do drugiej, z piętra na piętro, cesarz bowiem nie ominął najmniejszego zakątka budowy. To krytykując, to znów chwając rozkład pomieszczeń, stawiał im pytania na temat obyczajów żydowskich lub też sam czynił uwagi. Towarzyszyły im salwy śmiechu jego świty, w skład której wchodził aleksandryjscy Grecy, którzy nie posiadali się z radości widząc, jak kiepsko, stoją sprawy przeciwników. Poprosił wreszcie posłów, by mówić zaczęli o sprawach zasadniczych. Lecz stało się to w chwili, gdy zdecydował się właśnie nagle przejść do wielkiej sali, gdzie zarządził, obszedłszy ją dokoła, by „wyłożono okna zewsząd przezroczystymi kamieniami w rodzaju szkła okiennego” - co naturalnie sprawiło, że zgubił wątek argumentacji. Poprosił więc delegację, by mu jeszcze raz przedstawiła sprawę. Ale wtedy przeszedł do następnego pomieszczenia. A to, by kazać tam pozawieszać obrazy... Ostatecznie wszystkich odprawił, zanim skończyli swe wywody. Łatwo pojąć zakłopotanie i oburzenie posłów, którzy oczekiwali w Rzymie na to posłuchanie od ponad pół roku,

ponieważ cesarz przebywał wśród swych żołnierzy. W rzeczywistości zaś, pod płaszczykiem całej tej świadomości przez Kaligulę wyreżyserowanej maskarady - zapewne nieco ubarwionej przez Filona będącego jednocześnie sędzią i stroną - cesarz chciał ukarać ludzi, których jako buntowników nie nosił w sercu, ale przede wszystkim z całą powagą próbował wyrobić sobie zdanie. Fakt, iż skrócił widzenie, o niczym nie świadczy: znał on na pamięć niektóre aspekty sprawy, dzięki raportom Petroniusza. Zadawał nader precyzyjne pytania na temat żądań aleksandryjskich Żydów (spór z Grekami dotyczył między innymi kwestii praw miejskich) i starał się uzyskać informacje o rytuale i wierze żydowskiej, czyniąc mianowicie taką uwagę, że jeśli dobrze rozumie, Żydzi, kiedy składają ofiarę cesarzowi, składają ją jednocześnie swojemu bogu, i że wydaje mu się to co najmniej dwuznaczne. Pod koniec audyencji przyznał, iż nie można ich nawet oskarżyć o złą wolę, ponieważ są oni „nie tyle przewrotni, co nieszczęśliwi i głupi, skoro nie wierzą, iż odziedziczył naturę boską”. Spotkanie to nie zmieniłoby zapewne biegu rzeczy i posąg cesarza umieszczono by siłą w Świątyni Jerozolimskiej - doprowadzając do wybuchu wojny na śmierć i życie, co zresztą później nastąpiło - gdyby nie przytomność umysłu jednego człowieka, który wszystko uratował. Był nim Agryppa, z którym się już wcześniej zetknęliśmy. Jeśli wierzyć historykowi żydowskiemu Józefowi Flawiuszowi, sprawy przybrać miały następujący obrót: Agryppa wydał na cześć cesarza tak wystawną ucztę, że ten, wzruszony tyłoma względami, zaproponował mu w zamian, by zażądał, czego tylko zapragnie. Po wielce zawilej przemowie Agryppa począł go błagać, by odwołał wydany Petroniuszowi rozkaz umieszczenia cesarskiego posągu w Świątyni Jerozolimskiej - co też Kaligula uczynił, nie chcąc łamać danego słowa. Wersja to zapewne nader romantyczna... Kaligula nie należał do ludzi, którzy rezygnują z raz obranej linii politycznej, by zrobić przyjemność przyjacielowi. Jeśli odwołał swoją decyzję, to oczywiście dlatego, iż Agryppa - jak twierdzi Filon - wyjawiał mu powody i właściwą naturę sprzeciwu, z jakim naród żydowski przyjąłby owo świętokradztwo, oraz wynikające stąd niebezpieczeństwo.

W sprawie tej cesarz miał, jak widać, na tyle zdrowego rozsądku, by zmienić zdanie, zanim sytuacja przybierze katastrofalny obrót. Z drugiej zaś strony, i jest to nader istotne, podejmując ów absurdalny zamiar, nie kierował się ślepą obsesją swej boskości. Na coś, co uważał za akt wypowiedzenia posłuszeństwa, zareagował posunięciem, które miało znaczenie politycznego symbolu. Łatwo więc przyszło jego wrogom w Rzymie podkreślać niezdrowe i szaleńcze aspekty całej afery: cesarz zachowywał się niczym nieodpowiedzialny despota, etc. Zresztą surowość Kaliguli da się prawdopodobnie wyjaśnić częściowo nie ujawnionymi szczegółami sprawy i jest rzeczą możliwą - jak sugerowano - że podejrzewał on Petroniusza o przekupstwo. Korupcja tego wysokiego dygnitarza miała spotęgować jego gniew i - według Józefa Flawiusza - miał doń jakby napisać pod koniec roku 40 takie oto słowa: „Skoro droższe ci były podarki, które ci Żydzi złożyli, nad moje rozkazy i skoro w ogóle, aby im dogodzić, ośmieliłeś się postąpić wbrew temu, co ci poleciłem, rozkazuję, abys sam był swoim sędzią i sam rozstrzygnął, co masz uczynić, skoroś zasłużył na mój gniew. Będiesz więc służył za przykład dla wszystkich współczesnych i potomnych, aby nie lekceważyli rozkazów Cezara.” Wszystko to tylko hipoteza. Rzeczą pewną jest natomiast, iż cesarz - gdy tylko poczuł, że autorytet jego narażony został na szwank (a przecież, powiedzmy to raz jeszcze, o to właśnie chodziło w całej tej sprawie) - reagował z przesadną gwałtownością i ztracał poczucie miary. O tym wszakże od dawna już wiedziano.

DIALEKTYKA TERRORU

Jest rzeczą niewątpliwą, iż lato roku 40 zaznaczyło się zawarciem rozejmu czy nawet chwilowym uspokojeniem jego stosunków z senatem. Jakiś czas wcześniej cesarz przywrócił mu co prawda prawo głosu, z którego komicje najzwyczajniej w świecie zrezygnowały. I Dion Kasjusz pisze nam, iż „nie posiadając się z radości z powodu takiego stanowiska senatu, Kaligula wyzbył się gniewu i z całą niefrasobliwością młodzieńca skierował doń kilka pochlebnych słów”.

Należało wszak do nich podchodzić z pewnym niedowierzaniem. Odpłacał on najzwyczajniej w świecie senatorom pięknym za nadobne, kierując pod ich adresem parę obłudnych pochlebstw. Albowiem, pozostając wiernymi swojej taktyce, nie przestawali oni kadzić człowiekowi, którego nienawidzili. Prócz słownych i dytyrambicznych zaszczytów, które przegłosowali ku jego chwale, podjęli oni kilka konkretnych decyzji: iżby dowieść, że nie są mordercami, jak zdawał się ich o to podejrzewać, i że nie ma się czego z ich strony obawiać, uchwalili zbudowanie trybuny, która chroniłaby jego osobę od wszelakiego niebezpieczeństwa w kurii, oraz prawo zatrzymania tam przy sobie celem obrony żołnierzy jego przybocznej gwardii. Któregoś dnia mieli również jakoby posunąć się aż do tego, by zlinczować jednego ze swych członków, Skryboniusza Prokulusa, ponieważ jeden z faworytów Kaliguli rzekł doń, wchodząc do kurii: „Ty również mnie pozdrawiasz, ty, który tak nienawidzisz cesarza?” Historyjka to wątpliwa: trudno zrozumieć, jak mogliby oni „roznieść na strzepy” Skryboniusza, jeśli wstęp na obrady z bronią był zabroniony...

Gra ta stanowiła jedynie jeden z aspektów dialektyki strachu, jaka zapanowała od półtora roku. Każdy z senatorów bał się o własną skórę. A strach stawał się tym bardziej nieznośny, iż nie wiadomo było, gdzie się zaczynała, a gdzie kończyła czyjaś wina, i że nawet u przyjaciół nie można było znaleźć oparcia - i oni mogli zdradzić każdego dnia. Strach był również zbiorowy, i tutaj słowo dialektyka nie jest zbyt mocne. Spór pomiędzy cesarzem i senatem przybrał kształt dość abstrakcyjnego konfliktu, gdzie obowiązywała zasada wet za wet. Jest bowiem rzeczą uderzającą, iż - jeśli pominąć ową próbę przekazania prawa głosu komicjom, która spaliła na panewce - Kaligula nie obalił ostatecznie ani nie ograniczył żadnego z faktycznych uprawnień senatu. W porównaniu z polityką Domicjana, który później borykał się z podobnymi problemami i w ten sam sposób skończył, jego polityka walki z senatem wydawała się wielce idealistyczną. Domicjan bowiem ograniczył rolę, jaką senat odgrywał w zarządzaniu prowincjami, z których niektóre tradycyjnie podlegały jego kompetencji, wystawił przeciwko senatowi rywala, kreując swoją prywatną radę (*consilium principis*) złożoną z zaufanych ludzi i zadba o to, by zapewnić sobie bezpośrednią władzę nad osobą każdego z senatorów. Nie sposób wszak dowieść, że Kaligula nie żywił podobnych zamiarów; do tej pory brakowało mu tylko być może czasu; zważywszy na skrytość jego charakteru, mogło się któregoś dnia zdarzyć, iż owa mglista ideologia, którą szermował, przeobrazi się konstytucyjnie w jakąś nieubłaganą ustawę. Właściwie było to jedyne rozwiązanie. Skoro cesarz zdobył się na tę odwagę - czy też niezręczność - żeby zrazić do siebie ostatecznie senat, pozostawało mu już tylko zlikwidować go politycznie. Czy można wszak przekreślić za jednym zamachem, przemocą obalić instytucję, która tak głęboko tkwiła swymi korzeniami w życiu Rzymu? Czy opinia publiczna, szczególnie w prowincjach, nie spuszczała z oka tego znamienitego zgromadzenia, zrozumiałaby ów gest? Kaligula na tyle był rozsądny, aby w to wątpić. Prowadził politykę przerastającą jego • możliwości: wiodła ona w ślepy zaułek, ku groźbom kończącym się tylko na słowach nie

pociągających za sobą żadnych skutków.

Pozostaje najgorsze. On także żył w poczuciu niepewności. Wiedział doskonale, iż senat zdecydowany jest się go pozbyć. Świadczyły o tym fakty, o ile nie dawało się tego wyczytać w twarzach. Pod koniec roku 40 było kilka spisków, których nie sposób szczegółowo zrekonstruować, lecz w których istnienie nie można bynajmniej powątpiewać. Jeden ze spisków zdradził Cerialis Anicjusz, o którym niewiele wiemy poza tym, że cesarz darował mu życie, ponieważ umarł 26 lat później za czasów Nerona, padając ofiarą jakichś ciemnych porachunków. Do drugiego należało grono spiskowców składających się z osobistości znanych ze swej przynależności do przepojonych stoicyzmem środowisk filozoficznych; w wyniku tego spisku zginął Kanus z czelnością, o której już wspominaliśmy. Miał on długą rozmowę z cesarzem, by usłyszeć odeń na odchodnym: „Nie czyn sobie przynajmniej żadnych iluzji, wydałem rozkaz zgładzenia cię.” - „Dzięki ci za to, wspaniały władco” - odparł skazaniec, który gdy zjawili się żołnierze, by zabrać go na miejsce stracenia, zdobył się jeszcze na dowcip; kończył właśnie partyjkę „żołnierzyków” - gry rzymskiej, której zasady zbliżone były do naszych warcab - i odchodząc odezwał się do swojego przeciwnika w te oto słowa: „Nie chwał się przynajmniej, iż ze mną wygrałeś.” Nie wszyscy podobną okazywali pogodę ducha. Seneka twierdzi, że niekiedy trzeba było skazańców kneblować, by nie dać im wykrzykiwać tego, co im leżało na sercu. Podczas trzeciego spisku w nieoczekiwany sposób dała o sobie znać nienawiść jednego ze spiskowców. Oskarżył on o współudział otoczenie cesarza, począwszy od jego wyzwolenca Karlista i obydwu prefektów gwardii pretoriańskiej. Cesarz wezwał ich - historia milczy o tym, czy byli uzbrojeni - do jednej z sal pałacowych, by im powiedzieć, iż jeśli chcą się go pozbyć, mają po temu teraz okazję. Co słysząc, padli mu do nóg, zapewniając o swej niewinności. A to mogła być prawda... A przynajmniej mogłoby się tak wydawać, gdyby Bassus (tak się bowiem nazywał spiskowiec, który doniósł o całej zmoiwie) nie włączył do grupy podejrzanych również Cezonii, czwartej żony cesarza. Przyznać należy, iż Kaligula nie miał szczęścia do małżeństw. Pierwsza jego żona zmarła w połogu; drugą odprawił z nie znanych nam powodów; trzecią też, bo była bezpłodna.

I w tym tkwił zapewne cały problem: cesarzowi, aczkolwiek nie musiał się jeszcze spieszyć, zależało -- zważywszy na okoliczności -- na tym, aby zapewnić sobie jak najszybciej dziedzicę. Stąd cały ten korowód żon, rzecz jak najbardziej na porządku dziennym w kołach politycznych Rzymu. W owym gorączkowym pośpiechu było jednak coś rażącego. Żeniąc się po raz czwarty, poślubił latem 39 roku Milonię Cezonię, której płodność nie ulegała wątpliwości, ponieważ miała już troje dzieci z poprzedniego małżeństwa. Od dosyć dawna była jego kochanką, od ośmiu zaś miesięcy w odmiennym się znajdowała stanie, co dowodzi, iż cesarzowi tym razem szczęście dopisało.

Wydała na świat córeczkę, której nadano imię Druzylla na pamiątkę nieżyjącej siostry Kaliguli i, złożony na kolanach Jowisza, obdarzono zaraz po urodzeniu wszystkimi przesadnymi zaszczytami przyznawanymi teraz cesarskiej rodzinie. Narodziny te oczywiście problemu nie rozwiązały. Rokowały jednak dobre widoki na przyszłość i wydaje się, że ta czwarta żona była tą właściwą: jak miał tego dowieść bieg wypadków, stała ona poza wszelkim podejrzeniem. Dlaczegoż więc Bassus ją oskarżył? Czy spodziewał się, iż Kaligula, któremu wszyscy wydawali się podejrzani, zacznie też w końcu podejrzewać własną żonę? Czy

też, podawszy już na mękach nazwiska Kallista i obu prefektów, dołożył następnie do nich Cezonię dla zagmatwania sprawy i uczynienia niewiarygodnym zeznania zawierającego tylko część prawdy? Pozostanie to tajemnicą, obydwie hipotezy są przeto równoprawne.

Tortury natomiast to wcale nie rzecz hipotetyczna. Według Seneki nocą rozlegały się na tarasach krzyki senatorów i arystokratów, których poddawano karze chłosty przed zastosowaniem najbardziej barbarzyńskich tortur: powrozów, miażdżących nogi dybów, wbijania na pal. Cesarz pochylał się nad twarzą torturowanego, zaglądał głęboko w oczy. Po czym wychodził na przechadzkę w towarzystwie dam dworu i wracał co pewien czas, by kazać zgładzić jednego czy dwóch skazańców przy blasku świec. Niekiedy rozdierano szaty na ofiarach i kneblowano nimi usta, by zdławić krzyki. Wizja to przesadzona, śmieszy zbyt dużą emfazą. Niektórzy twierdzą również, że cesarz z upodobaniem urządzał takie jatki. W końcu jest to możliwe, ponieważ stanowi część dialektyki terroru: najpierw zabija się z konieczności; potem dopiero zaczyna się znajdować w tym przyjemność. Ale nie krwiożercze instynkty czy wrodzone i romantyczne okrucieństwo są przyczyną tego, co działo się w więzieniach. Tortury były tam na porządku dziennym, ponieważ - jak dotychczas - pozwoliły one cesarzowi ustrzec się zabójcy.

DEMAGOGICZNE ILUZJE

Radykalnym rozwiązaniem byłoby w tej sytuacji opuścić Rzym, schronić się, niczym Tyberiusz, w jakimś niedostępnym miejscu. Może i Kaligula rozważał taką możliwość, nie była ona wszakże zgodna ani z jego temperamentem, ani z obrazem samego siebie, jaki pragnął narzucić innym. Chciał uchodzić za zdobywcę, spadkobiercę Aleksandra, Cezara. A czy zdobywca zaszywa się na jakiejś wyspie? Czy dwudziestodwuletni cesarz może przejść na emeryturę?

Postanowił więc stawić czoło, nie zabrakło mu po temu odwagi, wszystko za tym przemawia. Gdzież wszelako mógł znaleźć poparcie polityczne w walce, jaką wiódł? Wśród ekwitów? W gruncie rzeczy nie miał z nimi zapewne najgorszych stosunków. To wszystko, co można by o tym rzeć. U plebsu? Od dwóch lat cesarz dawał te same dowody troski o lud, jak na początku swego panowania, „ludowa” polityka zaś, o jakiej powyżej wspominaliśmy, nie okazała się słomianym ogniem. Ukrócił nadużycia skorumpowanych urzędników, zmuszając ich do zwrotu sum, jakie pobierali z pieniędzy przeznaczonych na prace publiczne. Otworzył ponownie podwoje klubów, w których jego poprzednicy obawiali się wrzenia mogącego w każdej chwili przerodzić się w agitację polityczną. Jeszcze niedawno temu, po swych nieszczęsnych kampaniach, wyraźnie przypominał, iż powraca „dla ludu”, a jego powrót stał się okazją do rozdawania pieniędzy. Praktyka ta przerodziła się w sparsio, to znaczy, że rzucano tłumowi monety i - jak zawsze się to zdarza w takich okolicznościach - zawsze bywało parę ofiar śmiertelnych oraz kilka dziesiątków rannych za sprawą „zawodowców”, którzy oferowali swe usługi lichwiarzom, zanosząc im to, co zdołali zebrać. Pod koniec 38 roku zniósł - a było to rozporządzeniem poważniejszym, wykraczającym poza ramy fasadowej demagogii - centesimę, jednoprocenowy podatek od sprzedaży wprowadzony niegdyś przez Augusta, na którego anulowanie Tyberiusz najpierw się nie zgodził, by potem obniżyć jego wysokość o połowę pod wpływem presji publicznej. Podatek ten, w rzeczy samej, zawsze był wielce niepopularny i Kaligula znosząc go zaspokoił jedno z żądań, na których ludowi zależało najbardziej.

Lecz oto w roku 40 cesarz ustanawia podatek tego samego rodzaju, który uderzył po kieszeni nie tylko zwykłych kupców, lecz również kategorie zawodowe, które prawdopodobnie do tej pory zdołały go uniknąć, jak tragarze i kurtyzany. Czyżby więc zmiana polityki? Na pewno nie, raczej reforma podatkowa, która przybierała charakter całej serii dosyć złożonych środków. Posunięcie to było w samej swej zasadzie i sposobie przeprowadzenia być może niezręczne, chociaż niektóre z jego rozporządzeń - zwłaszcza zaś podatek nałożony na kurtyzany, który był swego rodzaju podatkiem od luksusu - cieszyły się popularnością. Wydaje się, że Kaligula popełnił błąd, znosząc podatek globalny, który mimo wszystko przyjął się już w praktyce, by zastąpić go później rozlicznymi innymi opłatami. Nikt niczego jak zwykle nie rozumiał z tego „całkiem nowego” podatku. Reforma ta ponadto weszła w życie, zanim podano ją do wiadomości publicznej, tak iż właściwie nie bardzo było wiadomo, czego się trzymać. Domagano się rozpowszechnienia tekstu ustawy i okazało się, że sformułowania w nim użyte są zawile, że brak im prawdopodobnie przejrzystości. Oskarżono cesarza o celowe zaciemnianie prawa, iżby tym łatwiej podatnicy zdani zostali na jego łaskę i niełaskę. Dziwny to argument, który wszakże swoje zrobił: plebs zebrał się w cyrku, gdzie doszło do gwałtownej manifestacji. Musiano uciec się do pomocy pretorianów, aby przywrócić porządek i egzekwować kwestionowane opłaty. Jakie było właściwe znaczenie tego wydarzenia? Świadczyło ono bez wątpienia o rzeczywistym niezadowoleniu przynajmniej pewnych kategorii ludności rzymskiej i nie przyczyniło się do umocnienia autorytetu cesarza borykającego się z poważnymi problemami.

Zostało ono jednakże wyolbrzymione i zręcznie wykorzystane. Dlaczego Cherea, trybun czuwający nad przestrzeganiem prawa, odmówił wykonania polecenia? Z miłości do bliźniego? Z litości nad biednymi podatnikami? Aby nie zaszkodzić popularności cesarza, którego był w istocie najzagorzalszym przeciwnikiem? Czy też w nadziei, że zrodzi się z tego bunt? Można się zastanawiać, czy ten wielce związany z najbardziej aktywnymi opozycjonistami pretorianin nie chciał swoją odmową dolać oliwy do ognia...

Błędem w każdym razie byłoby w oparciu o te wydarzenia twierdzić - jak to czyniono - iż Kaligula zraził sobie w końcu plebs tak samo jak senat i że w ostatnich miesiącach swego panowania opuszczony został nawet przez samych tych, u których szukał wsparcia. Inne fakty - jak się o tym przekonamy - dowodzą czegoś wręcz od wrotnego. Dyskusja na ten temat może mieć zresztą tylko znaczenie akademickie, ponieważ poparcie plebsu nie stanowiło dla cesarza wiele po temu brakowało - decydującego atutu. Faktem jest bowiem iż od pół wieku lud rzymski poddany był głębokiemu odpolitycznieniu. Jest to jeden z lepiej znanych faktów historii rzymskiej, nie zawsze wszelako najlepiej rozumianych. W literaturze francuskiej istnieje długa tradycja retoryczna, która przesadnie moralizując ów problem wypaczyła ostatecznie jego naturę. Echa tego można było ostatnimi czasy usłyszeć jeszcze w Trezieme Cesar (Trzynastym cesarzu) Montherlanta: „Czyż godzien jest litości - zapytuje autor - ów lud, który się dał odsunąć od wszystkiego, co doń należało, który przystał bez sprzeciwu na panowanie potworów, ów lud, który w obliczu zła składał się tylko z jednostek nieświadomych albo współwinnych?”

Najpierw trzeba przyjąć do wiadomości fakt, że lud rzymski bezwolnie znosił tyranie tylko dlatego, iż nie padł jej ofiarą. Tyrania bowiem skierowana była - powyższy wywód jest, jak sądzę, wystarczającym dowodem - przeciwko ludziom, którzy powszechnie się nazywają „klasą polityczną”, czyli tym, którzy w różnym stopniu odgrywali w państwie jakąś rolę. Z niewielkimi wyjątkami działanie jej zanika wobec

kłębiącego się, anonimowego tłumu na ulicy. Ilustruje to anegdota dotycząca interesującego nas właśnie okresu. Powiadają, że pewien Galijczyk, ujrzawszy któregoś dnia cesarza Kaligulę stojącego na trybunie w stroju Jowisza i ogłaszającego przepowiednie, wybuchnął śmiechem. Cesarz, kazawszy podejść mu bliżej, zapytał: „Co o mnie sądzisz?” - „Że jesteś wielkim dziwakiem” - odparł człowiek, który był ledwie zwykłym szewcem: cesarz pozwolił mu odejść całkiem bezkarnie... W rzeczywistości bowiem ofiarami padają wielcy, ci, którzy wczoraj narzucali swoją władzę. Lud z całą obojętnością odnosi się do ich nieszczęść i wcale się nie burzy widząc, jak drogo płacą za przywilej posiadania nazwiska. Bierze niejako w ten sposób na nich odwet. Cesarze wiedzą o tym, najbardziej zaś demagogiczni spośród nich nawet to wykorzystują: znajdują oni na przykład upodobanie w skazywaniu senatorów na walkę na arenie w roli gladiatorów. Starożytni historycy, którzy skrupulatnie odnotowują tego rodzaju szczegóły, powstrzymują się od jakiegokolwiek komentarza zapewne dlatego, że znaczenie tego faktu samo w sobie było oczywiste dla takiego Komaina: sprowadzono w ten sposób ową pyszną arystokrację do rangi niewolnych (gladiatorzy byli niewolnikami) i rzucono ją na pastwę wzburzonego motłochu. Trudno o gorsze upokorzenie. Pozostaje tylko kwestia, jak daleko mogli cesarze posunąć się w tym procederze, nie narażając się na poważne kłopoty...

Ponadto, z czysto politycznego punktu widzenia, dlaczegoż ów plebs. miałby bronić wartości ustroju - w szczególności zaś owej przesławnej wolności, jaką faktycznie cieszyła się arystokracja i która li tylko jej samej służyła? Cóż się bowiem działo za czasów republiki? Plebs oddawał, potem zaś sprzedawał swoje głosy przywódcom, którzy szybko się jego interesom sprzeniewierzyli, sami zaprzędając się senatowi. Widzieli oni w plebsie tylko stado wyborców, a od czasów Semproniuszów nikt nie dbał o polepszenie jego losu, o rozwiązanie jego problemów. Prócz Cezara - w pewnej mierze - ale też dlatego właśnie go zamordowano. Dlaczegoż więc miałby żałować prawa głosu od tak dawna już wyjąłowanego? Bez trudu udało się go nakłonić do zamiany owego prawa na zapewnienie pewnego życiowego minimum. Od tej pory jedyną rzeczą zdolną wywołać reakcję polityczną było zagrożenie prawa do codziennej racji chleba, które plebs uważał za swe ostateczne zwycięstwo. Ważną osobą w Rzymie jest nie konsul, lecz prefekt annony, a więc człowiek, który zapewnia miastu zaopatrzenie w zboże. Dopóki spichrze są pełne, plebs szemrze, lecz nie reaguje; ma on swoje słuszne czy niesłuszne powody, by nie występować przeciwko nowemu ustrojowi; jest on po prostu nieświadom tego, co czyni.

Czy to wszak znaczy, że gotów jest go bronić? Samego ustroju za-pewne tak, gdyby znalazł się rzeczywiście w zagrożeniu, ale wcale - jak się zaraz o tym przekonamy - tak się nie stało. Natomiast osoby cesarza - nie. W tym względzie lud ma swe własne upodobania, to wszystko. Znosi szemrając tych, których nie lubi, jak Tyberiusza, lecz ich znosi. I odwrotnie, okazuje się on niezdolny do bezgranicznej wierności, wciąż z tego samego powodu. Osobowość człowieka, który ucieleśnia państwo, jawi się w jego oczach rzeczą drugorzędną: cesarze przemijają, spichrze pozostają.

Kaligula popełnił zapewne błąd, przeceniając zbytnio skuteczności poparcia, jakiego mógł oczekiwać od ludu, choć było ono niemałe zresztą wszystko tutaj jest sprawą niuansów. Niepopularność stwarzała przede wszystkim sprzyjające warunki do spiskowania. I odwrotnie, spektakularne poparcie ludu, jakie można było zaobserwować w czasie igrzysk czy innych wielkich uroczystości życia rzymskiego, tworzyło klimat z psychologicznego punktu widzenia mało podatny na propagandę zawistników. Plebs wszakże, politycznie

rzecz biorąc, nie posiadając ani woli, ani mocy działania, nie stanowił żadnej decydującej siły. W naturze samego ustroju leżało zabieganie o jego względy, schlebianie mu, stwarzanie iluzji, że rządy sprawuje się w jego imieniu. Pod warunkiem oczywiście, iż nie będą narażone na szwank interesy dwóch ugrupowań, które stanowiły w państwie potęgę: armii, której - jak się wydaje - Kaligula nie zdołał sobie zrazić mimo swych nieszczęsnych kampanii, i senatu. Zarówno w Rzymie, jak i gdzie indziej demagogia miała za zadanie ukryć za zasłoną rozgłośnych deklaracji i symbolicznych środków wielce namacalne przywileje, jakimi cieszyła się mniejszość. Odnosi się wrażenie, że Kaligula wziął ją na serio i uczynił z niej zasadę rządzenia państwem, nie rozumiejąc, że to tylko pozór. Użyć jej jako broni przeciwko arystokracji, której utrwałała ona faktycznie istnienie i której nowy ustrój usankcjonował społeczny prymat, było czystym nonsensem. Demagogia mogła tu co najwyżej stanowić pewien środek nacisku, jaki należało ostrożnie dozować. Chyba, iżby się uciec do zamachu stanu w celu dokonania zmiany podstawowych założeń ustroju.

W przeciwnym bowiem razie cesarz sam na siebie wydawał wyrok. Armia, jedyny możliwy sojusznik, była daleko. Miał więc on już tylko do swojej obrony aklamacje ludu, który stał się cieniem samego siebie i któremu zresztą senacka propaganda zamknęła już być może usta. Polityka cesarza zasadzała się na iluzji. Iluzji urzekającej, która miała stać się regułą. Po nim nieco później Neron działający pod wpływem nienasyconej potrzeby poklasku oparł się na tych samych założeniach. Trwało to dłużej, lecz nie miało szczęśliwszego końca.

KRWAWA ROZPRAWA

Skoro wydano uchwałę zezwalającą cesarzowi przebywać w senacie pod ochroną przybocznej gwardii, wszystko musiało się więc rozegrać na zewnątrz. W jakim miejscu dokładnie, ciągle jeszcze nie wiadomo. Jedno však było pewne: należało się go pozbyć jak najszybciej, dopóki ponowny wyjazd do prowincji nie oddalił go od Rzymu.

Pod koniec roku 40 zawiązał się nowy, czwarty z kolei spisek. W jego szeregi wchodził ludzie z przeróżnych środowisk, nawet należący do najbliższego otoczenia cesarza. Dowodzi to, jak wielce sytuacja stała się poważna, skoro nawet najbliżsi nie wahali się go zdradzić. Jednym z przywódców spisku był w rzeczy samej człowiek cieszący się zaufaniem cesarza, wyzwolieniec Kallist, który poprzez swe bogactwo i faktyczne wpływy, jakie posiadał w kołach interesu, miał na dworze pozycję dosyć zbliżoną do sytuacji Pallasa i Narcyza kilka lat później. Pozycję niebezpieczną, skoro cesarz tak zazdrośnie strzegł swego autorytetu, jak o tym świadczy los, który stał się udziałem Makrona. Ponadto Kallist oskarżony został, jak pamiętamy, pół roku wcześniej o zdradę, w tym samym czasie co i obaj prefekci gwardii. Miał więc powody, by nie czuć się najpewniej: podobnie jak żona cesarza, ministrowie Kaliguli winni być poza wszelkim podejrzeniem.

Spośród członków senatu w skład spiskowców wchodził Waleriusz Azjatyk rodem z galijskiego miasta Vienne, który był właścicielem słynnych w Rzymie ogrodów Lukullusa - dawnego konsula, jednego z filarów całego przedsięwzięcia; Pompejusz, stary znajomy, już kilka miesięcy wcześniej oskarżony o knowania i uratowany od śmierci dzięki pewnej aktorce, która pomimo straszliwych tortur odmówiła złożenia obciążających go zeznań, Lucjusz Anniusz Winicjanus, wielokrotnie już uczestniczący w spiskach

maniak, dawny przyjaciel Getulika, który nie był zainteresowany w tym, żeby panowanie to trwało zbyt długo. W spisku brało jeszcze z pewnością udział wiele innych osób, które jednakże nie uznały za stosowne przekazać potomności swych nazwisk: uczestnictwo w spisku, nawet udanym, nie stanowiło referencji, z którą chętnie się afiszowano. Dowodem na to los, jaki spotkał Azjatyka, który po zamordowaniu Kaliguli wstąpił na trybunę, by ogłosić tłumowi: „Bogowie sprawili, iż to właśnie ja go zabiłem.” Toteż, kiedy później Messalina, która chrapkę miała - między innymi - na jego ogrody, zapragnęła uczynić go podejrzanym w oczach Klaudiusza, wystarczyło, że przypomniała, iż nazwisko jego zyskało rozgłos dzięki znamienitej roli, jaką odegrał w spisku z 40 roku. Zaciągnięto go niezwłocznie przed oblicze cesarza, a jego mowa obronna tak wzruszyła zgromadzonych... że dozwolono mu wybrać sposób wykonania wyroku. Zdaje się, iż żałował wtedy, że nie padł ofiarą Kaliguli, miast zginąć „od sztuczek niewieścich i słów, co z bezwstydných ust padły Witeliusza” (wspólnik Messaliny): to przynajmniej miałyby jakiś sens.

Nieważne zresztą, czy lista spiskowców była krótka czy długa, ponieważ siła spisku nie tkwiła w liczbie uczestników. Szansę jego powodzenia zależały od poparcia wojska, jakiego można było się spodziewać. Jednakże po czystce przeprowadzonej niedawno w jej szeregach armia stała się bezużyteczna. Nie należało również liczyć na żołnierzy z gwardii pretoriańskiej: w ówczesnej koniunkturze zamach stanu stanowił dla nich zarówno wielkie zagrożenie, co i korzyść; ta ostatnia nie była zgoła oczywista, ale żołnierze gwardii ciągle żywili uczucia wierności względem Germanika. Na szczęście rzecz nie tak samo się miała z dowódcami gwardii, prefektami pretorium (istnieją podstawy do przypuszczeń, iż było ich w owym czasie dwóch). Oskarżeni parę miesięcy wcześniej o spisek - jak to już mówiliśmy - wezwani zostali nagle przez Kaligulę, który im oznajmił, że jeśli chcą go zabić, to niech uczynią to natychmiast. Po czym, zamiast zdjąć obu z zajmowanych stanowisk, cesarz ograniczył się - być może dlatego, iż nie wierzył w ich winę - do grania na ich wzajemnej rywalizacji, jątrząc w razie potrzeby. Nieostrożna to była gra. I tutaj znów miała dać o sobie znać dialektyka strachu. Ludzie ci czuli się podejrzeni. Jeden z nich przynajmniej, Arrecynus Klemens obiecał pomoc: w dniu zamachu gwardia miała nie zareagować, a to dla tego doskonałego powodu, że miano się postarać o to, aby nie była przy tym obecna, podobnie jak uczynił to Tyberiusz, kiedy postanowił zgładzić Sejana.

Prócz tego spiskowcy znaleźli czynnych współpracowników wśród wyższych oficerów gwardii: dwaj spośród nich, Papiniusz i Kasjusz Cherea, do których przyłączyła się pewna liczba centurionów, podjęli się dokonać egzekucji. Cherea miał tu odegrać decydującą rolę. Nie był on już człowiekiem młodym: zostawszy trybunem już w roku 14, w czasie buntu legionów w Germanii, zachował na tyle trzeźwości umysłu, by z mieczem w ręku utorować sobie drogę w ciżbie żołnierzy wycinających w pień swoich oficerów. Był to jeden z „twardych”, a jednocześnie ostatnia nicość, doskonale narzędzie spisku. Ponoć wyroczenia ostrzegła Kaligulę, by „nie dowierzać Kasjuszowi”. Cesarz oczywiście nie pomyślał wówczas o tym nikomu nie znanym podwładnym, lecz o Kasjuszu Longinusi, prokonsulu Azji. A przecież Cherea nienawidził go z całego serca, i to z powodów jak najbardziej osobistych. Natura bowiem obdarzyła tego oficera o atletycznej budowie głosem piskliwym, który mógł budzić wątpliwość co do jego męskości. Starał się on ją co prawda rozwiać, gorliwie hołdując płci pięknej. W każdym razie cesarz, wielce ubawiony takim wybrykiem natury, zawsze mu podawał - kiedy Cherea pełnił akurat wartę - aluzyjne hasła dla gwardii w stylu „Priap” czy

„Wenus”. Żołnierze aż rechotali z uciechy, gdy im je przekazywał... Taką przynajmniej . przyjęto wersję tłumaczenia owej nienawiści, a - jak to zwykle bywa w historii - kiedy jakieś wyjaśnienie nie jest pozbawione uroku, ma się tendencję łatwo nim zadowalać. Nic tutaj nie przemawia za tym, iżby było ono nieprawdziwe. Nie należy jednak zapominać, że Cherea, któremu niedawno powierzono misję nadzorowania poboru podatków, wykazał się przy tej okazji względny zapalem, co być może rzuciło nań cień podejrzania: jeśli prawdą jest, iż tak bardzo nalegał na spieszne działanie, to i on również mógł mieć po temu pilne powody.

Pozostawało znaleźć okazję. Jakkolwiek Kaligula nie przedsięwziął zapewne drakońskich środków ostrożności, jakimi jego następcy, nauczeni doświadczeniem, nie będą w przyszłości pogardzać, rzecz nie była łatwa. Główną przeszkodę stanowiła gwardia germańska, przy-boczna gwardia cesarza, utworzona przez Augusta, następnie zlikwidowana po klęsce Warusa, i którą Tyberiusz przywrócił do życia. Sowiec nagradzani, owi starannie dobierani i brutalni żołnierze, których za najłżejsze przewinienie karano w bestialski sposób, gotowi byli roznieść na strzępy każdego, kto wykonałby jakiś podejrzan - jest. W tym względzie w porę przyszli z pomocą dowódcy gwardii, o ile prawdą jest, że Sabinus, były gladiator obdarzony herculesową wprost siłą, który wchodził w skład spisku, dowodził gwardią germańską - jak to powiada Józef Flawiusz w jednym z tekstów rojącym się niestety od błędów i sprzeczności - a nie pretorianami. Wyjaśniłoby to nader osobliwe szczegóły, zwłaszcza zaś fakt, iż gwardia ta, która nie powinna była odstępować na krok osoby cesarza, w decydującej chwili przybyła na miejsce za późno.

Postanowiono przystąpić do działania w czasie jakiejś uroczystości, kiedy oficjalne funkcje wydadzą cesarza na łatwy łup. Najpierw proponowano skorzystać z okazji składania ofiary na Kapitolu, lecz w końcu wybór padł na Igrzyska Palatyńskie, gdzie natłok ludzi ułatwić miał zadanie. Nie dało się tego zrobić w dwóch pierwszych dniach uroczystości, a każda zwłoka, pomnażając niebezpieczeństwo zdrady, drogo mogła spiskowców kosztować. 24 stycznia 41 roku, trzeciego i ostatniego dnia igrzysk, postanowili oni za wszelką cenę zakończyć rzecz. Tak więc rankiem cesarz złożył ofiarę ku czci Augusta. Był w dobrym nastroju: podczas składania ofiary jeden z senatorów, Asprenas, pobrudzony został krwią zwierzęcia, co ubawiło cesarza. Po zakończeniu ceremonii zajął miejsce w amfiteatrze. Wedle starej tradycji zaczęto rzucać ludowi pożywienie, w szczególności zaś przepiórki i rozmaite ptactwo - królewski iście podarunek, ponieważ cesarz za nimi przepadał. Następnie zaczęły się widowiska. Kiedy wszystko już trwało w najlepsze, Cherea opuścił amfiteatr, by ustawić w odpowiednim miejscu ludzi. Miano zamordować cesarza, kiedy po wyjściu z amfiteatru będzie się udawał na obiad. Nie wzięto wszak tutaj pod uwagę jego kapryśnego apetytu. Gdy nadeszła bowiem-pora posiłku, oznajmił, iż nie odczuwa głodu, i postanowił zostać Cherea rozważać już zaczął możliwość użycia siły, kiedy jeden ze spiskowców uratował sytuację: udało mu się nakłonić cesarza do zażycia kąpeli. Kaligula wyszedł więc z amfiteatru poprzedzany paroma dygnitarzami. I tu znów niespodzianka: natknął się po drodze na trupę aktorów przybyłych z Azji i zatrzymał się, by z nimi pogawędzić; chciał nawet wracać do amfiteatru, aby natychmiast zaczęli dla niego występ. Kiedy jednak kierujący trupą począł uskarżać się na doskwierający chłód, cesarz ruszył w dalszą drogę w stronę pałacu, Tam zaś miał spotkać swych zabójców. I tutaj można sobie postawić pytanie: czyżby więc rzeczywiście był na tyle nierozważny, by przechadzać się samotnie po pałacowych korytarzach, kiedy wiedział doskonale o

zagrożającym mu niebezpieczeństwie? Czy rzeczywiście udało się zrećcznie oddalić jego germańską gwardię? Czy też -• jak twierdzi Józef Flawiusz - poszedł krótszą drogą, podczas gdy świta podążyła stałą trasą, w zasadzie strzeżoną? Pozostanie to tajemnicą. Cherea - jak powiadają - pierwszy zadał cios, który wszak i nie okazał się śmiertelny. Cesarz upadł, a pozostali spiskowcy nań się rzucili. „Leżąc już cały w skurczach - pisze Swetoniusz - wołał, że jeszcze żyje”; pozbawiono go życia z okrzykiem „dobij!”.

Spiskowcy, nie wpuszczając nikogo do pałacu pod pretekstem, iż cesarz pragnie spokoju, utrzymywali zabójstwo w tajemnicy możliwie jak najdłużej. A to ze względu na to, by pozwolić senatorom - natychmiast powiadomionym - przedsięwziąć odpowiednie środki. Następnie dlatego, że obawiali się oni reakcji ludu oraz Germanów. Ci ostatni, spostrzegłszy tumult, rzucili się na pomoc cesarzowi i znajdując go martwym, wyrzynać zaczęli w pień wszystkich, których napotkali po drodze, łącznie z nic wspólnego ze spiskiem nie mającymi dygnitarzami. Lud natomiast pozostał w amfiteatrze. Kiedy dotarła tam wieść o zabójstwie, nie chciał jej dać wiary. Rozeszła się pogłoska, iż cesarz został tylko zraniony, i chodziły słuchy, że „nie dawszy sobie nawet przewiązać ran, udał się cały zakrwawiony na forum, by tam przemówić do ludu”. W końcu przybył herold, ogłaszając oficjalnie wiadomość o śmierci cesarza. Wszyscy rzucili się wtedy w kierunku forum, domagając się ukarania zabójców. Obradujący na Kapitolu senat musiał posłać Waleriusza Azjatyka celem uspokojenia umysłów. Nie miał on zapewne łatwego zadania. Mówi się rzeczywiście, iż później, być może nazajutrz, lud niszczył posągi Kaliguli. Wiadomo jednakże, co należy sądzić o tego rodzaju wandalizmie, będącym w trzech przypadkach na cztery wynikiem działalności paru prowodyrów opłacanych przez polityków pociągających za odpowiednie sznurki. Prócz tego należy również wziąć pod uwagę fakt, że w podobnych okolicznościach nastroje tłumu wielce są zmienne. By się o tym przekonać, wystarczy ponownie przeczytać scenę, gdzie Szekspir wykazał, w jaki sposób Antoniuszowi - po zabójstwie Cezara nota bene - udało się przeciągnąć tłum na swoją stronę. Nie ulega wątpliwości (niektórzy historycy starożytności przyznają to mniej lub bardziej chętnie), że w pierwszym odruchu lud żałował cesarza. A to jest dowód, iż nie uważał go za potwora.

Zwrócono zatem „wolność” Rzymianom. Senatorowie, którzy od pół wieku liczyć się musieli ze słowami, mogli dać teraz upust swej gadatliwości. W przemowie pełnej dźwięcznych aluzji do bohaterów z przeszłości Cneus Saturninus zaproponował restaurację -republiki. Propozycja ta nie wzbudziła entuzjazmu. Ustrój republikański po sześciu dziesiątkach lat panowania systemu, o którym każdy wiedział, że czerpie swą siłę ze słabości poprzedniego, jawił się niczym niepewna przygoda. W łonie owego zgromadzenia, które - jak bieg wypadków miał tego dowieść - okazało się lekkomyślnym, uzbierałoby się zapewne nie więcej niż kilkunastu ludzi mających polityczną odwagę, by rzucić się w wir takiej przygody. Senatorów zaskoczyło powodzenie spisku: pozbyli się człowieka, którego nienawidzili, ale nie zadbali o to, kogo postawią na jego miejscu. I stąd teraz cały ten bałagan. Skoro nie chcieli republiki, to czy mają dokonać „wyboru” cesarza, który siłą rzeczy większe okaże im poszanowanie niż poprzedni, ponieważ zawdzięczać będzie swą władzę senatowi? Ale kogo wybrać? Wśród spiskowców znajdowali się co prawda kandydaci, którzy starali się nie rzucać w oczy; pozbywając się cesarza, w tym swój ukryty cel i teraz zaczynali wychodzić z cienia. Walerii Azjatyk i L. Winicjanusz w szczególności. Można się wszak domyślić jakie proporcje mogły przybrać przetargi pomiędzy tymi ludźmi, którzy mieli tyle porachunków do załatwienia. Nawet jeśli udałoby

jednomyślnie wytypować jedno nazwisko i okazać wspólną wolę, należało się jeszcze zastanowić, jakimi siłami można będzie narzucić tą kandydaturę ludowi i armii. Doświadczenie miało dowieść, iż były one znikome.

W tym samym bowiem czasie, gdy Saturninus trzymał w senacie pompatyczną przemowę, prawiąc o „podniesieniu chwały Rzymu i przywróceniu republice dawnego jej blasku i pierwszej świetności”, jeden z pretorianów zauważył wystające spod kotary stopy: stał tam Klaudiusz, stryj Kaliguli. Gwardia, która była podporą cesarstwa i z tej przyczyny czerpała niemałe korzyści, za żadną cenę nie chciała republiki. Zmiana ustroju mogła pozbawić ją wszystkiego. Teraz, gdy cesarz nie żył, potrzebny jej był nowy, i to o ile możliwe „własny”. Żołnierz ów, któremu nie brakowało oleju w głowie, spostrzegł to -niejasno w chwili, gdy wyciągnął ledwie żywego ze strachu Klaudiusza z jego niewiele mu zaszczytu przynoszącej kryjóWKi. Próbował bez większego skutku go uspokoić i zebrał wokół siebie paru towarzyszy broni, którzy przetrząsali pałacowe wnętrza. Postanowili zabrać go ze sobą do obozu, a ponieważ niewolnicy Klaudiusza czmychnęli w obawie przed najgorszym, żołnierze zanieśli go tam na własnych barkach przy akompaniamencie pełnych współczucia okrzyków tłumu, który sądził, iż wiodą go na śmierć. Mistrzowskie to było posunięcie. Gwardia miała w swych rękach człowieka, jakiego jej było trzeba i któremu nikt, zgodnie z ustanowionym zwyczajem, nie mógł odmówić prawa do sprawowania, władzy w cesarstwie. Był on bowiem, pomimo swej niezbyt świetnej przeszłości, bratem Germanika. Senat szybko zrozumiał całą wagę wydarzenia i posłał kilku swoich członków do obozu, aby nakłonić Klaudiusza, by nie „gwałcił republikańskiej praworządności” i poparł stanowisko senatu, dając mu niejaki widoki na przyszłą inwestyturę. Klaudiusz jednakże, korzystając z pomocy i rady Agryppy, który znajdował czas, by być wszędzie, nie dał się złapać w tę pułapkę. Odparł on, że „powstrzymuje go od tego siła i konieczność”!... Wobec tego niepowodzenia senatorowie zmienili metodę działania: bladym świtem posłali Chereę do obozu gwardii, aby spróbował on nakłonić ją do posłuszeństwa. Żołnierze zgotowali mu nader złe przyjęcie. I tutaj objawia się cały polityczny absurd pretensji senatorów. Mogli oni liczyć ni mniej, ni więcej jak na cztery spośród dwunastu kohort, które prawdopodobnie wchodziły w skład gwardii - a i to jeszcze zawdzięczając owo poparcie wierności paru oficerów - podczas gdy istniało ryzyko, iż szeregowi żołnierze zaczną się wkrótce solidaryzować z pozostałymi kohortami licząc na ewidentne korzyści. Niezdolni do dokonania zmiany ustroju, senatorowie nie potrafili nawet dokonać zmiany cesarza. Wobec trudności prawie natychmiast ustąpili. Ponadto lud domagał się utrzymania cesarstwa. Zresztą na placu boju zostało ich nie więcej jak setka, aby roztrząsać ważne te problemy: pozostali wyjechali przezornie na wieś... Pretorianie ogłosili Klaudiusza cesarzem. Obiecał im wypłacić po 15 000 sestercji...

Przez te dwa dni, kiedy Rzym żył w anarchii, senat sycił się uczuciem nienawiści, której bieg wypadków ukazał całą siłę. Pastwiono się nad ciałem Kaliguli. „Niektórzy - pisze Swetoniusz - wbili żelazo nawet w organy męskie”; inni pragnęli za wszelką cenę obejrzeć jego zwłoki, narażając się nawet na ryzyko śmierci z rąk Germanów, a jeden z nich, Antejusz, przyplacił to nawet życiem. I tego było za mało. Domagano się śmierci Cezonii, żony cesarza, i jej niespełna dwuletniej córeczki. Niektórzy senatorowie sprzeciwiali się tej barbarzyńskiej egzekucji, jednakże Cherea na skutek intryg uzyskał wyrok skazujący i posłał jednego z oficerów, Lupusa, by go wykonał. „Gdy ten przybył do pałacu - pisze Józef Flawiusz - zastał Cezonię, żonę

Gajusza, leżącą przy trupie męża rozciągniętym na ziemi i zupełnie pozbawionym tego, co się zwykle oddaje nieboszczykom. Była ona obryzgana krwią z jego ran i niezmiernie przygnębiona nieszczęściem, a obok niej leżała córka. W jej lamentach dawały się słyszeć tylko wyrzuty, które czyniła Gajuszowi za to, że nie chciał jej usłuchać, gdy go niejednokrotnie napominała. Już wtenczas dwojako tłumaczono sobie jej słowa, tak samo jak i dziś jeszcze, stosownie do usposobienia, słyszący je mogą w nich dopatrywać się sensu, według swego upodobania. Według jednych słowa te miały znaczyć, że radziła mu, aby zaprzestał swych okrucieństw i szaleństw w stosunku do obywateli, a rządził łagodnie i sprawiedliwie, jeśli postępując nadal w ten sposób nie chce sam siebie zgubić. Drudzy byli zdania, że gdy zaczęły się szerzyć pogłoski o spisku, ona napominała Gajusza, aby nie ociągając się, natychmiast kazał wszystkich wytracić, choćby byli niewinni, i siebie wybawił z niebezpieczeństwa... Gdy spostrzegła nadchodzącego Lupusa, wskazała na trupa Gajusza, i wśród lamentu i płaczu prosiła go, aby się zbliżył. Widząc jednak, że Lupus nie czyni tak jak oczekiwała, lecz kroczy ku niej, jakby miał popełnić coś, co w nim obudziło odrazę, zrozumiała, jaki był cel jego przybycia. Obnażyła więc bez wahania swoją szyję i wzywając bogów i ludzi [...] prosiła go, aby niezwłocznie dokonał to, co przeciw nim zamierzali. Tak to ona mężnie przyjęła śmierć z ręki Lupusa, a później zginęła jej córka." Jak królik - dodaje Swetoniusz - uderzeniem o ścianę. Morderstwo to, przy którego ohydzie błedną najokrutniejszą stronice Tacyta, nie przyniosło szczęścia Cherei. Klaudiusz, z chwilą gdy tylko objął władzę, czym prędzej uspokoił senatorów, wydając edykt, który głosił, że nikogo się nie będzie za udział w spisku ścigać - należało bowiem podtrzymać na duchu tych politowania godnych ludzi, przerażonych własną odwagą. I Klaudiusz, który nie odczuwał zbyt wielkiej sympatii do swego poprzednika, obietnicy rzeczywiście dotrzymał. Nie dotyczyła ona wszakże oficerów gwardii, dzięki którym spisek zakończył się powodzeniem. Cherea i jego przyjaciele skazani zostali na śmierć. Nie ma litości dla królobójców.

KOGO NALEŻY PODDAĆ PSYCHOANALIZIE

Po panowaniu trwającym trzy lata, dziewięć miesięcy i dwadzieścia osiem dni - jak to doskonale ujął Dion Kasjusz - „suche fakty dowiodły Kaliguli, iż nie był bogiem". Lecz czy on naprawdę kiedykolwiek za boga się uważał? Czy pod ciosami Cherei padł niebezpieczny nawiedzony, zboczeniec czy szaleniec? Czytelnik, któremu starczyło cierpliwości, by do końca prześledzić perypetie tej podstępnej walki, nie może już mieć co do tego całkowitej pewności. Dzięki faktom, którym pozwoliliśmy przemówić, nie opatrując ich żadnym komentarzem, ponieważ wymowa ich silniejsza jest od wymowy wszelkich rozważań, odnosimy wrażenie, że panowanie to przebiegało nie według tajemnych i absurdalnych praw jakiegokolwiek demencji, lecz raczej pozostawało w zgodzie z jak najbardziej przyziemną i nieubłaganą logiką: logiką walki o władzę. Jedna rzecz jest pewna: w walce tej Kaligula był głównie ofiarą, a nie katem. Nie chodzi tu wcale o to, by głowę mu spowić aureolą ani zapomnieć o tym, iż był tyranem. Był nim podobnie jak prawie wszyscy rzymscy cesarze, którzy pod tym względem różnili się jedynie z pozoru. Ale tyranem nieszczęśliwym, który prawie zawsze zadawał cios w sytuacji zagrożenia i który, pragnąc zasadzić swą władzę na podstawach demagogii, zagroził interesom mniejszości i padł jako pierwsza jej ofiara. Nie miała to być ofiara ostatnia; po nim innych cesarzy począwszy od Domicjana podobny spotka los, i to z tego samego powodu.

Pozostaje się tylko zastanowić, czy można pogodzić tę logiczną i rozsądną w swej zasadzie interpretację z okropieństwami, nikczemnością i brakiem konsekwencji, o jakich nam donoszą rzymscy historycy i które - skrupulatnie odnotowawszy barwny ich charakter - pozostawić musieliśmy na boku, aby nie zaciemniać jeszcze bardziej problemów już i tak nader zawiłych! Ów brak zgodności, czy też raczej ową krzyczącą sprzeczność, możemy najzwyczajniej w świecie wytłumaczyć faktem, że - jak to już wielokrotnie sugerowaliśmy - historycy, o których mowa, przekazali nam wysoce fantastyczną wersję wydarzeń. Po prostu najpoważniej w świecie skopiowali żarty, i żarty li tylko, gazety takiej jak „Canard enchaîné” w prosenackim wydaniu.

TRAKTAT O SZTUCE CHARAKTERYZACJI NA UŻYTEK HISTORYKÓW

W osądzie tym niewiele jest przesady. Relacja wydarzeń, przekazana nam przez Swetoniusza, Diona Kasjusza, Senekę, przez historyków żydowskich Józefa Flawiusza i Filona - jedyne źródła, jakimi dysponujemy - aż roi się od zasadniczych błędów w przedstawianiu najbardziej elementarnych faktów. Powtarza nam się na przykład, że Kaligula doprowadził babkę swą Antonię do rozpacz, następnie zaś do samobójstwa, pogardliwym traktowaniem i wyzweśkami: zamykał przed nią swoje drzwi, przyjmował ją wyłącznie w obecności prefekta gwardii, a ponieważ stale czyniła mu wyrzuty z powodu niewłaściwego sposobu sprawowania władzy (wszyscy zaś zgodnie przyznają, a rzecz to zasadnicza, iż zaczął się on dopiero przejawiać w pół roku po jego dojściu do władzy), zmusił ją do popełnienia samobójstwa. Niestety w tym, że z pewnego kalendarza niedawno odkrytego w Ostii dowiadujemy się, że Antonia umarła 1 maja 37 roku, w miesiąc po objęciu przez Kaligulę rządów, a więc w czasie, jaki uważa się powszechnie za okres, w którym Kaligula jawił się jako wzorowy władca! Józef Flawiusz zresztą dodaje jakby mimochodem - nie bacząc na to, iż popada w sprzeczność - że w czas jakiś po objęciu władzy Kaligula poszedł za radą Antonii, skądinąd zaś wiemy, iż nieobecny był w Rzymie przez część kwietnia. Pozostaje mu więc wszystkiego dwa tygodnie, by wpędzić do grobu ze zgryzoty leciwą, acz nieustępliwą damę, która niejedno już w życiu przeszła. To mało. I ogarnia nas również niejaki zdziwienie, gdy się dowiadujemy, że potwór ten, który „nie wstając od stołu” udaje, że bierze jakoby udział w kremacji zwłok babki, sprawiając wrażenie, jakby siedział na jakimś nieciekawym przedstawieniu, zadaje sobie aż tyle trudu, by nakazać nieco później uroczyste obchody urodzin zmarłej - tego bowiem również kalendarze dowodzą w sposób niezbity...

Równie zadziwiająca kolej rzeczy sprawia, iż jakieś dwadzieścia lat później zastajemy przy życiu ludzi na okrutną jakoby skazanych śmierć za czasów panowania Kaliguli. Donoszą nam także o klęsce głodu, czy też o jej groźbie, lecz nigdzie żadnych jej nie napotykamy śladów, a rzecz to z rodzaju tych, które dalibóg, w kontekście imperium, nie przeszłyby nie zauważone! Lub też jeszcze zapewnia się nas, że Druzylla, córka urodzona z czwartego związku małżeńskiego cesarza, przypominała niczym dwie krople wody swojego ojca pod względem okrucieństwa: rzucała się na swych rówieśników, próbując rozorać im twarz paznokciami i wydrapać oczy. Otóż ten postrach dzieci dokonał żywota prawie jeszcze w kołysce, w wieku czternastu miesięcy...

Naiwnością bez wątpienia byłoby przywiązywanie zbyt dużej wagi do tych omyłek. Historia oficjalna, a przynajmniej historia Rzymu, zawsze miała ich krocie, i to niepośledniego kalibru. Swetoniusz zresztą

słabość ma do plotek, rzecz to znana. Lecz czy tylko o to chodzi? Czy do właściwości omyłki - tak jak ją dziś rozumiemy - należy, że zdąża ona zawsze w tym samym kierunku? Pojawia się tutaj wątpliwość już przy samej lekturze przytoczonej powyżej historyjki na temat córki cesarza: jest ona nazbyt wyraźnie tendencyjna. Jednakże przy dokładnym studiowaniu tekstów okazuje się, iż owi historycy dawali systematycznie dowód złej woli graniczącej z bezwstydem.

Objawia się ona najpierw w dokonywanych z wyrachowaniem opuszczeniach, które całkowicie wypaczają sens wydarzeń. Dion Kasjusz na przykład pisze: „Zesłał obie swoje siostry na wyspę, najpierw je zniesławiwszy.” Zniesławił czy nie, historyk ten wszakoż zapomina dodać, iż cesarz ukarał je w ten sposób za to, że wzięły czynny udział w spisku Getulika, pomijając już fakt, iż później mąż drugiej z nich, Julii Liwilli, przystąpi jeszcze do ostatniego spisku. Tym sposobem pragnie on nam oczywiście zasugerować, że cesarz zachowuje się niczym „wyrodny brat”, iż nie ma żadnego szacunku dla więzów krwi; abyśmy zaś w to nie wątpili, autor zaraz dodaje: „Trzecia natomiast Schodzi tutaj o Druzyllę, do której cesarz - jak się nam to zresztą powtarza, nie bacząc na sprzeczność - bezgranicznie był przywiązany] umarła wcześniej.” Co pozwala domniemywać: inaczej bowiem spotkałby ją nieuchronnie ten sam los. Kaligula przewidział zapewne w mniejszym czy większym stopniu insynuacje owej kontrpropagandy, ponieważ skazując swe siostry na zesłanie, zadbał o podanie do wiadomości publicznej ich osobistej korespondencji, z której niezbiecie wynikało, że brały one udział w spisku.

O spisku Getulika nikt zresztą jakoś nie chce mówić. Dziwne. Odegrał on wszelako kapitalną rolę w rozwoju wypadków. Dion o nim zapomina, wylatuje mu on z pamięci. W słowach pełnych oburzenia napomyka tylko o egzekucji Lepidusa, współnika Getulika. Ale ten nie został według niego pozbawiony życia dlatego, iż „spiskował”. A fuj! Co za brzydkie słowo! Zginął dlatego, że „zaskarbił sobie przychylność żołnierzy”. Jak to dobrze powiedziane... Niedawno Kaligula dla kaprysu skazywał na wygnanie, teraz zabija, bo zazdrosny jest o popularność swoich dowódców, chorobliwie zazdrosny, sugerują niektórzy, starając się usprawiedliwić ową zazdrość historyjkami w stylu tych, jakie przytaczaliśmy powyżej. Zabójstwo dokonane przez psychopatę, zabójstwo metafizyczne, a nie polityczne: racja stanu nie ma z tym nic do rzeczy... Spiski zresztą istnieją tylko w umyśle Kaliguli: „Udawał - ciągle Dion Kasjusz - iż boryka się z niebezpieczeństwem i że żyje w stanie ciągłego zagrożenia”, i nie przestaje pisać do senatu, „jakoby dopiero co udało mu się uniknąć śmierci z rąk spiskowców”. A więc w sumie mania prześladowcza... Nie szczęście w tym, iż odnaleźliśmy zapisy zaświadczające bez najmniejszej wątpliwości o istnieniu owego spisku, co do którego Swetoniusz zachowuje tak daleko idące milczenie. Napomyka o nim raz jeden, tylko, a i to - szczyt wszystkiego - jakby mimochodem; w dodatku w rozdziale, nie mającym nic wspólnego z wydarzeniami, o których mowa. Można by powiedzieć, że autor bawi się, wzorem encyklopedystów, w ciuciubabkę na kartach swej książki, iżby ukryć w niej swój skarb. Żadnej aluzji do tego, że spisek ten pomieszał plany cesarza i zmusił go do bezzwłocznego wyjazdu do Galii. Wprost przeciwnie, wykorzystuje się tę okazję, by przedstawić nam wszystko w rozmyślnie absurdalnym świetle. Kaligula postanawia nagle przedsięwziąć ową gigantyczną wyprawę, „aby uzupełnić szeregi swojej gwardii Germanami!” Czy rzeczywiście pozwolił sobie na ten żart, by zakpić z ciekawskich, nie chcąc im wyjawić prawdziwego powodu

swego wyjazdu, który za wszelką cenę należało ukryć?! Wielce to możliwe, jak się o tym dalej przekonamy. Pierwszą w każdym razie inicjatywę, z jaką wystąpił przybywszy nad Ren, przedstawiono nam w świetle równie komicznym. Zaraz po przybyciu do obozowiska, „chcąc sprawić wrażenie przywódcy czujnego i surowego”, odesłał i zdegradował legatów, którzy zbyt późno sprowadzili wojska pomocnicze z różnych krajów; następnie, dokonując przeglądu armii, pod pretekstem „podeszłego wieku i niedołęstwa” odwołał z zajmowanych stanowisk większość centurionów pierwszego manipułu triariów, oficerów już dojrzałych, spośród których kilku brakowało jeszcze parę dni tylko do końca służby.

I tutaj znów skrupulatnie się przemilcza prawdziwe powody, które usprawiedliwiały te surowe decyzje i które znamy dzięki pewnej uwadze poczynionej przez Tacyta: brak dyscypliny i rozprężenie panujące wśród armii, którą dowódcy zdeprawowali, aby pozyskać sobie jej względy. Powiada nam się również, iż Kaligula, aby sprawić wrażenie zwycięzcy, bierze w niewolę własne swe wojska, lecz zapomina się dodać, że- jak to sugeruje jeden z historyków - podjął taką, na pierwszy rzut oka dziwną inicjatywę w czasie manewrów i dlatego nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Tym sposobem zestawiając ze sobą postęпки, których wyjaśnienie się przemilcza, łatwo stworzyć wrażenie absurda i pełnego sprzeczności zachowania. Technika ta jest znana. Chodzi o to, by nam wmówić, iż zachowania cesarza nie usprawiedliwia (zresztą, jeśli przedsięwzięje on to czy owo, prawie zawsze czyni to „nagle”, „niespodziewanie”). Chcąc pogłębić to wrażenie, sugeruje się nam tu czy tam parę fantastycznych motywacji. Tak więc Kaligula degradowuje centurionów pod pretekstem ich „podeszłego wieku”: z powodu kaprysu czy nieświadomości ocenia ich przydatność według tych samych kryteriów, co zwierząt pociągowych; nie wie, że prawa żołnierza postarzałego w służbie są rzeczą świętą...

Wszędzie, jakby od niechcienia, insynuuje się coś perfidnego czy pejoratywnego. Dla przykładu: „Oszczędził stryja swego Klaudiusza tylko dlatego, by tym łacniej móc się zeń naigrawać.” A przecież właśnie w Rzymie wszyscy się z niego naśmiewali od czasów Augusta i to właśnie Kaligula pierwszy dostrzegł, iż człowiek ów, którym wszyscy pogardzali, nie mniej się nadawał do sprawowania urzędów aniżeli wielu nieudolnych przedstawicieli znanych rodów - czyli pierwszy wziął go na serio!...

Prócz tych wyrafinowanych metod stosuje się również techniki uderzeniowe. Zamiast przemilczać motyw działania, zmyśla się je z premedytacją. I tak oto, według Józefa Flawiusza, „nie można by wymienić żadnego wielkiego i godnego władcy dzieła, które by zbudował dla pożytku współczesnych i potomnych, poza podjętą budową składów w okolicy Regium na Sycylii dla okrętów przywożących zboże z Egiptu. Dzieło to uważane powszechnie za największe i ogromnie pożyteczne [coś podobnego! więc jednak...] nie było doprowadzone do końca, lecz zostało zaledwie w połowie wykonane, ponieważ zajmował się nim dość opieszale. Stało się tak dlatego, że przykładął wielką wagę do rzeczy bezużytecznych i wydawał pieniądze na przyjemności, które mogły tylko jemu s a memu dogodzić, wskutek czego nie mógł łożyć znaczniejszych sum na niewątpliwie pożyteczne cele.” I chociaż urządzenie tych portów, które nawiasem mówiąc świadczyło o tym, iż - rzecz to nowa - cesarz uświadamiał sobie problemy związane z zaopatrzeniem miasta w zboże, nigdy nie zostało doprowadzone do końca, stało się tak oczywiście nie dlatego, że w dziedzinie polityki wielkich budowli cztery lata to stanowczo za mało - chociaż sam Tyberiusz przez

trzydzieści lat swego panowania zrobił dziesięciokrotnie mniej] niż jego następcą... Nie, to dlatego, iż Kaligula owładnięty był jakoby manią trwonienia, do której jeszcze powrócimy.

Najczęściej oczywiście preferuje się zdradliwe „przekłamanie” aniżeli grubymi nićmi szyte zmyślenia. Da się to odczuć na przykład w stwierdzeniu Swetoniusza, według którego Kaligula przedsięwziął swą wyprawę na granice cesarstwa, „aby uzupełnić szeregi swojej gwardii Germanami”. Musi więc w tym być pewna część prawdy; albo więc chodzi tutaj o żart - jak to sugerowaliśmy powyżej - albo też cesarz rzeczywiście skorzystał z pobytu nad Renem celem wzmocnienia szeregów swej gwardii, jakby na to wskazywał inny fragment Swetoniusza. Na prawdziwy majstersztyk w tej dziedzinie zdobywa się przecież Seneka. Z rzeczywiście zaistniałego faktu potrafi on w sposób zdumiewający wnioskować o wymagowanych konsekwencjach. Tak więc Kaligula buduje w Bajach swój słynny most na morzu. Mogłoby więc się zdarzyć, że rekwizycja statków niezbędnych do dokonania tego wyczynu, spowoduje niejakie perturbacje w zaopatrzeniu. Tryb warunkowy nie istnieje jednakże w monstrualnym świecie faktów, jakie się nam opisuje. Stosuje się od razu tryb oznajmujący. Oto więc „w Rzymie zapasów pozostało ledwo na siedem, co najwyżej osiem dni... i widać było naciągającą groźbę najgorszego z nieszczęść, jakie spotkać może obłączonych - widmo śmierci głodowej. Wzrost liczby zgonów, głód i jego fatalne w skutkach konsekwencje, załamanie się wszystkiego, omal nie stały się ceną, jaką zapłacono za to naśladowanie cudzoziemskiego władcy” (w tym wypadku Kserksesa). A jaka jest tego przyczyna? Ano naturalnie bezmyślny kaprys zaślepionego pychą potwora. Możliwe zresztą, iż rzymskie spichrze nie były w tym czasie przepelnione - jeśli rzeczywiście epizod ten miał miejsce na początku lata 39 roku - a to z powodu przednowka. Ostatecznie więc jedyna rzecz jest w tym wszystkim pewna: Kaligula kazał zbudować most ze statków przez zatokę w Bajach...

Słowem, zbędną rzeczą wydaje się fatygować czytelnika szczegółami falsyfikacji, jakie znajdujemy na każdej stronie. By się o tym przekonać, wystarczy na chybił trafił otworzyć Swetoniusza: „Tyberiusza [chodzi tu o Tyberiusza Gemellusa] niczego się nie domyślającego, zgładził nagle, nasławszy nań trybuna wojskowego.” Oczywiście, że tak nie było, i wiemy dlaczego: morderstwo to, które wchodziło w ramy czystki, posiada wszelkie znamiona działania z premedytacją. Gdzie indziej czytamy: „... swego teścia, Sylana, doprowadził do tego, że ów popełnił samobójstwo przecinając gardło brzytwą.” I tak, i nie. Przywiódł niewątpliwie swojego byłego teścia do samobójstwa. Lecz wiele przemawia za tym, iż jeśli barbarzyński ów sposób wykonania wyroku nie został całkowicie zmyślony, to przynajmniej wybrany przez samego Sylana. Jest to w sumie już nie tyle metoda gry słów, ile zdań. „Doprowadził do tego, że ów popełnił samobójstwo przecinając gardło brzytwą = Zmusił swego teścia do podcięcia sobie brzytwą gardła...”

Dion Kasjusz również potrafi najniewinniejszym czynom nadać pozory demencji. I takim oto zdaniem kończy długi opis poświęcony aferze budowy mostu w Bajach: „Kaligula dzień chciał uczynić z nocy, z morza ziemię.” Zdanie to zaskakuje: no bo, przynajmniej, nie jest to całkiem normalny odruch u cesarza. Ponownie czytamy ten sam ustęp. I cóż znajdujemy? To, iż kiedy skończyły się wreszcie dwa dni trwające pokazy wojskowe, Kaligula wydał ucztę... przy świecach: kazał iluminować zatokę i okoliczne wzgórza. Przyznać trzeba, że powiedziec „uczynić dzień z nocy” na określenie tego fajerwerku nadmorskiego *avant la lettre* to więcej niż mocne słowo: sugerują one paranoidalne delirium wielkości tam, gdzie chodzi o zwykłą

rzecz, którą Kaligula dzielił ze wszystkimi współczesnymi mu Rzymianami: o zamiłowanie do wspaniałych widowisk. Oto jak fabrykuje się szaleńców.

CZEGO DOWODZĄ FAKTY?

Ale - powie ktoś - owa zła wola jest owocem nader dobrze zrozumiałego oburzenia wobec skandalicznych czynów, które jeszcze z upływem czasu przerysowano. Kaligula to Sinobrody: po prostu przypisano mu nieco więcej, aniżeli rzeczywiście zrobił. Po to, by rozumowanie to było wiarygodne, należałoby jeszcze znaleźć w najbardziej prozaicznych faktach z okresu jego panowania obiektywne potwierdzenie niekonsekwencji i niedorzeczności, o których tyle nam się opowiada. Ponieważ potwór taki - a ten, jakiego nam się przedstawia, rządził niczym prawdziwy autokrata, interweniując wszędzie i decydując o wszystkim ani myślał powierzać troskę o zarządzanie krajem urzędnikom - nie potrafiłby pokierować przez cztery lata losami złożonego imperium, nie pograżając go w całkowitym chaosie.

Tak więc dla współczesnego badacza dziejów problem polega nie tyle na zmierzeniu dozy fikcji zawartej w kronikach starożytnych, ile na przeanalizowaniu panowania pod kątem problemów, które w jakimś podręczniku posłużyć by mogły za ramy rozdziału o osobliwym tytule Dzieło Kaliguli. Najpierw więc polityka finansowa, w tej bowiem dziedzinie zaniedbania mszczą się bardziej niż gdziekolwiek indziej. Była ona - powiadają - katastrofalna. W rok po objęciu władzy przez Kaligulę skarb świecił pustkami i cesarz, roztrwoniwszy znaczne sumy pozostawione przez Tyberiusza, zaczął rządzić pod permanentną groźbą bankructwa, którego ledwo co uniknął, odwołując się do pomocy niegodziwych i absurdalnych środków zaradczych, jakie opisaliśmy gdzie indziej.

Otóż fakty zadają kłam takiej wersji wydarzeń. Nie wdając się w szczegóły gospodarki finansowej nazbyt zapewne skomplikowanej, iżby cieszyć się ona mogła zainteresowaniem opinii publicznej, wystarczy zauważyć, że jeśli Kaligula wyrzucałby pieniądze przez okno i pozostawił finanse w stanie całkowitego nieładu, następca jego musiałby przedsięwziąć surowe środki, aby sytuację tę naprawić. A przecież nic takiego nie miało miejsca. Nie dosyć, iż - jak to zauważa Balsdon - Klaudiusz nie ustanowił żadnego nowego podatku, to jeszcze pomimo szczupłości osobistych zasobów prowadził politykę wydatków, z których część posiada charakter prawie że zbyteczny: rozdziela wśród żołnierzy gwardii sumę 135 milionów sestercji, porywa się na politykę wielkich prac budowlanych i podbojów (na początku swego panowania podejmuje na nowo zarzucony przez Kaligulę projekt inwazji Brytanii), a nawet posuwa się do tego, by zwrócić dostojnikom ukaranym przez swego poprzednika sumy, jakie im skonfiskowano z powodu sprzeniewierzenia publicznych funduszy. Skąd tedy wziął te pieniądze, skoro jego poprzednik pozostawił tylko same długi? Rozwiązanie tego problemu - ciągle według Balsdona - jest proste: „Kaligula wcale nie był niepoprawnym utracjuszem, kiedy w grę wchodziły pieniądze państwowe czy publiczne fundusze. Wprost przeciwnie - okazał się on równie dobrym finansistą jak pierwsi cesarze rzymscy. Jeden z wydanych przezeń aktów jest pod tym względem głęboko znaczący: przywrócił do życia zarzuconą przez Tyberiusza praktykę rokrocznego podawania do wiadomości publicznej stanu rachunków państwowych - *rationes imperii* - to znaczy tych, z jakich musiał zdawać sprawę jako prynceps i które dotyczyły wszelkiego rodzaju pieniędzy państwowych z wyjątkiem jego prywatnej szkatuły, patrimonium. Decyzja to znamienita. Nienawidził on

wszelkiego rodzaju przejawów obłudy - i sam niczego nie ukrywał. Możemy więc na bok odłożyć myśl, iż zostawił finanse publiczne w jeszcze bardziej opłakanym stanie, niż kiedy przejmował rządy.

Co się tyczy finansów prywatnych natomiast, z niemałym trudem przyszło mu z pewnością podołać wydatkom związanym z organizowaniem ekstrawaganckich widowisk i uciech, w jakich się lubował - a lud rzymski wraz z nim: kiedy mówi nam się o licytacjach, jakie organizował, chodzi tutaj zawsze o jego majątek prywatny, o jego gladiatorów, o jego konie, o mienie jego sióstr."

Owo rozdzielenie finansów publicznych i szkatuły prywatnej cesarza, którego historycy starożytni zdają się nie dostrzegać, nie ma w sobie nic wyjątkowego ani nieprawdziwego. W rzeczywistości „szalone wydatki”, jakie się wyrzuca cesarzowi, nigdy nie dotyczą budżetu państwowego w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Raz chodzi tutaj o cesarski zbytek: pełne wyrafinowania urządzenie łaźni, wykwintność posiłków, w czasie których spożywa - jak powiadają - rozpuszczone w occie perły. To znów o widowiska, jakie urządza dla ludu, a zwłaszcza o walki gladiatorów, którymi szafuje tak rozrzutnie, że improwizuje je niekiedy na prośbę gapiów. Otóż wydatki związane z tego rodzaju widowiskami, które są przejawem hojności, na jaką władca zdobywa się wobec ludu „tytułem prywatnym”, obciążają oczywiście jego kiesę osobistą. Aby zatkać dziury, jakie w wyniku tego powstawały w jego budżecie, zdarzało się Kali-guli wystawiać na licytację gladiatorów, którzy cało wyszli z walki, co pozwalało mu zmusić arystokrację do pośredniego partycypowania w finansowaniu jego hojności względem ludu, mimo że ta zbytnio za tym nie przepadała. Ponieważ zaś od licytacji tego rodzaju nie można było się wymówić, nie uwłaczając cesarzowi, „grzeczność” takowa (w tym przypadku - jak i w innych - tyrania opierała się na niepisanym prawie; nic nie jest obowiązkowe, a zarazem wszystko) drogo ją tedy kosztowała...

Jest więc rzeczą prawdopodobną, iż w dziedzinie widowisk zwłaszcza, bardziej ze względów politycznych aniżeli dla rozrywki - nawiasem mówiąc, nigdzie nie mamy wzmianki, żeby Kaligula przejawiał w stosunku do walki na arenie, jak Druzus czy Klaudiusz, isticie sadystyczną namiętność - cesarz z przesadną rozrzutnością trwonił pieniądze. Jednakże, podobnie jak „szczerozłoty Cadillac” nie może dziś doprowadzić do ruiny żadnego z supermocarstw, tych parę pereł w tajemniczy sposób rozpuszczanych w occie (miejmy nadzieję, w trosce o zdrowie cesarza, iż nie połykał ich pięćdziesiąt dziennie), owe zastępy gladiatorów również nie mogły zachwiać równowagi budżetu państwowego.

Takie same stwierdzenia narzucają się również w innych dziedzinach, zwłaszcza zaś w sprawach zarządzania imperium. Nigdzie ani śladu bałaganu, z wyjątkiem Palestyny, gdzie nie sposób się było go ustrzec i gdzie zresztą Kaliguli udało się uniknąć najgorszego, czym nie mogą się poszczycić jego następcy. Stabilizacja to tym bardziej godna uwagi, że cesarz nie poprzestaje na rutynowym działaniu sprawdzonej długimi latami praktyki administracji. Wszędzie interweniuje w sposób czynny. Afryka daje miarodajne świadectwo zasięgu owej działalności, nie mówiąc już o Wschodzie, gdzie napór Partów na nieustalone granice stwarzał problemy delikatniejszej jeszcze natury aniżeli nad Renem.

Od kilkudziesięciu lat Rzym stawiał tam czoło okresowo wzmagającej się działalności partyzantce dowodzonej przez niektórych z naczelników numidyjskich plemion. Był to klasyczny, z natury rzeczy trudny do rozwiązania problem ciężkozbrojnej, regularnej armii borykającej się z nękającymi ją nieuchwytnymi, mało liczebnymi oddziałami, którym sprzyjały rozległe, pustynne tereny. Problem pogłębiony jeszcze przez

nieudolność rzymskiej administracji: Afryką nie zarządzał mianowany przez cesarza legat, lecz prokonsul wybierany przez senat. Rutynowo działający senatorowie posyłali tam namiestników małego lotu, podczas gdy potrzebny był dowódca zręczny i doświadczony. Kiedy zaś cesarz ponaglał senat do wyboru nieco bardziej trafnego, padał on na człowieka cieszącego się największymi łaskami, a nie najzdolniejszego. Tak się też stało, gdy Tyberiusz, zniecierpliwiony zapewne tym niezgulstwem, domagał się nominacji „prokonsula obeznanego z rzemiosłem wojennym, solidnej konstytucji fizycznej i który by zdołał znieść trudy owej kampanii”, wysuwając nazwisko Marka Lepidusa i Juniusza Blezusa. Senat wybrał oczywiście Blezusa, ponieważ był on stryjem Sejana znajdującego się wówczas u szczytu swej potęgi. Tak się akurat zdarzyło, iż Blezus nie okazał się wcale zupełnym zerem. Utworzył ruchome jednostki i ustanowił dość skuteczny system kontroli kraju, jednakże do czasu jego powrotu z Afryki, Takfarynas, dusza i organizator rebelii, nadal przebywał na wolności: problem więc pozostawał.

Kaligula, mając na uwadze zaistniałą sytuację, zreorganizował dowództwo afrykańskiej prowincji. Obszary nadmorskie pozostały jak poprzednio pod zarządem prokonsula wybranego przez senat. Terytoria przygraniczne natomiast, gdzie należało stawić czoło problemom natury wojskowej wynikającym z trwającej rebelii, powierzone zostały legatowi mianowanemu przez cesarza i jemu tylko podlegającemu. Senat naturalnie chciał w tym jedynie widzieć autokratyczny aspekt reformy, dzięki której Kaligula uszczknął nieco z prerogatyw, jakie senatowi pozostawił August. Jednakże z całą powagą przyznać przecież należy, że - abstrahując od reperkusji wewnętrznych - reforma ta w gruncie rzeczy zgodna była z interesami imperium.

Podobnie sprawa się ma z reformami dokonanyymi w Mauretanii, którą cesarz przekształcił w prowincję rzymską, kazawszy uprzednio z niejasnych powodów zgładzić króla Ptolemeusza, jednego z tych sprzymierzeńców, za pośrednictwem których Rzym zapewniał sobie kontrolę nad terytoriami pogranicznymi przysparzającymi mu wiele kłopotów. Inicjatywa to użyteczna, jeśli już nie konieczna, która pozostawała w zgodzie z racjami strategicznymi (ochrona prowincji afrykańskiej przed partyzantką, o jakiej wspominaliśmy) i administracyjnymi; dzięki niej osadnicy przybyli do Mauretanii podlegali biorącemu ich w opiekę bezpośredniemu zarządowi Rzymu. Natomiast, kiedy wymaga tego interes Rzymu, lub przynajmniej to, co cesarz uważa, iż leży w interesie rzymskim, Kaligula nie waha się przekształcać w królestwo, jak to uczynił na Wschodzie, terytoriów, które do tej pory znajdowały się pod bezpośrednim zarządem Rzymu. Są to reformy, których jego następcą Klaudiusz, nieprzychylnie doń przecież usposobiony, bynajmniej nie zniósł.

Kiedy uświadomimy sobie to wszystko, nie musimy już rozwodzić się nad tym, że Kaligula rozbudować kazał porty, przedsięwziął budowę akweduktów i zamierzał przekopać kanał przez Przesmyk Koryncki. Polityka tak rozważna nie mogła zatem być dziełem ani człowieka nieudolnego, ani szalonego.

KTO POCIĄGA ZA SZNUREK?

Można więc z całą pewnością stwierdzić, iż pomiędzy faktami i obrazem panowania takim, jaki nam przekazały kroniki, istnieje nie tyle zwykły rozziw wynikający z mniej lub bardziej świadomej stronniczości historyków, ile istna otchłań. Mamy wrażenie, że opowiada się nam historyjkę „dla postrachu”, opowieść o wilkołaku. I to wcale nie, przynajmniej nie tylko, z zamiłowania do baśniowych opowieści. Jak

to często bywa, za opowieściami tego rodzaju kryją się motywacje całkiem prozaiczne. Zasadniczy bowiem klucz „przekłamań”, jakich Kaligula padł ofiarą, tkwi w fakcie, iż historycy (zwłaszcza Swetoniusz i Dion Kasjusz, którzy tworzyli kolejne sto i dwieście lat po opisywanych wydarzeniach) sami czerpali wiadomości z kronik zredagowanych w jakiś czas po śmierci cesarza, i to bez większego rozeznania, albowiem kroniki te były - jak to przyznaje sam Tacyt, którego ksiąg dotyczących czasów Kaliguli niestety brakuje - całkowicie wypaczone przez przeróżne namiętności. Jest to historia „pisana na gorąco”. I rzeczywiście niektórzy oczerniali pamięć Kaliguli w celu przypodobania się Klaudiuszowi, jego stryjowi i następcy. Oczernianie panowania poprzednika i potępienie jego tyranii po to, by przypodobać się nowemu władcy, w którym gromko witano wyzwoliciela, stało się w Rzymie za czasów cesarstwa prawie powszechnie stosowaną regułą. I nic w tej dziedzinie nie było przesadą, uciekano się do najbardziej wyrafinowanych kalumnii. Nasze odzwyczajone od hipokryzji właściwej monarchiom umysły nie mogą tego pojąć. Jest to jednak poniekąd zrozumiałe: w Rzymie, jak na każdy innym dworze, roi się od pochlebców, prześciganie się w pochwalac jest tutaj zasadą gry.

Gdy bada się historię tamtych czasów, nie należy zatem traci z oczu faktu, iż z wyjątkiem paru przypadków szczególnych historyk, który by sobie pozwolił, za panowania jakiegoś cesarza, na wychwalanie poprzedniego czy też na „występowanie w jego obronie”, podpisałby tym samym na siebie wyrok skazujący go na wygnanie. Nie to jest jednak wyjaśnieniem o znaczeniu zasadniczym. Tkwi ono w fakcie, że inni autorzy redagujący owe kroniki, i to zapewne wywodzący się spośród osób cieszących się największym uznaniem, sami należeli do kręgów senatorskich, których odzwierciedlali namiętności, uprzedzenia, nienawiść. Tak też i było mianowicie w przypadku Kluwiusza Rufusa, senatora, którego księgi cieszyły się dużym autorytetem i który, aczkolwiek sam nie wchodził w skład spisku z 41 roku, to przynajmniej o nim wiedział. Na krótko bowiem przed zamordowaniem Kaliguli jeden z kolegów zapytał go w teatrze, gdzie rozegrało się to wydarzenie, „czy o niczym nie słyszał”. Na co Kluwiusz odparł mu w słowach świadczących o jego dobrym wychowaniu, lecz nader jasnych, by się lepiej ugryzł w język, albowiem nie pora na zwierzenia.

To zaś lepiej pozwala zrozumieć, dlaczego zasadnicze fakty dotyczące panowania Kaliguli do tego stopnia zostały zdeformowane i dlaczego nie poświęca się ani jednej linijki spiskowi Getulika. Przyznać, iż senat spiskował od trzech lat, znaczyłoby usprawiedliwić gniew i surowość Kaliguli oraz przyjąć, że nie były one bezpodstawne, że uderzył, by się bronić. Trzeba więc przystąpić do wyjaśnień. To zaś było nader kłopotliwe. Nie, oczywiście, senat nigdy nie spiskował. Z wyjątkiem jednego jedyne go razu, tego ostatniego. Zastanówmy się jednak. Miał on po temu prawo, ponieważ przez trzy lata tolerował człowieka, którego tyrania i okrucieństwo przechodziły ludzkie pojęcie.

Z racji tej samej szczególnej logiki, o jakiej pisaliśmy na początku tej książki, cesarz musiał być potworem we właściwym tego słowa znaczeniu. Z Tyberiusza zdołano tylko zrobić okrutnego zbrodnicę. Ze względu na swoje przesadnie osobiste poczucie pojęcia państwowości, ze względu na swój okrutny humor Kaligula narażał się na oskarżenie o wiele poważniejsze: można go było uczynić szaleńcem, niebezpiecznym, niepoczytalnym osobnikiem. Społeczeństwo rzymskie, podobnie jak każde inne - dając przykład zachowania, którego mechanizmy doskonale już przeanalizowano za naszych czasów - pozbywało

się zawałidrogi, oskarżając go o szaleństwo.

O szaleństwo krwiożercze, naturalnie, ponieważ sama natura tego ustroju implikowała tę obciążającą okoliczność. To właśnie u Seneki, który również żył w czasach współczesnych owym wydarzeniom, w jakie został z przeróżnych powodów wplątany, przejawia się najwyraźniej w podtekście wątek owej nader poważnej mistyfikacji, która miała na celu uczynić z cesarza potwora. Albowiem, gdyby nim nie był, postawa senatu stałaby się, z politycznego punktu widzenia, nie do usprawiedliwienia - czyż można się bowiem pozbywać cesarza tak, jak pozbywa się człowiek niezdatnego sługi? - i moralnie zdrożna. Cesarz jest więc potworem, i to przede wszystkim z wyglądu. Sam portret zewnętrzny Kaliguli, jaki nam przekazuje Seneka, jest tu wielce wymowny: „Taka ohydna była u niego bladeść policzków, zdradzająca szaleństwo, taka odstrasżająca dzikość oczu ukrytych pod czołem starej kobiety, taka brzydota łysej głowy, po-pstrzonej tu i ówdzie włosami, i to jak gdyby wyżebranymi. Dołącz do tego kark gęsto zarosły szczecią, chudziźnie pieszczeli zakończonych stopami potwora.” Aż się człowiek po tym wszystkim zaczyna zastanawiać, czy nie miał on także haczykowatego nosa... Obraz psychiczny cesarza pokrywa się z tym, co o nim wiemy: „... rzuca obelgi na rodziców i dziadków”. Prócz tego mówi nam się nieopatrznie gdzie indziej (wszystko bowiem, co się tyczy Kaliguli, pojawia się tu i ówdzie w całej twórczości Seneki), „że kazał spustoszyć dwór wiejski, najwspanialszy w okolicach Herkulaneum, ponieważ niegdyś trzymana tam była pod strażą jego matka”, co świadczyć by raczej mogło o przesadnym wręcz przywiązaniu do rodziny. Ponadto powtarza nam się aż do znudzenia - ciągle ten motyw potwora - iż cesarz zadaje cierpienie dla przyjemności i że jest okrutny z natury.

"Wszystko to wszakże jest banalne. Oryginalność propagandy uprawianej przez Senekę polega na tym, iż wykracza ona poza ramy anegdoty i osiąga poziom politycznej spójności. Albowiem jej myślą przewodnią, ciągle powtarzaną, jest to, że Kaligula prześladował wszystkich Rzymian bez wyjątku (*universos ordines*), a więc nie tylko senatorów, lecz także arystokrację i plebs, i że przez wszystkich w równej mierze był zniechęcony. Dlaczego aż tak się to podkreśla? Oczywiście dlatego, iż tak powszechna nienawiść implikuje, (gdzież by wszak ktoś śmiało powiedzieć to otwarcie!), że senat, zgładzając cesarza, nie działał z pobudek egoistycznych, jakby ktoś złośliwie mógł to insynuować, lecz w interesie ogólnokrajowym, w interesie wszystkich; iż zrobił tylko to, co do niego należało.

Taka wizja rzeczy, jak to już niejednokrotnie podkreślaliśmy, stoi wszakże w formalnej sprzeczności z faktami. I to w sposób tak rzucający się w oczy, że żydowski historyk Józef Flawiusz musiał - zapewne dlatego, iż przytacza wydarzenia szczegółowo, zamiast przedstawić je tylko pobieżnie - zdawać sobie z tego sprawę i widocznie go to krępowało. Aby bowiem usprawiedliwić zachowanie się zabójców Kaliguli, zmuszony jest parokrotnie przyznać, że obawiali się oni, iż lud ujmie się za cesarzem. Pisze on zresztą czarno na białym, że kiedy wieść o śmierci cesarza dotarła do amfiteatru, lud nie chciał w nią uwierzyć, „ponieważ jej nie pragnął”. Wyznanie to nader kłopotliwe, które trudno pogodzić z ową tezą o powszechnej nienawiści, jaką nam się kładzie do ucha... Nasz autor pośpiesznie wymazuje ją więc za pomocą naprędce zgromadzonych środków, które nie są nader błyskotliwe: lud, który nie pragnie śmierci cesarza, to lud zły.

Składa się on „z żołnierzy, kobiet, młodzieży i niewolników”. Z żołnierzy - bo prócz pobierania żołdu mieli oni również swój udział w tyranii i grabieżach tego zniechęconego cesarza, który dozwalał im

bezkarnie łżyć dobrze urodzonych ludzi; z kobiet i młodzieży - ponieważ znajdowali oni przyjemność w różnego rodzaju widowiskach, w walkach gladiatorów, korzystali ze szczodroblewości i innych rozrywek, jakich nie szczędził im Kaligula pod pretekstem chęci zadowolenia ludu, w rzeczywistości zaś, iżby upust dać własnemu okrucieństwu i szaleństwu; i z niewolników - wolność bowiem, jaką ich obdarzał, dozwalała im nie tylko gardzić, ale również fałszywie składać świadectwo przeciwko swojemu panu.

Abstrahujmy od nieprawdopodobieństwa i bezzasadności owych wyjaśnień, które Józef Flawiusz znalazł już być może gotowe w Dziejach Kluwiusza Rufusa, wzmiankowanego już powyżej historyka, który wyrażał niewątpliwie poglądy kół senackich, których zasadniczą część da się streścić, jak następuje: 1. „populistyczna” polityka cesarza była niczym innym jak tylko pretekstem do żartów; 2. w konsekwencji zaś mogła ona cieszyć się jedynie poparciem mętów społecznych, wszystkiego tego, co nie nosiło miana „obywateli rzymskich”.

Nie trzeba dodawać, że Seneka podziela ową szczególną formę politycznej wrażliwości. Był on blisko związany z wrogami cesarza, a w szczególności z klanem Agryppiny, do którego jeszcze powrócimy. Był nawet kochankiem Julii Liwilli, drugiej siostry Kaliguli, skazanej na wygnanie po spisku Getulika. Stosunki te czyniły zeń osobę politycznie podejrzaną i zdaje się, iż Kaligula darzył go wystarczająco dużą dozą szacunku, by skazać go na śmierć. Uratowała go *in extremis* interwencja jednej z kochanek cesarza, która jakoby powiedziała, że niepotrzebnie został skazany, bo i tak sam wkrótce umrze, skoro dotknięty jest nieuleczalną chorobą. Dwie przynajmniej racje przemawiają za tym, by podać w wątpliwość fakt, iż ów wyrok istotnie miał miejsce. Pierwsza z nich to, że piękną było rzeczą dla filozofa miłującego cnotę uważać się za ofiarę owej idealnej tyranii, w którą wyobraźnia jego zapewne ostatecznie uwierzyła. Druga, iż całkiem po prostu Kaligula nie lubił pisarstwa Seneki. Powtarzał publicznie - a miał w sobie wystarczająco dużo finezji, by zrozumieć, że łącniej w ten sposób ukarze filozofa, niżli czyniąc zeń męczennika - iż utwory jego to „czcza gadanina”, frazeologia deklamacyjna i - co sam powiadał - „jakby piach bez wapna”. Tymczasem twierdzi się, że Kaligula chciał skazać Senekę na śmierć dlatego, iż był zazdrosny o jego styl i talent oratorski. Nieprawda to tak oczywista, że podaje ona poważnie w wątpliwość sam fakt.

Z tych samych powodów osobistej nienawiści staje się w najwyższym stopniu podejrzaną inne ważne źródło, jakie historycy mieli do swej dyspozycji: a mianowicie Pamiętniki Agryppiny, matki Nerona. Miała ona wystarczająco dużo czasu, by je spisać, albowiem brat posłał ją na wygnanie. Nie dotrwały one do naszych czasów. Wielka szkoda. O życiu owej kobiety - tej „drugiej Liwii”, jak powiada Pierre Grimal - wiemy tylko, iż zrobiła oszałamiającą karierę, która poprzedziła tragiczny jej koniec. Słowo kariera nie jest nazbyt mocne, chciała bowiem panować w pełnym blasku niemalże i stać się w cesarstwie osobą „oficjalną”. Udaje jej się - a Bóg jeden wie, jak zażarta tu była konkurencja - poślubić cesarza Klaudiusza, swego stryja, pogwałcając prawo, które zabraniało tego rodzaju związków. Dajmy jednak pokój prawu. Agryppina zewsząd uzyskuje poparcie, przede wszystkim stronnictwa senatorów. Zostawszy cesarzową, organizuje zgładzenie Brytanika i Junii - dzieci, które Klaudiusz, miał z Messaliną - oraz wszelkimi sposobami „udziela poparcia” synowi swemu, Neronowi. Kiedy dochodzi do wniosku, iż odpowiednia chwila nadeszła, każe Klaudiusza otruć. Rzym akłamuje Nerona. Agryppina dopięła swego. Jest matką całkiem jeszcze młodego cesarza. Nareszcie wyjdzie zza kulis, sprawować będzie rządy *de facto* i *de iure*. I nagle wszystkie jej plany

biorą w łeb: zewsząd sypią się ataki, zakazuje się jej przebywać na dworze, przepędza. Pokonując strach, Neron, który pragnie rządzić sam, postanawia ją zgładzić. Zostaje matkobójcą, lecz stoi za nim Racja Stanu: było rzeczą nie do pomyślenia, żeby w Rzymie jakaś kobieta, jakiegokolwiek mogły być jej prywatne związki z człowiekiem czy ludźmi znajdującymi się u władzy, domagała się objęcia w państwie oficjalnego stanowiska! Toteż Senece bez większego trudu przyjdzie w skierowanym do senatu adresie usprawiedliwić mord: Agryppina pogwałciła tabu.

Mniej jednak znamy niezbyt chwalebne początki owej rozpoczętej w wieku lat dwudziestu kariery, w trakcie której Agryppina nauczyła się cnoty, jakiej jej matka, zżerana przez tę samą ambicję, nigdy nie posiadała: cierpliwości. Od chwili objęcia władzy przez Kaligulę stara się wyrobić sobie odpowiednią pozycję i prosi cesarza, by został ojcem chrzestnym syna, którego niedawno powiła za sprawą Domicjusza Ahenobarbusa. Ma wówczas dwadzieścia dwa lata. Jednakowoż z powodu owej nienasyconej żądzy władzy, czy też z jakiegokolwiek innej przyczyny, cesarz jej nie lubi. Fuka na nią, złośliwie proponuje nadać jej synkowi, któremu ona starała się przydać od kołyski owej specjalnej łaski, jaka predestynowała by go do objęcia władzy w cesarstwie, imię Klaudiusz, które zważywszy na osobę tego, który je nosił, stało się istnym symbolem niezdatności do sprawowania władzy. W gruncie rzeczy imię, wcale nie było takie złe... Młoda matka inne ma jednak na ten temat zdanie. A skoro pochlebstwo nie skutkuje, zaczyna knować. A może zaczęła już wcześniej. Bierze stronę spiskowców: Getulika, Lepidusa. Ciąg dalszy znamy. I to wszystko w zmovie z jedną ze swych sióstr: mają one wspólnego wroga, Druzyllę, którą cesarz szczególnie wyróżnia, obsypuje zaszczytami, darzy uczuciem, mami widokami na przyszłość, i która aż do śmierci, w 38 roku, zagradzać im będzie drogę. A może nawet dłużej, jeśli przyjmiemy - sądząc po głębokiej żalobie, w jakiej cesarz się pogrążył - iż była ona dla niego jedną z tych osób, których nie da się zastąpić. Można sobie wyobrazić, do jakiej nienawiści zdolna była w podobnych okolicznościach młoda kobieta pokroju Agryppiny. Pamiętniki stały się dla niej z pewnością okazją wyrównania rachunków z tym nie skrywającym swej dla niej pogardy bratem i ową siostrą, o którą tak bardzo była zazdrosna. Czy to na przykład nie w jej zgorzkniałej wyobraźni zrodziły się post factum pogłoski o kazirodczym związku łączącym cesarza z Druzyllą? Można sobie postawić takie pytanie. Tym bardziej że - aby przydać wiarygodności temu oskarżeniu - chodzą słuchy, iż Kaligula, niejako mimochodem, zgwałcił również pozostałe swe siostry. A potem je posłał na wygnanie. Czytając raporty, odnosi się nawet wrażenie, że zgwałcił je tylko po to, by je potem zesłać - a więc ciągle miota nim ten sam demon perwersji. Tak czy inaczej, przypomnieć należy, iż co się tyczy kazirodztwa, Agryppina nie miała czego zazdrościć bratu. Ponieważ oprócz kazirodczego związku, jaki zalegalizowała przez swe małżeństwo z Klaudiuszem, nie zawahała się później, gdy poczuła, że traci wpływ na syna swego Nerona, oddać mu się, próbując wpływ ten zachować. O ile oczywiście nie chodzi tutaj o kalumnię, jaką historia odpłaciła jej pięknym za nadobne...

INNY WYMIAR

Wszyscy historycy, w tym również Swetoniusz, który zasługuje na szczególną uwagę, czytali te skażone prywatną nienawiścią czy politycznymi namiętnościami dokumenty, których szczegóły umykają nam dzisiaj. Jak dowiódł tego - dawno już temu - Alcide Mace, Swetoniusz, opisując panowanie Kaliguli i jego

następców, w zasadzie nie posłużył się archiwami oficjalnymi, do których miał dostęp, aczkolwiek często się na nie powołuje, pisząc o czasach Cezara i Augusta. Czy zabrakło mu czasu, kiedy nagła niełaska cesarza pozbawiła go stanowiska sekretarza, jakie piastował przy Hadrianie? Mało to prawdopodobne, a poza tym, jeśli nawet nie posługuje się dokumentami dotyczącymi Kaliguli, to przecież je zna, ponieważ pisze takie oto zdanie na temat jego urodzenia: „Ja w urzędowych dokumentach znajduję, że urodził się w Ancjum.” Czyż mógł więc nie znać dokumentów dotyczących spisków, na których ślad natrafiliśmy? Mało to prawdopodobne. Odnosi się raczej wrażenie, iż postanowił się nimi nie przejmować i zgodnie z przyjętą tradycją hołdować tezie o cesarzu-potworze.

Stanowisko takie dziwi nieco u historyka, którego stać na obiektywizm. Roger Vailland próbował niegdyś owo stanowisko wyjaśnić i usprawiedliwić. Dzieło Swetoniusza - powiada on mianowicie - jest dziełem politycznym. Swetoniusz kolekcjonuje fakty jak najbardziej nieprawdopodobne, -opowieści jak najbardziej prowokacyjnej wyłącznie po to, by tym łacniej móc się rozprawić z cezaryzmem, który to ustroj oskarża implicite o krwiożerczą demagogię. Z owych| usznię podanych potworności, którym przez ostrożność nadał pozory bezładnej zbieraniny faktów, doświadczony czytelnik może wyłowić prawa cezaryzmu:

„Odwracam się nagle, by sprawdzić, czy Swetoniusz nie mruga porozumiewawczo do swego sobowtóra, stojącego za moimi plecami. Jednostajny ton, monotonicznie snuta opowieść o tylu morderstwach, torturach i szaleńczych przedsięwzięciach, podejmowanych na skalę cesarstwa, przybiera uroczyście i zatrważający charakter powracającego każdej nocy wciąż tego samego koszmaru. Zamykam się sam na sam ze Swetoniuszem; zaznałem już kiedyś takiego stanu otępienia, oblewania się potem podczas lektury *Juliette ou les prosperites du Vice* (Julia, czyli drobrodziejstwa grzechu). Przemógłszy strach, czytam uważnie tekst i nie mogę się oprzeć uczuciu zdziwienia. Erudyta Swetoniusz, ten skrupulatny archiwista, ów kolekcjoner fiszek stali pozostaje w jednym rozdziale w sprzeczności z tym, co powiedział w poprzednim, a często nawet i w tym samym, lecz uchodzi to łatwo naszej uwagi z powodu wielkiego nagromadzenia faktów.”

Przytoczywszy kilka przykładów tych sprzeczności, Vailland twierdzi, że nie będąc bynajmniej przypadkowymi, stanowią one „świadomie wybrany środek wyrazu. Wyobraźmy sobie Swetoniusza czytającego swój manuskrypt beznamiętnym głosem. Słuchaczowi trudno się powstrzymać od makabrycznego śmiechu. Zakrawające na obsesję powtórzenia, popadanie w sprzeczność graniczącą z czarnym humorem, i wszystko staje się jasne: Swetoniusz to nie kompilator, jego erudycja jest ledwie środkiem albo pretekstem.” W dziele jego nie należy widzieć „pełnej anegdot opowieści z czasów panowania dwunastu pierwszych cesarzy, lecz historyczne i krytyczne studium zjawiska, które na ogół kładzie kres demokracji: cezaryzmu. Wszystko tu gotowe. Dokonał on, faza po fazie, stadium po stadium, analizy sposobu kształtowania się, następnie nieuniknionego rozwoju cezaryzmu. Jednakże ogarnął go strach; żyjąc pod tyranią czternastego z cesarzy, przeraził się odkryciem mechanizmu władzy dwunastu pierwszych; bogowie i władcy strzegą niczym żrenicy oka obłoków spowijających ich sztuczne gromy; śmierć intelektualistów, który spokojnie wyjaśnia: taka jest nieuchronna kolej rzeczy. Swetoniusz zaciera więc ślady, skrywając pod postacią każdego z cesarzy cechy charakterystyczne dla całego ustroju cesarskiego. Jego manuskrypt trzeba traktować niczym swego rodzaju układankę. Być może należy go czytać nie tyle biografia po biografii, ile słowo po słowie...”

To spojrzenie, nazbyt schematyczne oczywiście, prowadzi autora do budzących wątpliwość interpretacji.

Kiedy pisze on na przykład o Kaliguli: „Pożeracz pereł i złota; próżno by bardziej posiąść swe bogactwa, niż je trawiąc, to zmysł posiadania posunięty do maksimum” czyż nie mamy tutaj raczej do czynienia z czymś wręcz odwrotnym, ze zmysłem „trwonienia”, rozumianym jako luksus największy, luksus „jałowy”, dzięki któremu uwalnia się właśnie człowiek od prozaizmu tkwiącego w zmyśle posiadania? Oczywiście ten punkt widzenia, nad którym nie warto się dłużej zastanawiać, jako że co innego nas interesuje, zawiera w sobie najogólniej mówiąc część prawdy. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż przy największym obiektywizmie nie można się dopatrzeć u Swetoniusza potępienia cezaryzmu. Klucz ten jednakże - nawet przyjmując go za właściwy - nie jest zapewne ani jedynym, ani najważniejszym.

Swetoniusz pisał także, i być może przede wszystkim, odwołując się do pewnej tradycji literackiej. Przed nim historycy interesowali się prawie wyłącznie publicznym wymiarem swych bohaterów. Pokazywali nam ich na forum, w senacie, wśród zgiełku bitewnego na polu walki. To cały fresk. W domenę życia prywatnego zapuszczali się jedynie wtedy, gdy miało to bezpośredni związek z nieszczęściem, jakie spotyka ojczyznę: tu bohaterska matka, tam wdowa. Śmierć jest tu niekiedy teatralna, nigdy malownicza czy opisana szczegółowo. Oddaje się ją suchym ablativusem: Ferro - „od miecza”. Siłą rzeczy. Jednostka jest niczym. Ucieleśnia ona, ledwo na parę godzin, heroizm podboju. Nikt się zgoła nie interesuje tym, co jej właściwe, ani sposobem, w jaki schodzi ona ze sceny życia.

I otóż wraz z nadejściem czasów cesarstwa historia karłowacieje, podbój zaczyna cierpieć na zadyszkę. Karuzela bohaterów, którzy z hukiem wkraczali i schodzili ze sceny, przestaje się kręcić. Wszystkie oczy wlepione są w Osobę Cesarza. Historia staje się biografią. Bada się wnikliwie najdrobniejszy szczegół. Tu umiera się leżąc na ziemi jak zwierzę, przy akompaniamencie żołdeckich obelg; ówdzie ktoś podcina sobie brzytwą gardło czy też umiera od trucizny. Wiele jest rodzajów trucizn, to broń alkowy. I mroki jej interesują Swetoniusza w najwyższym stopniu. Pisze on historię od podszewki. Chętnie przyjmuje za prawdziwe to, co niewiarygodne, zagmatwane, pełne sprzeczności. Skrzętnie wystrzega się oglądania wydarzenia ze wszystkich stron. Wprost przeciwnie. Znaczyłoby to śmierć dla poezji faktów, jaką on właśnie pragnie zachować. To poeta i, jak każdy poeta, wystarcza sobie samemu. Dlatego też jeszcze dzisiaj czytamy go z przyjemnością graniczącą ze zdziwieniem, nie zastanawiając się zbytnio nad tą zaskakującą prozą: „[Kaligula] szczególnie cierpiał na bezsenność. Nie sypiał w nocy więcej niż trzy godziny. Nawet wówczas nie zażywał spokojnego odpoczynku, lecz zakłócały mu sen dziwne widziadła, jak dla przykładu: oto między innymi raz mu się wydawało, że widzi morze w postaci ludzkiej i rozmawia z nim. Znużony czuwaniem i leżeniem, to przez większą część nocy przesiadywał w łóżku, to błakał się po długich portykach, bezustannie wzywając i oczekując świtu.” Morze w postaci ludzkiej... Słyszane to rzeczy?!

Oczywiście, historia w zasadzie na tym traci. Przynajmniej w dosłownym znaczeniu. Zgłębiwszy bowiem rzecz do końca, spostrzegamy, iż zamilowanie do rzeczy dziwnych i monstualnych, którym przeniknięta jest cała twórczość Swetoniusza, pojawia się w Rzymie (gdzie przed nim znano w tej dziedzinie wyłącznie „cuda”, nad którymi - co mu się właśnie wyrzuca - nazbyt przesadnie się rozwodził) dokładnie w opisywanych przezeń czasach. W zdominowanej przez najbardziej prozaiczny realizm i najbardziej nieprzparty rygoryzm cywilizacji wyobraźnia bierze swój odwet. Nie tylko tam, gdzie winna się pojawić - w literaturze i w sztukach pięknych, coraz bardziej podatnych na cudaczne elukubracje, wykwentne subtel-

ności sięgające w malarstwie samych szczytów abstrakcji. Lecz również w rzeczywistości, wraz z rozkwitem kultów wschodnich, długo zwalczanych przez państwo wrogie każdej formie religii angażującej osobę ludzką, które teraz dają wyżynom społecznym pretekst do każdego rodzaju rozprzężenia, do wszelkiego orgastycznego wyuzdania, a także w oczach elity szerszego kręgu stanowią usprawiedliwienie mistycyzmu, który stał się potrzebą. Mówiliśmy już o tym: kiedy Kaligula zaprowadza oficjalnie w Rzymie kult Izydy, gdy otacza się egipskimi sługami i pokazuje publicznie w stroju wschodnim, plasuje się on tym samym w nurcie wybiegających w przyszłość tendencji. Najbardziej wszakże uderzające jest to, iż wyobraźnia przenika codzienność, wychodzi na ulicę. Spójrzmy na przykład, jak zbudowano Złoty Dom, ów gigantycznych rozmiarów pałac, któremu Neron pragnął nadać wygląd świata w miniaturze. Najdoraźniejsze interesy, najbardziej elementarne nakazy urbanistyki poświęcono realizacji tego zrodzonego przez wyobraźnię cesarza marzenia. „Rzeczą najbardziej fantastyczną w Złotym Domu - pisze Gilbert Charles-Picard - były ponownie ogrody. W najniższej położonym punkcie doliny, tam, gdzie wznosi się obecnie Koloseum, pogłębiono bagna tworząc sztuczne jezioro otoczone portowymi zabudowaniami. Na zboczach wzgórza Caelius posadzono gęsto drzewa mające naśladować dziewiczy las; od strony dzielnicy miasta o nazwie Carinae i Fagatal, na miejscu dzisiejszych ulic Annibaldi i Colosseo, na łąkach i pastwiskach pasły się stada bydła domowego i dziko żyjących zwierząt. Wzgórza Oppius i Crispus obsadzone zostały sadami i winoroślą. Jeśli nawet ta sztucznie stworzona sielska dekoracja przywodzi na myśl bukoliczne fantazje Marii Antoniny w pałacu Trianon, historia Europy nie zna przecież żadnego innego przykładu potentata rezerwującego sobie i przeznaczającego na swój wyłączny użytek przestrzeni równie ogromnej, położonej w samym sercu przeludnionej i znajdującej się w pełni swego rozkwitu metropolii. Pałac uniemożliwiał jakąkolwiek rozbudowę aglomeracji w kierunku południowo-wschodnim. Ponadto koszt przeprowadzonych prac był ogromny i opłaty na przebudowę reszty miasta stale rosły. Poborców podatkowych zachęcano do wzmożenia wysiłków „w ściąganiu należności nie tylko od ludzi bogatych, których majątki - skazując ich właścicieli na śmierć - Neron po prostu zagarniał, lecz także od podatników średniozamożnych, zamieszkujących Italię i prowincje, od kapłanów i społeczności lokalnych. Toteż w sposób coraz bardziej otwarty dawano wyraz swemu niezadowoleniu w formie pamfletów i piosenek. Słowa jednej z nich były aluzją do zamiaru osiedlenia się w Wejach, od którego Kamillus odwiódł Rzymian po zajęciu miasta przez Galów, i zachęcały do osiedlenia się w starym etruskim mieście, chyba że - dodawano - Złoty Dom i tam też będzie sięgać.”

W dziedzinie widowisk odwet, jaki wyobraźnia bierze nad dykta-turą racjonalności, idzie jeszcze dalej. Tutaj nikt już nie zadowala się budowaniem świata fantazji rządzącego się swymi własnymi prawami i wyraźnie podporządkowanego wyobraźni. Przeciwnie, odczuwa się staranie o stworzenie dwuznaczności, o pomieszczenie świata wyimaginowanego z rzeczywistym i o zburzenie tym samym jakiegokolwiek zdrowego pojęcia rzeczywistości. Tak się też rzecz ma z owymi reżyserowanymi „polowaniami”, w czasie których - w oparciu o mitologiczną kanwę - aktor odgrywający rolę postaci legendarnej, rzeczywiście umierał na scenie w sztucznej scenerii, której ta śmierć nadawała wymiar przerażająco realistyczny.

Toteż Swetoniusz, wybierając poetycką wizję historii, dostosował się do modelu, jaki oferowały mu czasy, których opisu nam dostarcza. Bardziej instynktownie zapewne niż z wyrachowania. Jakiegokolwiek miał

ku temu powody, faktem pozostaje, iż zamiast skorygować - co mógł być zrobić - zakrawając wyraźnie na karykaturę legendę o Kaliguli, przydaje jej jeszcze większej ostrości. Przetapiając ją w formę literacką o doskonałych kształtach, nadaje jej spójność, która czyni ją wiarygodną. Łatwo tedy zrozumieć, że owa spójność przy opisie objawów delirium pociągała psychoanalityków. Ci jednakże, którzy jak Hanns Sachs opierają się na faktach w trzech czwartych fałszywych lub wypaczonych, nie mogą nas interesować, ponieważ mylą oni pacjenta. Nie Kaligulę bowiem trzeba w tej sprawie poddać psychoanalizie - jeśli już ma się kogoś jej poddawać - lecz właśnie Swetoniusza i całe społeczeństwo rzymskie, które ukazuje on w stanie delirium. Postać Kaliguli nie była li tylko kreowaną przez polityków marionetką w celu ukrycia pod płaszczykiem sprawiedliwości ich niskiego wyrachowania, należy ona również do owej plejady potworów, jakich od tej pory kolektywna podświadomość potrzebowała.

HUMOR I PRAWDA

No dobrze - powie ktoś - lecz nie ma przecież dymu bez ognia. Wszystko nie zostało zmyślane. W tak wielkiej liczbie dziwacznych czy okropnych opowieści tkwić musi bodajże odrobina prawdy.

Istotnie. Jedna przynajmniej rzecz mogła posłużyć za podstawę powstania tej legendy: nader osobliwy w swym rodzaju humor, w jakim gustował cesarz. Przede wszystkim humor słowny, do jakiego predestynowała go jego wielka kultura i wyostrzone poczucie humoru - przymioty, które Józef Flawiusz, koniec końców najmniej stronniczy ze wszystkich jego historyków, przypisuje mu w sposób kategoryczny: „Był on zresztą znakomitym mówcą, władał doskonale językiem greckim i rodzimym językiem Rzymian, w lot wszystko chwycił i od razu odpowiadał na mowy, które inni układali sobie z wielkim nakładem trudu i czasu, celował, jak nikt inny, w sztuce przekonywania drugich nawet w najpoważniejszych sprawach, ponieważ miał z natury dar w tym kierunku, powiększony jeszcze przez staranne ćwiczenie. Jako syn bratanka Tyberiusza, którego był następcą, musiał otrzymać staranne wykształcenie, ponieważ sam Tyberiusz miał wielkie ambicje w tej dziedzinie i pragnął zabłysnąć przed innymi, a Gajusz rywalizował z nim spełniając wolę swego krewnego i władcy.” Ową błyskotliwość intelektu widać w perfekcji sformułowań, jakimi czasami zadziwiał. Kiedy wydawał dużo pieniędzy, mówił na przykład, że „trzeba żyć oszczędnie bądź wieść żywot Cezara”. Kiedy urodziła mu się córka, skarżył się, iż zubożała, „ciążą bowiem na nim od tej pory, prócz powinności cesarskich, obowiązki ojcowskie”. Powiedzenia te są nie tylko zwięzłe i dowcipne, lecz niekiedy też uderzające w swej trafności: „Odyszeusz w spódnicy” - mawiał o Liwii, która chytrymi zabiegami cierpliwie oplatała pajęczą siecią Augusta. Nie wzdragając się nawet podsuwać mu ledwo co rozkwitłych nastolatek, uporała się w końcu z tym a priori niełatwo dającym sobą powodować człowiekiem.

Humor, nawet słowny, nawet usprawiedliwiony, nigdy oczywiście nie jest dobrze widziany u męża stanu; nie wzbudza zaufania. Największą uciążliwością w sprawowaniu władzy jest owo ciągłe udawanie powagi wykluczające żart - z wyjątkiem paternalistycznej jego formy, płaskiej i dobroduszej, która zbliża na chwilę władzę do mas. Lecz gdyby tylko o to tu chodziło, niedaleko byśmy zaszli. Zdaje się, na nieszczęście, że Kaligula uległ pokusie o wiele niebezpieczniejszej formy humoru - humorowi „gratisowemu”. Czy to prawda na przykład, iż pewnego dnia w teatrze wydać kazał polecenie jednemu z widzów, który przeszkadzał mu ciąglą i zapewne czczą gadaniną, by wsiadł natychmiast na okręt w Ostii i zawiózł królowi

Ptolemeuszowi, do Mauretanii, bilet z tymi oto słowami: „Temu, kogo do ciebie posłałem, nie świadczy ani dobra, ani zła”?

Żart to bez wątplenia doskonały, lecz łatwo sobie wyobrazić użytek, jaki wrogowie jego mogli uczynić z tego rodzaju postępowania, rażąco niewłaściwego, ponieważ mogło ono sprawiać wrażenie, że cesarz igra z losem swych poddanych podobnie, jak czynią to dzieci, które zmuszają mrówki do akrobatycznych wysiłków, ustawiając im na drodze najprzeróżniejsze przeszkody. Przy każdej okazji Kaligula szuka dowcipnego powiedzenia, oryginalnej repliki, efektu. Zachowuje się dokładnie tak, jakby się znajdował na teatralnej scenie. Kaligula to niezupełnie cesarz-kabotyn, jak Neron, który wchodzi prosto na scenę: słodka to mania, z której można by się w duchu śmiać. Z Kaligula rzecz ma się o wiele poważniej: bawi się on w teatr w życiu codziennym. Może dlatego, iż wszyscy wlepiają w niego oczy niczym w prawdziwego aktora, myli tron z deskami scenicznymi. Bo i cóż tu można innego powiedzieć, kiedy igra on z prywatnym majątkiem obywateli rzymskich, jak to miało miejsce w czasie owej licytacji, gdy za kolosalną sumę kazał zasądzić dziewięciu gladiatorów pewnemu senatorowi, co drzemał na ławie, wydając licytatorowi polecenie, by nie zapomniał o tym człowieku, „który częstymi ruchami głowy mu przytakuje”?

Bądźmy wszakoż pewni, że w tym przypadku Kaligula miał z owym senatorem do uregulowania jakiejś porachunki. I w tej bowiem sprawie historycy posłużyli się tendencyjną prezentacją zdarzeń. Swetoniusz donosi na przykład, iż „podczas "hucznej biesiady [cesarz] nagle zaniósł się niepohamowanym śmiechem. Gdy konsulowie spoczywający obok niego przymilnie dopytywali się, z czego to się śmieje, rzekł: «Z tego po prostu, że jednym skinieniem mogę kazać was obydwu udusić natychmiast.»” Lecz „zapomniał” zaznaczyć, że owi dwaj dygnitarze to prawdopodobnie konsulowie z roku 39, o których Kaligula niedawno się dowiedział, iż spiskują przeciwko niemu z Lepidusem. Przypominamy sobie, że złożył ich nagle z urzędu w kilka dni później pod pretekstem, iż obchodzili uroczyste rocznicę zwycięstwa odniesionego przez Augusta nad Antoniuszem, dodając żartobliwie, że gdyby tej rocznicy nie obchodzili, również by ich urzędu pozbawił, uważałby się bowiem wówczas za zelżonego w osobie Augusta, który z tego samego tytułu co Antoniusz był jego przodkiem.

W tym przypadku, jak widać, humor ten - w przeciwieństwie do tego, co się nam chce wmówić - wcale nie był „gratisowy”, a nawet okazywał się użyteczny. Miał on między innymi na celu ukryć, pod pozorem pozbawionego ładu i składu zachowania szaleńca, prawdziwe zamiary cesarza, których senat nie powinien za żadną cenę poznać.

Jest on wszak również pewną formą kary: nietrudno sobie wyobrazić, iż konsulowie spędzić musieli koszmarną noc. Czy chodzi tutaj o zwykły żart, czy też cesarz coś podejrzewa? Może za dużo wypił? I konsulowie dalejże drobiazgowo roztrząsać swe postęпки i uczynki, aby odkryć gafę, jakiej mogli się dopuścić... W parę dni później złożenie z urzędu opatrzone wyżej przytoczoną motywacją. Nie ulega najmniejszej wątpliwości: cesarz nie był pijany, ale szalony... Upływa kilka miesięcy, jeden z konsulów zostaje zgładzony. Nie, ostatecznie cesarz nie był aż tak szalony, jak to chciał innym wmówić. Ten ponury scenariusz stanowił osobliwy sposób zagłębiania żelaza w ranie. Był to humor pozostający w zgodzie z samą istotą ustroju, ponieważ łączył w sobie obydwie jego zasady, hipokryzję i terror, którymi Kaligula potrafił zonglować z instynktowną i niezawodną umiejętnością. Być może dlatego, że sam w młodych latach

doświadczyl różnych ich odcieni i uczynił częścią swej osobowości.

To właśnie w epizodzie odnoszącym się do wyprawy do Brytanii widzimy wyraźnie ów typ humoru zrodzonego z chęci ukarania. W obawie przed nieznanym żołnierze nie chcą wsiąść na pokład okrętów. Nie tracąc zimnej krwi, cesarz wydaje kohortom rozkaz, „aby zbierano muszelki i napełniano nimi szyszaki oraz poły ubrań”. Być może miał nadzieję, iż obelgą tą sprowokuje u wojska nagły odruch urażonej dumy - klasyczny to chwyt kaprała, który wymyśla żołnierzom od bab, kiedy ci cofają się przed ryzykiem. Odruchu tego jednakże nie wywołał. W przystępie wściekłości cesarz napomyka o zdziesiątkowaniu legionów. Nie jest on jednak na tyle niepoczytalny, by dać się ponieść gniewowi. Groziłoby to zrażeniem sobie armii, której może jeszcze potrzebować: i tak już dosyć ma wrogów w cesarstwie. Mści się więc na swój sposób. Zadowolona się zredukowaniem prawie do zera wypłacanych żołnierzom gratyfikacji, dodając te oto okrutne i wzgardliwe słowa: „Odejdźcie radośni, odejdźcie bogaci...”

Humor ten, który rodził się z chęci ukarania, ucieleśnia się w sposób naturalny tak samo - a nawet lepiej - w czynach, jak i w słowach. Żydzi w imię swojej religii podważają autorytet cesarza? Replika: posąg w Świątyni Jerozolimskiej. Kolosalnych rozmiarów...

Agryppina spiskuje przeciwko niemu? Zglądziwszy kochanka jej, Lepidusa, stojącego na czele spisku, „wręcza jej urnę z jego szczątkami wraz z rozkazem, by zawiozła ją do Rzymu, przyciskając przez całą drogę do piersi”. Okropny ten szczegół - ktoś powie - dobitnie świadczy o tym, że człowiek ten był okrutnym wprost potworem. Tak i nie... Czyż taki potwór poprzestałby na skazaniu na wygnanie siostry, która sprzeniewierzyła mu się w ten sposób? Czy zadowoliliby się samą groźbą? Czyż nie miał on do swej dyspozycji tysiąca najokropniejszych środków zglądania winowajczyni - by wspomnieć tylko o przymusowym samobójstwie, tak powszechnie praktykowanym? W rzeczywistości jednak nie łaknie on krwi, żąda jedynie kary: poprzez ten makabryczny humor przebija głębokie poczucie sprawiedliwości. Posiada ono wartość przykładową: cesarz odpłaca pięknym za nadobne. To nie przelewki!

Czy opinia publiczna była wszakże w stanie zrozumieć te subtelności? Czy naprawdę miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie fakt, iż zaskakujący a priori humor cesarza znajdował często nader rozsądne usprawiedliwienie w zakulisowych rozgrywkach politycznych? Przeciętny obywatel nie potrafił się w tym wszystkim dopatrzeć niczego więcej jak tylko skandalu. Po spisku Getulika bardziej zrozumieli byłby jeden z owych częstych na dworze cesarskim „wypadków”, którego ofiarą mogłaby paść Agryppina, aniżeli to spektakularne wygnanie zakrawające na ohydny prowokację. Byli oczywiście ludzie, którzy wykorzystywali takie odczucia: byli to ludzie „wtajemniczeni”. Oni rozumieli takie posunięcia, ale udawali, że nie rozumieją, ponieważ zależało im bardzo na podtrzymywaniu tezy o obłudzie. Przynajmniej takie odnosimy wrażenie. Albowiem wydaje się w rzeczy samej, iż w roku 39 senat dał się podejść i że szaleńcze ekstrawagancje cesarza przesłoniły mu prawdziwe jego intencje. Na ogół jednak wiedziano przecież doskonale, iż za tymi złośliwymi żartami i „arbitralnymi” wyrokami kryły się jak najbardziej uzasadnione porachunki. I dlatego właśnie uważano go za niebezpiecznego osobnika. Ta niewzruszona logika w obłudzie, te robione z zimną krwią żarty, które spadały na ofiary równie nagle jak nóż gilotyny, wzbudzały strach u ludzi dobrze urodzonych, sprawiały, że czuli się nieswojo, niepewnie. Nie można bowiem zaznać uczucia spokoju przy człowieku, który myśli tylko o zemście. A tak właśnie było. Okrucieństwo Kaliguli, które trudno by

przypisać jego wrodzonym skłonnościom, jak to miało miejsce w przypadku większości tyranów, wynika z jak najbardziej rygorystycznego wyrachowania, przybiera różne odcienie nieprzejednanej sprawiedliwości, przekłada brutalnie na język rzeczywistości elementarne prawdy polityki. Konsulowie dopuszczają się zdrady. Kaligula może kazać ściąć im głowę. To prawda. Najpierw dlatego, że władza jego jest faktycznie nieograniczona i że zgodnie z prawem zdrada usprawiedliwia taką karę. Kaligula ogłasza to uroczyście, jakby miał zamiar zastosować najwyższy jej wymiar. Nie czyni żadnych ustępstw, przynajmniej werbalnych. W rzeczywistości zaś z największą dokładnością analizuje stopień winy każdego z nich i w efekcie jeden tylko zostanie zgładzony. Ale już tym swoim krótkim „zdankiem” Kaligula ukarał winnych: przejął ich uczuciem trwogi, a przede wszystkim głośno przypomniał obowiązujące zasady, przydające im gorzkiego smaku, który stał się ostrzeżeniem dla wszystkich.

W oczach kasty senatorów nie ma nic gorszego niż okrucieństwo, które przyobleka płaszcz sprawiedliwości. Trzeba było nie tylko słuchać, znosić, lecz jeszcze nie mieć racji. Każdym gestem, każdym słowem cesarz mocno podkreśla, iż kara jest zasłużona. Oto jedna ze stosowanych w tym względzie przez cesarza technik - podobnie jak w przypadku pretora - polegająca na nadaniu jej z pozoru jak najbardziej arbitralnego kształtu.

Kaligula był bez wątpienia demagogiem, nadając wszak prawdzie, własnej prawdzie, poloru wielce przypominającego błysk klingi miecza, wyrasta on ponad poziom zwykłej demagogii. Jego umysłowość (abstrahując, oczywiście, od jakiegokolwiek sytuacji politycznej) przywodzi na myśl meksykańskiego rewolucjonistę Zapatę, takiego, jakim go opisał w swych pamiętnikach „dziennikarz” H. H. Dunn. Zapata także potrafił nadać swemu okrucieństwu kształt rygorystycznej i niewzruszonej medytacji - udzielić faktom oczywistej mocy dowodowej. Wśród wielu przykładów Dunn przytacza opowieść o tym, jak to po raz pierwszy zapuścił się na terytorium kontrolowane przez Zapatę, który nie posiadał jeszcze wówczas faktycznej władzy, jaką miał dysponować później. „W poprzek naszej drogi biegła ze wschodu na zachód wydeptana ścieżka, szersza od naszej, która musiała być niegdyś pierwszym transkontynentalnym szlakiem komunikacyjnym Ameryki. Przez wieki całe służyła ona plemionom, których kontakty handlowe sięgały od jednego oceanu po drugi. Nasza trasa, przecinając ją prawie pod kątem prostym, ginęła w dżungli.

O jakieś sto metrów od skrzyżowania ścieżek Diablote zatrzymał się nagle i zaparłszy się przednimi nogami podniósł głowę i stulił uszy. Zrobił to tak gwałtownie, że o mało co nie wyleciałem z siodła i nie poszybowałem ponad łbem wierzchowca.

Kilka kroków przed nami w poprzek ścieżki zwiślały zagradzając drogę dwie grube liany oplecione łodygami owych dzikich roślin, które wielu plemionom południowego Meksyku zastępują liny. Na wyższej z nich zawieszono drewnianą deseczkę z koślawym napisem wyciętym nożem zawierającym taką oto raczej jasno sformułowaną radę: «Stój!. Zakaz wstępu - rozkaz generała E. Zapaty.»”

Dla tych, którzy nie umieli czytać, a takich w Meksyku nie brakowało, a zwłaszcza dla tych, którzy mogliby zlekceważyć wagę tych słów - wrogowie rewolucji znali bowiem przecież na ogół alfabet - kilkaset metrów dalej przed oczyma rozpościerał się wymowny widok, jakby ilustracja powyższego ostrzeżenia: drzewo o nazwie maguey, „stuletnie o szaroniebieskiej korze, chluba amerykańskich ogrodów. Ponad wierzchołkiem drzewa o strzępiastych liściach wisiał nagi trup białego człowieka. Przypominał on w

wyglądzie ogromną żabę uśmierconą w trakcie pływania. Nogi i ręce miał przywiązane rzemiennymi pasami do boków ramy naprędcy skleconej z gałęzi uciętych z pobliskich drzew, a ostra łądyga kwiatu magueya sterczała trzy lub cztery stopy ponad ciałem, przesywszy je na wskroś wzdłuż kręgosłupa. Zrozumiałem wówczas, jak straszna musiała być śmierć poniesiona przez tego nieszczęsnego białego człowieka, ofiarę indiańskiej zemsty Emiliana Zapaty.

Ostry, gruby na prawie dwa cale koniec rośliny, której co noc przybywało o stopę albo i więcej, torował sobie stopniowo drogę poprzez trzewia żywego, zawieszzonego ponad nią człowieka, wychodząc w końcu z ciała pomiędzy żebrami. Wkrótce kiść śnieżnobiałego kwiecica w kształcie dzwoneczków powiewać będzie na wietrze ponad trupem."

Zapata wszakże był przywódcą rewolty zdominowanej odwieczną potrzebą wzięcia odwetu za ucisk, a nie panem wielkiego imperium opartego na złożonym nawarstwieniu nabytych interesów. Pozwala to sądzić, iż znający przecież mechanizm władzy Kaligula nie pojmował tak naprawdę całej jej natury i sam się przyczynił do własnego upadku.

SERCE I RAMIONA

Czy mamy zatem prawo, jako że rozważania nasze dobiegają końca, wyciągnąć wniosek, iż obłęd Kaliguli jest jedynie czystą legendą, pozbawiając tym samym historię jednego z jej najśłynniejszych stworów? Nie podejmiemy takiego ryzyka. Albowiem w aktach tej co najmniej delikatnej sprawy wiele jeszcze miejsc pozostaje nie wyjaśnionych. Łatwo da się wytłumaczyć fakt, że cesarz któregoś dnia wypowiedział takie oto słynne słowa: „Niechaj nienawidzą, byleby się bali!", jeśli przyjmiemy, iż skierowane one były do senatorów. Ale czy prawdą jest, że innym razem zakrzyknął, podczas gdy tłum oklaskiwał na arenie nie tych zawodników, których on wyróżniał: „Gdybyż tak bogowie sprawili, ażeby lud rzymski jeden miał tylko kark"?! A jak wyjaśnić, by posłużyć się tylko dobrze czytelnikowi znanym przykładem, ów słynny most w Bajach, na którym potknęła się wyobraźnia niejednego historyka? Całkiem nowa forma widowiska? W pewnym sensie tak, ponieważ chodzi tu o „odtworzenie faktów historycznych" w pewnym sensie analogiczne do tego, jakie Klaudiusz da później z podboju Brytanii, o próbę naśladowania słynnego w historii „mostu na morzu", który Kserkses kazał zbudować, aby móc najechać Grecję. Lecz czy chodziło tu jednakże tylko i wyłącznie o samo widowisko? Z całą pewnością nie. Zbyt wiele szczegółów pozwala mniemać, iż mógł tu wchodzić w grę wyczyn o znaczeniu militarnym czy nawet reklamowym. Zaimponować Germanom, przeciwko którym cesarz przygotowywał kampanię? Wątpliwe. Bals-don sądzi, że ów złożony ze statków most przeznaczony był na przyjęcie zakładników, jakich - w wyniku negocjacji prowadzonych przez Witeliusza - Partowie posłali do Rzymu, i zarazem na wywołanie wrazenia na tych wrogach, w oczach których Rzymianie, z powodu ciągle doznawanych porażek, nie potrafili do tej pory zyskać większego uznania. Toteż Kaligula nakazał zbudować most „dłuższy od tego, który dotąd w mniemaniu całego świata reprezentował największe zwycięstwo człowieka nad przyrodą w całej historii ludzkości. Wschód dokonał wielkich rzeczy. Zachód może zrobić więcej, gdy tylko zapagnie..." Faktem jest, iż Kaligula przedefiniował po tym słynnym moście w symbolicznym stroju Aleksandra Wielkiego, inne szczegóły również czynią taką interpretację prawdopodobną. Prawdopodobną, ale nie pewną. Gdyż w całej

tej sprawie pozostaje wiele nie wyjaśnionych punktów i spora doza ekstrawagancji.

To samo dotyczy wielu innych epizodów przytaczanych przez historyków. Oczywiście, ich. nie znająca miary stronniczość rzuca pewne podejrzenia na wszystko, co mówią. Skoro tak łatwo dopuścili się „przekłamania” w jednej sprawie, ma się prawo sceptycznie podchodzić do tego, co twierdzili w drugiej. Zważywszy, jednakowoż, że nie jesteśmy w stanie ani odrzucić we wszystkich punktach ich stwierdzeń, ani skorygować, chcąc nie chcąc musimy przecież pozostawić otwartą furtkę wątpliwościom. Nie możemy po prostu i zwyczajnie za-negować tekstów.

Koniec końców kwestia, czy Kaligula był obłąkany, czy nie, wydaje nam się dosyć drugorzędna. Prawdopodobnie nie był ani szalony, ani „niezrównoważony”, jak to się zazwyczaj mówi, posługując się eufemizmem, który załatwia wszystko, niczego nie wyjaśniając. Przedstawienie tezy przemawiającej „za” czy „przeciw” pozbawione jest większego sensu, ponieważ dostępne informacje nie rozstrzygają sprawy. Nie byliśmy nawet w stanie przedstawić czytelnikowi portretu naszego bohatera. Nie z powodu rozmyślnego ignorowania praw rządzących biografią, lecz z powodu braku solidnej dokumentacji. Ze wszystkich wyobrażeń Kaliguli - posągi konne czy popiersia które przetrwały do naszych czasów, żadne nie uzyskało formalnej atestacji. Zresztą jest rzeczą ogólnie znaną, że starożytne rzeźby upiększają swe modele do tego stopnia, iż te nie mają już nic wspólnego z prawdą. Z rzeczy pewnych pozostaje nam więc zaledwie kilka wytartych z biegiem czasu monet. Nie było również rzeczą możliwą przedstawienie portretu psychologicznego postaci, uchwycenie człowieka z całą sferą jego spraw intymnych, osobowych, ponieważ wszystkie szczegóły odnoszące się do jego życia prywatnego są kwestionowane.

W tych okolicznościach jedynym portretem psychologicznym, jak wolno nam sporządzić, jest obraz, który da się wydedukować z postępowania cesarza, z postępów, których autentyczność nie ulega wątpliwości - w szczególności zaś z decyzji, które podejmował jako władca. A więc chodzi tutaj o charakter polityczny postaci. Uderzając w tym względzie rzeczą, poza analizowanymi powyżej cechami, jest zapał, z jakim Kaligula przystępuje do dzieła. W ciągu czterech lat ani chwili wytchnienia. Reformy konstytucyjne, reformy finansowe. Wznawia on zarzuconą od lat trzydziestu politykę ekspansji. Rzym znów obecny jest na granicach cesarstwa i to w dwa zaledwie lata po jego dojściu do władzy. Podbój Germanii, Brytanii, projekty dotyczące Wschodu: miał się tam właśnie udać, kiedy zginął. Można mówić o wpływach egipskich, astrologicznych i innych, ale wszystko to tylko folklor. Po głębszej analizie okazuje się, że polityka prowadzona przez cesarza leży przede wszystkim w interesie Rzymu i w efekcie jest dosyć tradycyjna. Wzoruje się on na ojcu swym, Germaniku, a przede wszystkim na Cezarze.

Jest to polityka zdobywcy, który rzuca się z zapałem do walki. Wiele potrzeba entuzjazmu, ofiarności, odwagi, by wziąć na swe ramiona taki ciężar. Dumy także, jeśli już nie ambicji. Nosi się on zapewne ze zbyt wielkimi na swe możliwości zamiarami. Nie zadowala się inicjatywą podbojów na miarę Tytana, bierze się bezpośrednio do rozwiązywania zawitych problemów, dotyka wrzodów, których nie należy wyciskać. Najbardziej znaczącym przykładem takiej postawy jest jego polityka w Afryce. Tyberiusz doskonale pojął, iż rzeczą całkowicie sprzeczną z interesami imperium jest pozostawianie w rękach senatorów zarządu nad tą afrykańską prowincją, gdzie od dwóch dziesiątków lat dowodzili oni z nader widoczną nieudolnością. Nie poprzestał on wszakże na tym stwierdzeniu. Miał o wiele głębszą wizję rzeczy. Zbyt dobrze znał senatorów,

by wyobrazić sobie, że mogliby się oni zgodzić na przyjęcie leżących w interesie publicznym racji, które uzasadniałyby przeprowadzenie reformy. Reformę taką wrażliwość ich odebrałaby jako umartwienie, ich egoizm - jako podstęp polityczny: widzieliby w niej akt tyranii, pełen hipokryzji postępek autokraty chcącego zagarnąć wszelką władzę. Tak więc Tyberiusz od zamiaru swego odstąpił. Mniejsza o interes publiczny. Wybrał on mniejsze zło. Przede wszystkim ostrożność, bezpieczeństwo, poszanowanie istniejących przywilejów.

Kaligula nacina nabrzmiały wrzód. Natychmiastowa reforma. Brak aktywności napawa go przerażeniem. Ignoruje bądź pragnie ignorować dotychczasowy układ interesów. Ma zamiar uczynić „dobry użytek” z władzy. Najpierw interes cesarstwa. Instynktownie wkracza na trakt królewski, nie zwracając uwagi na przecinające go boczne ścieżki. Nie wie on wystarczająco dobrze, iż chcąc dokonać rzeczy wielkich, nigdy nie należy pomijać małych. Że nie można wykorzenić zła od razu, iż trzeba iść na układy. Zachowuje się trochę tak, jakby ludzie nie byli tacy, jakimi są. Dlatego też powiedzieliśmy powyżej, że - aczkolwiek znając mechanizmy władzy - Kaligula ignorował ich prawdziwą naturę. Odmawia on przyznania mocy faktom, hierarchizuje je wedle własnej fantazji, odrzuca je lub neguje, gdy nazbyt mu zawadzają - wystarczy przypomnieć sobie jego stanowisko względem senatu. Fakty jednakże biorą odwet. Taka postawa jest w polityce rzeczą niewybaczalną. Brak doświadczenia, oczywiście, a nawet idealizm, pod warunkiem, iż nie przypisze się temu słowu znaczenia pejoratywnego. Chodzi tu raczej o swego rodzaju namiętne, acz niedojrzałe jeszcze umiłowanie władzy. Kaligula podszedł do sprawy poważnie, swoje zadanie wziął sobie do serca. Zbyt poważnie. Wiadomo przecież, że sama tylko dobra wola daleko nie prowadzi.

DRUGIE OBLICZE WŁADZY

Pozostaje zasięg mitu wykraczającego daleko poza granice Rzymu, ponieważ nasi współcześni, nawet wykształceni, mają o Kaliguli, ogólnie rzecz biorąc, wyobrażenie niewiele odbiegające od tego, jakie mieć mógł obywatel rzymski, powiedzmy z II wieku n.e. A przecież - wspominaliśmy o tym - dawno już temu znawcy przedmiotu poważnie podali w wątpliwość rzekomy obłąd cesarza. Już Camille Jullian odnotował, iż w sposób systematyczny obrzucano go kalumniami. Przeszło wiek temu niejeden erudyta podkreślał poważne sprzeczności tkwiące w tradycji, Balsdon zaś przed czterdziestoma laty dobitnie wykazał, że niektóre teksty, z których się ona wywodzi - i to nie należące do najpośledniejszych - są dziełem czystej fantazji. Wszystko to jednak nie znalazło szerszego oddźwięku w oficjalnej historii. Nadal propaguje się tezę o braku równowagi psychicznej, w zależności od potrzeby wprowadzając drobne poprawki, zresztą bez znaczenia. Gilbert Charles-Picard pisze na przykład na ten temat: „Tradycyjnie wyjaśnia się tyranie Kaliguli zaburzeniami umysłowymi wynikłymi z jakiejś choroby. Nie ulega wątpliwości, iż był on obłąkany.” Dalej dodaje: „Obłąkany władca nie jest czymś wyjątkowym. Podobny przypadek miał miejsce w Rzymie dwadzieścia lat przed Kaligulą;” Łatwo zrozumiała tradycyjna ostrożność wobec problemu tak zawilego i kontrowersyjnego? Można by tak sądzić. A czyż jest rzeczą ostrożną być tak kategorycznym, skoro obłąd cesarza jest co najmniej sprawą wątpliwą? W rzeczywistości zaś odnosi się wrażenie, że zastrzeżenia - by nie powiedzieć opory - jakie zgłasza historia oficjalna, odzwierciedlają tutaj wielce rozpowszechnioną postawę: nasza cywilizacja starannie pielęgnowała i hołubiła mit o obłąkaniu cesarza, jakby go potrzebowała.

Można znaleźć kilka prostych wytłumaczeń tego zjawiska. Wpływy chrześcijaństwa zaważyły na naszej wizji starożytnego świata. Znalazły one znakomitych rzeczników w wielkich postaciach naszej literatury: Bossuet, Chateaubriand. Dziś, z wyjątkiem kilku uczulonych na sprawy stylu amatorów, już się ich nie czytuje, są za nudni. I jest to, w pewnym sensie, uzasadnione. Urodziwszy się bowiem poetami, nie oparli się oni (przynajmniej Chateaubriand, ponieważ Bossuet, duchowny, niewzruszenie tkwi w wierze i w monotonii swego wieku) pokusie oddania swego pióra na usługi stronnictw i głos ich stał się więźniem historii. Dzisiaj już do nas nie przemawia. Zapomina się, do jakiego stopnia znaczący był wpływ, jaki kiedyś wywierał. W oparciu o fantazyjną i nie wyczerpującą - rzecz to powszechnie znana - dokumentację (całą swą erudycję Chateaubriand czerpie z pewnej popularnonaukowej książki angielskiej wydanej w 1792 roku) ugruntowali oni u szerokiego odbiorcy demoniczną wersję rzymskiej historii, wedle której w czasach cesarstwa władzę sprawowała istna "plejada potworów". Nie chciano tutaj zapewne jedynie gloryfikować narodzin zbawczej religii, lecz - powtarzając bez końca, iż pogańska: władza ohydne miała oblicze - uzyskać przebaczenie, również na zasadzie porównania, dla paru naszych arcychrześcijańskich królów, którzy nie mieli ręki ani cięższej, ani lżejszej, od swych starożytnych poprzedników. I wśród których, nawiasem mówiąc, można znaleźć władców nieudolnych, zdeprawowanych, a nawet paru właścicieli domów publicznych, bardziej co prawda dyskretnych od Kaliguli. W sprawie, która nas interesuje, wystarczy odnotować, że w owej atmosferze kulturalnej niepojęte było krytyczne podejście do pisarzy cesarstwa. Przyjmowano wszelkie ich uprzedzenia i przesady, byleby tylko szły one w należyтым kierunku. W szczególności zaś Kaligula, najpotworniejszy z tych potworów, prawdziwa „ozdoba” owej plejady demonów, żadnej nie miał szansy na to, by jego reputacja w jaśniejszych została odmalowana barwach. Należy przy tym zaznaczyć, że badania krytyczne odnoszące się do czasów jego panowania pochodzą z krajów, gdzie wpływy katolicyzmu są albo nie istniejące, albo nieistotne.

Literatura popularna przejęła później tę manicheistyczną wizję historii Rzymu, doprawiając ją sporą dozą mdłego sentymentalizmu i wraz z postępem nauki - szczyptą wierności, jeśli chodzi o konkretne fakty. Sienkiewicz, autor *Quo vadis*, w przeciwieństwie do Chateaubrianda zadbał o to, by zaznajomić się dokładnie z dokumentacją na temat życia codziennego Rzymian. Jednakże jego całościowa wizja cesarstwa trąci tą samą prefabrykowaną i uproszczoną ideologią. Później, kiedy bóg show-business'u wyparł Boga Ewangelii, Hollywood rzucił się z radością na tych cesarzy-potworów dostarczających niewyczerpanych wprost zasobów malowniczości. Uczynił z nich gwiazdy. W naszych czasach August, nawet Cezar, którzy stworzyli pewien ustrój, cesarstwo, i wycisnęli swe piętno na pięciu stuleciach historii, nie wzbudzają większego zainteresowania. Wszyscy jednakże znają Nerona. Kaligulę też: to „szalenię u władzy”.

Szalenię u władzy? Cóż też może być aż tak fascynującego w tym połączeniu pojęć, że tak głęboko zapuściły korzenie? Jest w nim zapewne coś więcej aniżeli zwykła malowniczość czy też okolicznościowa, wygodna ideologia. Chodzi tutaj o mit, który sięga o wiele dalej. W głębi duszy ludzie źle znoszą monotonię władzy, która pomimo wszelkiego rodzaju fiorytur, szat, jakie przywdziewa, ciągle ukazuje w końcu to samo przecież oblicze: podstęp i kłamstwo, podłość i krew; i która - stwierdzenie to jeszcze jest straszniejsze - zawsze ma po temu swoje powody: te, jakie jej dyktuje konieczność. Źle znoszą monotonię władzy, słowem, samą jej naturę.

Nie chodzi tutaj oczywiście o jakąś elitę ludzi czynu, im prawdy te nie zawadzają, oni identyfikują się z nimi, podejmując ryzyko, iż ideologia, którą gardzą, spleta im od czasu do czasu jakiegoś figla. Ale o większość, która nieświadomie ciągle poszukiwała sposobów zanegowania oczywistości tej monotonii. Oto czemu na przykład .- w swej formie filozoficznej, i można by powiedzieć „elitystycznej” (lecz tym razem chodzi tutaj o mniejszość ludzi nie pozbawionych wrażliwości) - służyć będzie Kaligula Camusa. „Obłąd” cesarza jest dla autora pretekstem do ukazania innego oblicza władzy. Zatrważającego rzecz jasna: podstęp i morderstwo nie schodzą tutaj ze sceny. Nie w tym jednak tkwi problem. Okrucieństwo jest od początku do końca czyste, w każdym znaczeniu tego słowa. Czyste, gdyż wolne od podejrzanych pretekstów, od wszelkich usprawiedliwień, od jakiegokolwiek ideologicznej czy ludzkiej podłości, która zazwyczaj towarzyszy morderstwu. Czyste to znaczy nagie. Kiedy próbuje się ono usprawiedliwiać, rozmyślnie czyni to w sposób śmieszny, chcąc przydać sobie jeszcze więcej natrętnego rozgłosu. Oto morderca, podnoszący w górę głowy tych, których „za nic” kazał stracić. Oto mąż stanu, który z wielką radością depce to, co najbardziej bezinteresowni z władców, najszczerzy, i mający najlepsze intencje, zawsze w końcu szanują: rachunek w banku. Kaligula zresztą ogłasza to wszem wobec: „to się zmieni”. I zmienia się, istotnie: dygnitarze zamieniają w pudelki, ministrowie w pomywaczy i klozetowych sprzątaczy – nie przestając przecież być ministrami i dygnitarzami (i na tym właśnie polega cała sztuka, kto by sobie tam zadawał trud, by ich zastępować innymi, którzy byliby bądź staliby się dokładnie tacy sami), sterroryzowanymi bezsilnymi pajacami, niedowierzającymi temu człowiekowi, który odrzuca z „gry” to, co w niej najbardziej niezniszczalne, i który niszczy mechanikę władzy, by szczątki jej z dziecinną radością wrzucić do morza. Jest to odwet wyobraźni, odwet absolutny i imponujący. Nie na długo wszak. Kaligula dobrze o tym wie: wkrótce wszystko powróci do normy. Dowód jednakże zostanie przeprowadzony: raz jeden przynajmniej na tej ziemi będzie „coś radykalnie innego”.

Oczywiście w sztuce Camusa odwet ten przybiera kształt skrajnie skonceptualizowanego buntu, estetycznego wyrafinowania. Wyraża on jednakże w tym osobliwym rejestrze ową głęboką potrzebę - jaką ludzie zawsze odczuwali - otaczania władzy aureolą obrazów kompensacyjnych czy uspokajających, potrzebę „oszukiwania siebie samego”. Bez wątplenia nasza epoka również podlega temu prawu. Dawno już wrzuciła ona klucz od marzeń do koszyka władzy. Po długim marszu różnorakimi drogami obiecuje nam się raj. Raj nie tyle krwawy, co prawdziwy, promieniejący radością życia. Za który, jak zawsze, zapłacić musimy sporą liczbą ofiar. Można by nawet powiedzieć, że im raj większy, tym więcej trupów. Co w końcu jest zrozumiałe. Wszakże w tym naszym żelaznym wieku, w którym wszelka metamorfoza wiele wymaga czasu, jeden fakt należy odnotować: za każdym razem, kiedy jakaś klasa, jakiś lud, jakiś ustrój znalazł się w sytuacji aż tak rozpaczliwej, iż nie mógł się z niej wydostać inaczej, niż uciekając się do morderstwa i terroru, przemocy i rasizmu, zawsze udawało się znaleźć jakiegoś „szaleńca” - a przynajmniej już „histeryka”, sadystę czy też, wedle terminologii drogiej egzegetom Kaliguli, człowieka „niezrównoważonego psychicznie” - by zwalić nań całą winę. Nie staje się on naturalnie takim od razu, a dopiero gdy burza przeminie. Stanowczo, ów temat szaleńca u władzy nader jest użyteczny: pozwala on przekształcić konieczność i okropności historii w „wypadek”. Daje to poczucie bezpieczeństwa, pozwala zapomnieć. Któż by nie przystał na takie właśnie wytłumaczenie? Nie chodzi tu już o środek pobudzający, mający zaludnić

mary paru fanatyków trzeźwości umysłu, lecz o środek uspokajający na użytek milionów - którego one być może potrzebują, jeśli prawdą jest, że jedno z praw życia polega na trawestowaniu tej rzeczywistości, z którą nie możemy się pogodzić. Kłaść zło raczej na karb przypadku aniżeli konieczności jest niezaprzeczalnie rzeczą niesłuszną, nic wszelako nie przemawia za tym, by nie było to rzeczą zdrową.

Kaligula nie był szaleńcem, senatorowie dobrze o tym wiedzieli. Niemało też osób wie, iż nasi dwudziestowieczni tyrani również szaleńcami nie byli.

BIBLIOGRAFIA

Appelquist Hj., *De Praecipuis Rerum Gai, Claudii, Neronis scriptoribus*, Helsingfors 1889.

Beranger Jean, *Diagnostic du Principat*.

Balsdon John Percy Vyvian Dacre, *The Emperor Gaius. - Notes concerning the principate of Gaius*, Oxford 1934.

Charles-Picard Gilbert, *Auguste et Neron*. Charlesworth

Martin Percival, *The tradition about Caligula*. Gage Jean, *Tibere d Capri*.

Janssen, *Ad expeditionem Gai principis in Germaniam*.

Jerome Thomas Spencer, *Aspects of the study of Roman History*, New York and London 1923.

Kornemann Ernst, *Tiberius, Emperor of Rome*, 1947.

Mace Alcide, *Essai sur Suetone*, Paris 1900.

Maranon y Posadylo Gregorio, *Tiberus*, 1939.

Marsh, *The reign of Tiberius*. Michel Alain, *Tacite et le destin de l'empire*. Momigliano, *Caligola*. Quidde Ludwig, *Caligula*, Leipzig 1894.

Sachs Hanns, *Bubi; die Lebensgeschichte des Caligula*, Berlin 1930.

Vailland Roger, *Les Pages immortelles de Suetone*. Venturini Luigi, *Caligola*, Milano 1906.

Willrich Hugo, *Caligula*, Leipzig 1903.

Źródła tłumaczone na język polski, według których podano większe urywki cytowane w tekście:

Józef Flawiusz, *Dawne dzieje Izraela*, tłum. Z. Kubiak, J. Radożycki, wstęp E. Dąbrowski, wyd. II, Poznań 1979.

Seneka, *Dialogi*, tłum., oprac., wstęp L. Joachimowicz, Warszawa 1963.

Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*, tłum., kom., wstęp J. Niemirska-Pliszczyńska, przedm. J. Wolski, wyd. VI, Wrocław 1987.

Tacyt, *Dzieła*, tłum. S. Hammer, wstęp T. Zawadzki, S. Hammer, t. I-II, Warszawa 1957.

SPIS RZECZY

GENEZA TYRANII

Zbrukać ciała, napiętnować dusze

Mit Germanika

Kaligula uchodzi cało

Kozioł ofiarny

Dziwna dynastia

Między grobem a władzą

POTWÓR

Strzeżcie się... Zbieraj muszle! Pilnuj kieszeni

Kaligula-Maldoror

Uczynić z nocy dzień

Potomność potwora

Prawdziwy paradoks

SMĘTNE KOLORY PRZESZŁOŚCI

Mrzonka o powszechnej zgodzie

Koniec z rozlewem krwi, uśmiechy

Karta ludowa

Znowu krew

Kiedy wszystko zaczyna być jasne

Zaskoczenie prefekta

WYBUCH SKANDALU

Odkurzone akta procesowe

Siła i słabość podupadłej kasty

Kaligula zarzuca sieci

ZWYCIEŻYĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

Germańskie bagno

Niemile zaskoczenie

Obawa przed nieznanym

Smętny bilans

OSTATNI AKT

Kaligula zostawia wszystko za sobą

Brzemie ideologii religijnej

Profanacja synagogi

Dialektyka terroru

Demagogiczne iluzje

Krwawa rozprawa

KOGO NALEŻY PODDAĆ PSYCHOANALIZIE?

Traktat o sztuce charakteryzacji na użytek historyków

Czego dowodzą fakty?

Kto pociąga za sznurek?

Inny wymiar

Humor i prawda

Serce i ramiona

Drugie oblicze władzy

Bibliografia